ROZMOWA Z JULIĄ MENDEL

Była rzecznik prezydenta Ukrainy odsłania prawdziwą twarz Zełenskiego



Adam Wielomski o niedorzeczności PiS-owskiej koncepcji Trójmorza



ZATRUTE STRZAŁY AMORA – SEKSAGENTKI W SŁUŻBIE BEZPIEKI PRL

Spór Bractwa św. Piusa X z Watykanem. Co na to wierni?

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 35/695 24–30 SIERPNIA 2026
CENA **14,90 ZŁ** (W TYM 8% VAT)

WOJCIECH CEJROWSKI W ROZMOWIE Z PAWŁEM LISICKIM:

Polska sama się wykańcza



ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829

eprasa.pl 14333fb3fb

Od ponad dekady tworzymy jedno
z najbardziej opiniotwórczych mediów w Polsce

SPÓŁKA AKCYJNA
DO RZECZY



Do Rzeczy S.A.
Spółka notowana na rynku **NewConnect (GPW)**
Symbol giełdowy: **DRZ**

WOLNOŚĆ SŁOWA MA WARTOŚĆ - TAKŻE GIEŁDOWĄ

Od 28 kwietnia 2026 możesz nas nie tylko czytać,
ale również zostać akcjonariuszem Do Rzeczy S.A.

ZAINWESTUJ
W NIEZALEŻNE MEDIA
Twoje media. Wspólna sprawa.

Dowiedz się więcej:
www.DoRzeczySA.pl

eprasa.pl 14333fb3fb



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Polski Rambo da radę

Nic nie pokazuje lepiej stanu umysłowego polskich elit rządowych w obliczu wciągnięcia Polski do konfliktu zbrojnego Rosji z Ukrainą niż zachowanie Cezarego Tomczyka – jakkolwiek by było – wiceministra obrony. Polski polityk niedawno podpisał umowy offsetowe z Boeingiem i dzięki temu zasłużył na pochwałę amerykańskiego ambasadora w Warszawie, Toma Rose'a, który raczył był go nazwać „Rambo". Reakcja ministra? „To na pewno cieszy, bo ta postać jest jedną z najbardziej pozytywnych w amerykańskiej kinematografii". Z tego, co pamiętam, Rambo wsławił się nie myśleniem strategicznym i roztropnością, ale zuchwałością, ryzykanctwem, siłą mięśni i celnymi strzałami. Na temat zdolności strzeleckich i przewag fizycznych wiceministra obrony nic mi nie wiadomo. W przygotowywaniu kontraktów wojskowych – a tego dotyczyła umowa z Boeingiem – cechy te raczej żadnej roli nie odgrywają. Zarówno pochwała ambasadora USA, jak i radość polskiego wiceministra obrony brzmią zatem osobliwie.

Problemem nie jest jednak zachowanie tego lub owego ministra, ale ogólnie głupkowaty nastrój panujący w Polsce. Wojna z Rosją? Sądząc z wypowiedzi samego ministra Tomczyka, wydaje się opcją jak najbardziej prawdopodobną. Tyle że bardzo trudno zrozumieć, dlaczego do tej konfrontacji musiałoby dojść. Z jednej strony bowiem „Rosja Putina nie jest gotowa do konfrontacji z NATO i przegrałaby taką wojnę. Tym bardziej że widzimy, iż Ukraina powstrzymała Rosję – a co dopiero cały potencjał sojuszu". Wniosek? Jeśli obecnie Ukraina powstrzymała Rosję, to… jak można sobie wyobrazić, że Rosja, która nie jest w stanie obecnie zrealizować swoich celów na Ukrainie, miałaby… zaatakować Polskę lub inne państwa NATO?

Dlatego coraz częstsze opowieści o gotowości NATO (w tym Polski) do obrony przed atakiem ze strony Moskwy robią dziwne wrażenie. Po prostu nie sposób pojąć, dlaczego Rosja miałaby zaatakować inne państwa sojuszu. Jaką korzyść miałaby osiągnąć? Nie da się jednak ukryć, że raz za razem różni politycy zachodni (i polscy) o takim spodziewanym ataku mówią.

Co więcej, nie chodzi tylko o retorykę polityków: „Sojusz północnoatlantycki opracował szczegółową koncepcję działań w razie konfliktu zbrojnego z Rosją, nazwaną »NATO Land Warfighting Concept«. Dokument, o którym pisze niemiecki »Bild«, przewiduje m.in. wykorzystanie dronów, stworzenie autonomicznej strefy wzdłuż granic oraz uderzenia na cele w Kaliningradzie i głęboko na terytorium Rosji" – podała Telewizja Republika. W dokumencie mówi się także o „atakach na obiekty wojskowe i logistyczne już na terytorium Rosji: lotniska, zakłady zbrojeniowe, mosty oraz infrastrukturę kolejową służącą do przerzutu wojsk […]. NATO nie planuje okupacji Rosji. Celem jest zatrzymanie ofensywy i odepchnięcie wojsk rosyjskich do granicy państwowej".

Przedziwne, nieprawdaż? Przygotowuje się plany „obrony" i „kontrataku" oraz strategię „odepchnięcia rosyjskich wojsk" tylko wtedy, gdy wierzy się w napaść. Ale przecież – jak wynika z analizy obecnej sytuacji, nawet tej, którą przedstawił polski Rambo – Rosji taki atak nic by nie dał. A więc o co w tym wszystkim chodzi?

O prostą rzecz, której zwolennicy wojny opinii publicznej nie mówią: ewentualny atak Rosji jest możliwy tylko w efekcie rozszerzenia się obecnego konfliktu na Ukrainie. A to, że konflikt ten się nie kończy, wynika w głównej mierze z polityki Zachodu, który udziela Ukraińcom coraz dalej idącego wsparcia finansowego i militarnego. Gdyby nie dostarczane przez Zachód drony, rakiety i dane wywiadowcze, nie dałoby się skutecznie atakować celów na terytorium Rosji. Logiczne jest zatem oczekiwanie, że któreś z kolejnych uderzeń – np. bombardowanie rakietami balistycznymi Moskwy czy Petersburga – przyniesie rosyjską reakcję wymierzoną nie tylko w Ukrainę, lecz także w państwa, które jej pomagają i zapewniają zdolności bojowe. Dlatego opowieści o „kontrofensywie" i „obronie" NATO brzmią cokolwiek dziwnie. Jeśli Zachód przekazuje Kijowowi broń i informacje, dzięki którym możliwe jest uderzanie w cele wewnątrz Rosji, to prędzej czy później musi się spodziewać proporcjonalnej odpowiedzi. Dlaczego Zachód takie ryzyko podejmuje? Gdyby chodziło o doprowadzenie do pokoju, bylibyśmy świadkami rozmów pokojowych. Otóż warto zauważyć, że takich nie tylko nie ma, lecz także nikt – mam na myśli zachodnich polityków – nie jest do nich gotów.

Zachodni politycy udają, że obstawiają tylko jeden wariant: pod ciosami wysyłanej przez Ukraińców na Moskwę zachodniej broni Rosja się poddaje, wycofuje z zajętych terenów, ogłasza kapitulację. Jednak bardziej prawdopodobny jest drugi: w odpowiedzi na coraz śmielsze uderzenia Rosja odpowiada, atakując nie tylko Ukrainę, lecz także państwa, które ją wspierają, i używa do tego broni o odpowiednio większej sile rażenia. Wtedy dochodzi już nie do konfliktu regionalnego, ale światowego. Komu na tym tak bardzo zależy? ©℗

eprasa.pl 14333fb3fb



TEMAT TYGODNIA

16 PAWEŁ LISICKI, WOJCIECH CEJROWSKI
POLSKA SAMA SIĘ WYKAŃCZA
Fragment wspólnej książki Cejrowskiego i Lisickiego

KRAJ

22 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
BEREK – CZYLI W CO GRA TUSK?
Początek końca rządów „demokratów"?

25 ŁUKASZ WARZECHA
POLSKA 20 MILIONÓW

28 ROZMOWA Z ANDRZEJEM ANUSZEM
PREZYDENT JAKO GAME CHANGER

30 ARKADIUSZ SIWKO
LIKWIDOWAĆ POLSKĄ GRUPĘ ZBROJENIOWĄ?

33 PIOTR SEMKA
NIEZŁOMNY Z GDAŃSKA. O. BRONISŁAW SROKA (1936–2026)

36 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA
„EDEK" PATRZY I SŁUCHA

KULTURA

38 PIOTR GOCIEK
CIAŁA, WIELE CIAŁ
Ekranizacja bestsellerowej powieści „Strzępy"

41 GRZEGORZ KONDRASIUK
SEZON NA „TITANICU"

NIE PRZEGAP

42 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, GRA, WYSTAWA, KSIĄŻKI

OPINIE

46 ADAM WIELOMSKI
IMPERIUM TRÓJMORSKIE
Albo Berlin, albo Moskwa

49 KRYSTIAN KRATIUK
MĘŻCZYŹNI W KOBIECYM SPORCIE

52 FILIP MEMCHES
PREZENT DLA NIEMCÓW

54 WOJCIECH GOLONKA
SPÓR BRACTWA ŚW. PIUSA X Z WATYKANEM. CO NA TO WIERNI?

HISTORIA

58 ROZMOWA Z RAFAŁEM OLBERTEM
ZATRUTE STRZAŁY AMORA
Seksagentki w służbie bezpieki PRL

ŚWIAT

62 ROZMOWA Z JULIĄ MENDEL
ZEŁENSKI ZROBIŁ Z UKRAINY MAŁĄ ROSJĘ
Była rzecznik prezydenta Ukrainy odsłania jego prawdziwą twarz

66 TERESA STYLIŃSKA
ISLANDII DRUGIE PODEJŚCIE DO UNII

EKONOMIA



68 JACEK PRZYBYLSKI
ERA DROGIEGO PIENIĄDZA
Poważne ostrzeżenie dla szybko zadłużającej się Polski

STYL

72 JOANNA BOJAŃCZYK
ODWIECZNY BAŁTYK
Na polskiej plaży

WAKACJE Z „DO RZECZY"

74 JACEK PAŁKIEWICZ
PODRÓŻ SZEŚCIOGWIAZDKOWA
Przewodnik Jacka Pałkiewicza: Patagonia

FELIETONY:

SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, POSPIESZALSKI (8), JASTRZĘBOWSKI (9), GMYZ, GOCIEK (12), ŻEBROWSKI, KOPER (61), PRZYBYLSKI (65), GABRYEL, WARZECHA (71), KOMUDA (76), KOWALCZUK, KARWELIS (79), WIEROMIEJCZYK (80), KRATIUK (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl 14333fb3fb

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK **DO RZECZY**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas** (II sekretarz redakcji), **Filip Memches**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski *(korespondent z USA)*, **Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić** *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Michał Krupa, Andrzej Krzystyniak, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Adam Wielomski, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Zbigniew Zapert, Łukasz Zboralski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Lidia Lemaniak, Alina Piekarz, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Aleksander Majewski, Dawid Sieńkowski**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Agnieszka Szpak, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **youtube.com/@tygodnikDoRzeczy**

WYDAWCA: **Do Rzeczy SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00

Wydawca tytułu, Do Rzeczy SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

PMPG POLSKIE MEDIA SA
spółka notowana na GPW
POLSKI WYDAWCA

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Do Rzeczy SA
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: +48 508 040 890
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Joanna Nowakowska, Joanna Gosek,
dystrybucja@pmpg.pl, tel. 539 953 631, 508 040 664

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumeratаprasy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829

NAKŁAD KONTROLOWANY
ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione. © Ⓟ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Sięganie do gwiazd czy do Tuska", Paweł Lisicki, DRz nr 34/2026

Pan redaktor Paweł Lisicki w najnowszym numerze „Do Rzeczy" nie pierwszy już raz sugeruje, że Mateusz Morawiecki dąży do powyborczego sojuszu z Donaldem Tuskiem.

Chyba nie po to Donald Tusk konsekwentnie odmóżdżał Platformę, aby teraz układać się z kimś, kto pracuje 24/7, ma wszystkie excele w głowie, może jest też hipnotyzerem (© red. Piotr Gabryel).

Można wytykać błędne decyzje byłego premiera i krytykować jego nowe projekty, trzeba jednak przyznać, że góruje nad innymi politykami umiejętnością zarządzania.

Z poważaniem
Tadeusz Wasiutyński

Powrót tercios i zagadka", Grzegorz Kucharczyk, „DRz" nr 32/2026

Szanowny Panie Profesorze,
od lat z satysfakcją czytam zarówno Pańskie książki, jak i publicystykę w „Do Rzeczy". Teraz dowiaduję się, że jest Pan także wytrawnym kibicem piłkarskim.

W ostatnim felietonie zainteresował mnie szczególnie wątek dotyczący piłki brazylijskiej. Śledzę jej losy od 1958 r. Wtedy bowiem tata zabrał mnie do kina, gdzie w filmie dokumentalnym mogłem zobaczyć, jak Pelé z kolegami zdobywał „pierwszą gwiazdkę" dla Brazylii. Niestety, dziś nie mogę napisać nic pocieszającego o „pięciogwiazdkowcach". A wręcz przeciwnie.

W 2016 r. odbyłem wycieczkę po kilku krajach Ameryki Południowej, w tym Brazylii. Oczywiście szukałem tam śladów wielkiej piłki. A co znalazłem?

1. Jednym z głównych obiektów, który chcieliśmy zobaczyć w Rio, była oczywiście Maracana. Poza naszą wycieczką nie zastaliśmy tam żywego ducha. Stadion zamknięty na cztery spusty, żadnego muzeum ani sklepu z pamiątkami.

2. Ze swoich wycieczek zagranicznych przywoziłem wnukowi koszulki narodowych reprezentacji. Nie miałem kłopotu z ich kupieniem w Peru i Argentynie. Z Brazylii o mało nie wróciłem z pustymi rękami. W ostatniej chwili kupiłem koszulkę od ulicznego sprzedawcy. W sklepach z pamiątkami ich nie było. Widać nie było na nie zapotrzebowania.

3. Plaża Copacabana to miejsce kojarzące się ze szlifowaniem młodych talentów piłkarskich. My nie spotkaliśmy żadnego młodego piłkarza. Byli za to panowie po pięćdziesiątce popisujący się piękną techniką, grając w siatkonogę. Ale oni już reprezentacji Brazylii nie wzmocnią...

Wróciłem z przekonaniem, że wielka piłka w Brazylii to przeszłość. Niestety, miniona dekada potwierdziła moje obawy, a ostatni mundial jest tego potwierdzeniem.

Ze sportowym pozdrowieniem
Imię i nazwisko do wiadomości redakcji

„Do tej samej rzeki", Krystian Kratiuk, „DRz" nr 31/2026

Droga Redakcjo,
jestem pod wielkim wrażeniem felietonu P. Redaktora Krystiana Kratiuka pt. „Do tej samej rzeki", który ukazał się w nr. 31/2026 z datą 27 lipca–2 sierpnia.

Czytałam i płakałam! Wychowywałam się w atmosferze powstańczych wspomnień mojej rodziny, a mamy szczególnie, gdyż przeżywała gehennę powstania na krwawej Woli.

Z rozpaczą wspominała gorejącą nad Warszawą łunę pożarów i to wszystko, co Wisła widziała...

Pragnę przeto najgoręcej podziękować P. Redaktorowi Krystianowi Kratiukowi za Jego nadzwyczajną wrażliwość i piękne wzruszające wspomnienie tych strasznych dni, które dane mi było przeżyć.

Miałam wtedy pół roku...

Z wdzięcznością i poważaniem
Janina Biela z Warszawy

eprasa.pl 14333fb3fb



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Przeprosin nie będzie

Komunikat był suchy i lakoniczny: „Prokuratura Okręgowa w Gdańsku nie dopatrzyła się znamion czynu zabronionego". Jak wyjaśniono: „Nie zostało ustalone ponad wszelką wątpliwość, aby faktycznie Karol Nawrocki zamieszkiwał, czyli wynajmował" apartament w gdańskim muzeum.

Działania wyjaśniające prokuratury było następstwem doniesień, że Karol Nawrocki jako dyrektor muzeum przez ponad pół roku korzystał z apartamentu de luxe w kompleksie hotelowym należącym do placówki, mimo że mieszkał ok. 5 km od niej. Miał też nie płacić za ten pobyt. W środę 12 sierpnia gdańska prokuratura przekazała, że śledztwo umorzono.

Gdyby ktoś miał wątpliwości, czy śledczy wykonali swoją robotę rzetelnie – prokuratura wyraźnie zaznaczyła, że w toku śledztwa przesłuchano 41 świadków, w tym 37 osób pracujących w przeszłości i obecnie na terenie muzeum, a kilku świadków zostało przesłuchanych więcej niż raz. Ponadto zabezpieczono pełną dokumentację z Muzeum II Wojny Światowej mogącą dotyczyć sprawy.

Na początku 2025 r. Nawrocki tłumaczył, że podczas pandemii COVID-19 dwukrotnie spędził w apartamencie 10-dniową kwarantannę i zdalnie wykonywał swoje obowiązki. A co wtedy pisały media biorące na celownik ówczesnego kandydata na prezydenta? Przypomnijmy notatkę Onetu z 7 stycznia 2025 r.: „Kolejna odsłona »afery apartamentowej« z udziałem Karola Nawrockiego. Dziennikarze »Gazety Wyborczej« dotarli do dokumentów i relacji świadków sugerujących, że Nawrocki, w czasie gdy był dyrektorem Muzeum II Wojny Światowej, korzystał z 116-metrowego apartamentu w muzeum przez ponad pół roku, nie płacąc ani złotówki".

„GW" powoływała się na anonimowe wypowiedzi pracowników muzeum. Na ich bazie stworzono medialny news o apartamencie jako „statku miłości". 26 stycznia na portalu X czołowy „reporter śledczy" „GW" pisał: „– Niech pan sprawdzi, co to był »Statek miłości« – mówi b. pracownik Muzeum II WŚ. Pojęcie »statku miłości« pojawia się w rozmowach o Muzeum, z czasów gdy kierował nim Karol Nawrocki. Tak nazywano kompleks hotelowy instytucji". Ten ociekający wulgarnymi insynuacjami humbug natychmiast podchwycili niezliczeni autorzy komentarzy w Internecie. Używanie mieli kabareciarze. Autorzy podcastu Układ Zamknięty – youtuberzy Radosław Gruca i Wojciech Mulik – kpili: „Karol Nawrocki pałaszuje kiełbasę, jeździł do Moskwy, a jego kampania jest tonącym Statkiem Miłości".

Co wszyscy ci uczestnicy tej kłamliwej kampanii mają do powiedzenia dziś? Nic. Panuje milczenie pełne zakłopotania. Nie mają ochoty za nic przepraszać i nikt ich o nic nie pyta. Żaden magazyn „Press", żaden z portali zajmujących się mediami.

Przypomnijmy datę tamtego ataku. Styczeń 2025 r. – moment, gdy ogłoszono, że „Projekt Nawrocki" nie wypalił, i suflowano PiS zmianę kandydata. Wtedy się nie udało, a teraz, po czasie, wychodzi na jaw, jak podły był to atak. Po co za cokolwiek przepraszać? ©℗

NAWROCKI ODESŁAŁ „LEX SZARLATAN" DO TRYBUNAŁU

Prezydent skierował ustawę o prawach pacjenta, zwaną „lex szarlatan" lub „lex Big Pharma" do Trybunału Konstytucyjnego w trybie kontroli prewencyjnej. „Państwo musi chronić pacjentów przed oszustami, którzy żerują na chorobie i ludzkim strachu. Państwo musi jednak także opierać swoje działania na poszanowaniu konstytucji, wolności obywateli i swobody działalności gospodarczej" – tłumaczył Karol Nawrocki.



FOT. MIKOŁAJ BUJAK/KPRP

POLACY ZNÓW WIĘCEJ ZARABIAJĄ

Przeciętne miesięczne wynagrodzenie w sektorze przedsiębiorstw wyniosło w lipcu 2026 r. 9509,02 zł – ogłosił w ubiegłym tygodniu Główny Urząd Statystyczny. Wynagrodzenie w lipcu wzrosło więc o 6,8 proc. w skali roku, a miesiąc do miesiąca o 1,1 proc. Lipiec był kolejnym miesiącem, w którym podwyżki płac znacząco przewyższały tempo wzrostu cen. Inflacja konsumencka wyniosła bowiem w ubiegłym miesiącu 3 proc. (rok do roku). ©℗

eprasa.pl 14333fb3fb

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"



W PREZENCIE

KSIĄŻKA

SERHIJ RUDENKO:
„ZEŁENSKI. POZA SCENARIUSZEM"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~751 ZŁ~~

307,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 444 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

- Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
- Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 14333fb3fb



RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Kaftan dla Sadurskiego

Jak w serialu „Allo, allo": Michelle z ruchu oporu ma plan... Tym razem plan ma Wojciech Sadurski z Obozu Demokratycznego. Plan dotyczy Trybunału Konstytucyjnego i jest, można rzec, planem alternatywnym wobec zamiarów Tuska związanych z jego bliskim współpracownikiem, o których piszę w numerze. Gdyby nie poszło z Maciejem Berkiem – plan Sadurskiego jest do wzięcia.

Jaki to plan? Podobnie jak plany serialowej Michelle: genialnie prosty. Wybrani przez KO nowi członkowie Trybunału Konstytucyjnego powinni się gdzieś zebrać, w jakimś innym miejscu niż siedziba Trybunału, i ogłosić, że właściwa siedziba Trybunału jest tam gdzie oni. Następnie „ukonstytuować się" jako właściwy Trybunał, czyli po prostu ogłosić, że to oni są właściwym Trybunałem, a nie tamci. Powinni też ogłosić, że stanowią większość, ponieważ jest ich siedmiu, a tamtych, pisowskich niesędziów, tylko dziewięciu. Co prawda, w istocie jest ich tylko pięciu, bo dwoje nie złożyło wymaganego prawem ślubowania, ale wiadomo skądinąd, że sędzia demokratyczny wart jest wielokrotnie więcej niż niedemokratyczny, więc przewaga liczebna jest tak czy owak.

Potem zostaje tylko orzekać, przechodząc do porządku dziennego nad malkontenctwem „purystów", tkwiących w „pułapce prawniczego formalizmu" – jak choćby prof. Jacek Zaleśny z UW, cytowany przez pisowską „Rz": „To komunistyczne reminiscencje, które mają niewiele wspólnego z prawem. Nawet jeżeli ośmiu sędziów TK spotka się na VIP SOR-ze w Szpitalu Południowym, to nie będzie posiedzenie Trybunału, ale spotkanie towarzyskie". Tacy Zaleśni są jak reakcjoniści z czasów Bieruta, którzy nie rozumieli, że Obóz Demokratyczny (wtedy też się tak nazywał) to posłaniec historii, że realizuje on z woli Ludu oczekiwania Nowej Epoki i nie imają się go normy zgniłej, burżuazyjnej moralności oraz burżuazyjnego prawa.

W dawnej Turcji sułtani nagradzali zasłużonych specyficznym podarunkiem: kaftanem. Sądzę, że Sadurski zasłużył na takie właśnie wyróżnienie. Dodam, że kaftan powinien mieć długie rękawy. ©℗



JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Śmierć w imię prawdy

18 sierpnia minęło 50 lat od śmierci ks. Romana Kotlarza, kapłana zgładzonego przez SB za walkę w obronie wiary, polskości i godności człowieka. Był przedstawicielem pokolenia księży wyświęconych w latach stalinizmu, w czasie nasilającej się walki aparatu PRL z Kościołem. W działalności młodego wikarego można dostrzec bliźniacze wątki z biografią ks. Blachnickiego. Tylko w pierwszych latach swojej misji kapłańskiej obaj doświadczyli nieustannych zmian parafii. Przeprowadzki wymuszane były przez władze, a powodem było ogromne oddziaływanie na wiernych – płomienne kazania, odważne duszpasterstwo i obrona religii w szkołach. Był uwielbiany przez ludzi. Każdą zmianę parafii poprzedzały protesty, a pożegnania wikarego przeradzały się w manifestacje. Patrząc na działania ks. Kotlarza w tym okresie, widać, jak właśnie Jasnogórskie Śluby Narodu stały się dla niego duszpasterskim programem: wierność Bogu, Kościołowi i ojczyźnie, obrona nienarodzonych, troska o rodzinę i młodzież, walka z rozwiązłością i pijaństwem oraz to, co spowodowało największe represje – solidarność z prześladowanymi i obrona ludzkiej godności. 25 czerwca 1976 r. w Radomiu ks. Kotlarz przyłączył się do protestujących robotników, błogosławił im i wtedy został namierzony przez SB. Zaczęły się nękanie, wezwania i wizyty „nieznanych sprawców". Po jednej z takich wizyt, w trakcie której był bity i torturowany, zapadł poważnie na zdrowiu. Nie skarżył się, mimo pogarszającego się stanu zdrowia starał się wypełniać obowiązki proboszcza. 15 sierpnia, odprawiając Mszę św., osunął się przy ołtarzu ze słowami: „Matko, ratuj!". Zabrany do szpitala po trzech dniach zmarł. Śledztwa, podejmowane po latach, nie przyniosły rezultatów. Choć ta zbrodnia nigdy nie została osądzona, to w dobie kryzysu tożsamości kapłańskiej ten skromny „pracownik winnicy Pańskiej" może być dla polskiego duchowieństwa wzorem odwagi i ofiarnej służby. ©℗

eprasa.pl 14333fb3fb

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

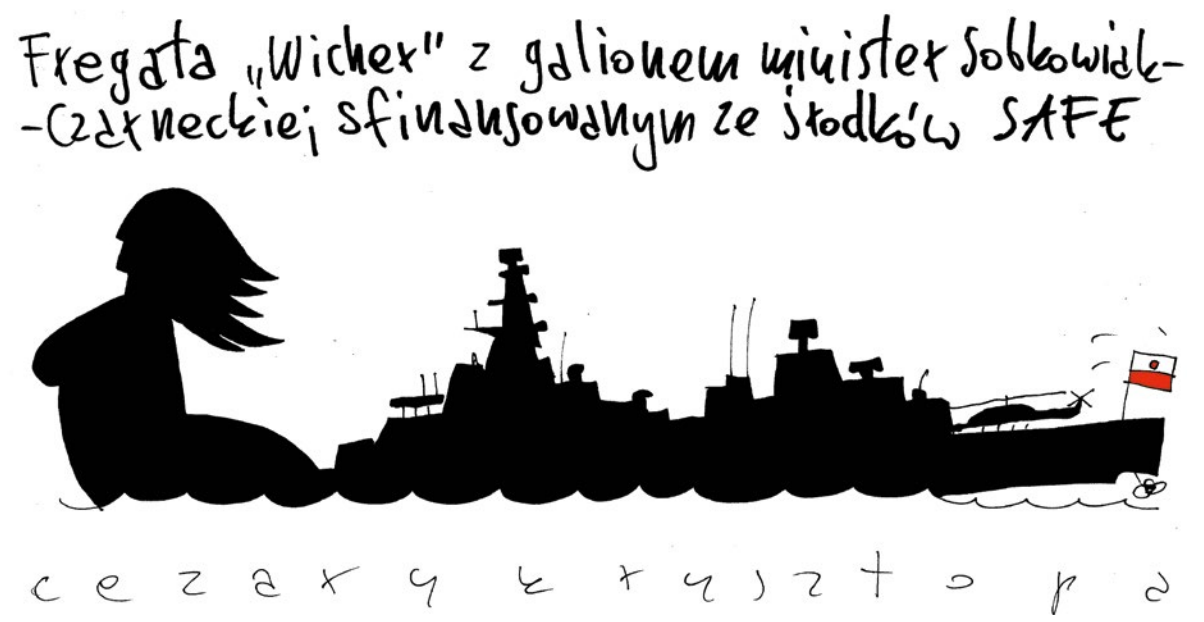

ĆWIERKOT

Jesteśmy torturowani



SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

Gdy przechodziło się ulicą Wiejską w Warszawie, w pobliżu Sejmu słychać było w minionym tygodniu donośne serie trzasków. Stop. Jak ustaliliśmy, nie ma żadnego niebezpieczeństwa, w sumie to nic takiego, to tylko dźwięk łamanych kręgosłupów koalicjantów Tuska. Stop. Otóż, jak pamiętamy, Donald Tusk po tym, jak odgrażał się, że sądy i trybunały muszą zostać odpolitycznione po tym wrednym PiS-ie, a jakby ktoś chciał iść do Trybunału po polityce, to musi odczekać cztery lata, więc po tych wszystkich historyjkach postanowił bezpośrednio z fotela ministra wsadzić Macieja Berka wprost do Trybunału Konstytucyjnego. Stop. Tuskowi jest jednak potrzebna bezwzględna większość głosów, żeby Berek został wybrany przez Sejm, Lewica i inni nie mogą się wstrzymać, choć część się odgrażała, że nie zagłosuje za Berkiem. Stop. Eee, nie wydaje mi się, że nie zagłosujecie tak, jak premier wam każe, ale sprawiedliwie przyznam, że nie liczono trzasków. Więc może jakiś kręgosłup ocalał? Zobaczymy!

Andrzej Domański, chwilowo na stanowisku ministra finansów, wystąpił z Tuskiem i ogłosił, że obniżają podatki, żeby ludziom żyło się jeszcze dostatniej, choć i tak już nie wiedzą, co z pieniędzmi robić. Stop. Tak tylko przypomnę, że pan Domański to ten, który w roku 2023 przyrzekał, że on osobiście gwarantuje podniesienie kwoty wolnej od podatku do 60 tys. zł. Stop. Teraz przedstawiali te niby zmiany, a przypadkowe społeczeństwo sprawdziło, że ludzie zarabiający do 12 tys. zł brutto na etacie nic nie zaoszczędzą, wcale nie skorzystają, i dalej już się nie chciało im sprawdzać. Stop. 85 proc. internautów uznało, że cały ten misterny plan to kosmetyka i ochłapy, a nie prawdziwa ulga. Stop. Niektórzy internauci to nawet sugerowali ministrowi niegrzecznie po ukraińsku, „Idi na…". Nieładnie! Uprasza się o kulturę słowa, gdyż to jednak chwilowo minister.

Tusk nie zbudował jeszcze statku kosmicznego. Chyba że skończył po tym, jak ten numer „Do Rzeczy" poszedł do druku. Jeśli tak, to przepraszam. Stop.

Profesor Marcin Matczak chce do polityki, ale z pewną taką nieśmiałością. „Załóżmy razem 50 Klubów Radykalnego Centrum w całej Polsce i nie pozwólmy, żeby skrajności odebrały nam rozum" – napisał. Stop. Polecam państwu tekst profesora: „Jesteśmy torturowani monologami idiotów". ©℗

eprasa.pl 14333fb3fb



ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

LIL MASTILLAH I CUD DRZEW

„Lil Masti przekonuje, że w Dubaju są drzewa" – czytając taki nagłówek, nie sposób nie kliknąć. No bo skoro influencerka musi przekonywać, że na ziemi jej marzeń są drzewa, to pytanie, czy naprawdę tam są. Aniela Woźniakowska wraz z mężem i dwojgiem małych dzieci od dwóch miesięcy rezyduje w emiracie. Ochom i achom nie ma końca. Najpierw Lil Masti ogłosiła, że dzięki przeprowadzce wyleczyła się z polskich przywar.



FOT. PAWEŁ WODZYŃSKI/EAST NEWS

Przywdziała już też tradycyjny strój oraz zachwycała się faktem, że w największym centrum handlowym – Dubai Mall – można uprawiać jogging. Zaczęła też publikować posty w języku arabskim. Teraz przekonuje krytycznych internautów, że Dubaj to wcale nie taka „betonoza". W nowym vlogu Woźniakowska zapewnia, że drzewa są, i to nawet sporo. – Czy mamy dosyć betonozy? Jak mamy jej mieć dosyć, jak z pełną świadomością przeprowadziliśmy się tutaj, wiedząc, jak tutaj jest, jak tutaj wygląda życie? Wiedząc, że Dubaj to jest pustynia, na której sztucznie jest wybudowane wielkie miasto. Jest też druga strona Dubaju, gdzie jest dużo właśnie tej zieleni, i właśnie w takiej okolicy mieszkamy. Okolica jest przepiękna. Myślę, że tutaj jest więcej zieleni niż w niektórych miejscach w Warszawie – mówi. Dalej influencerka zaczęła marsz po parku z kamerą. – Betonoza, betonoza, no nie ma betonozy, tak? Nasza okolica to jest okolica taka willowa, wszędzie są wille różnej wielkości – mniejsze, większe – i położone są właśnie wśród pięknej zieleni [...]. Zobaczcie, jak pięknie. Piękna roślinność, taka egzotyczna, latarnie bardzo nastrojowe wieczorem. I co tu dużo mówić? Ja się zachwycam, jak sobie tędy robię kroki – przekonuje. Nie tylko nie ma betonozy, lecz także skrajne upały są świetne. – Od razu jestem cała spocona, przy okazji się opalam, więc przyjemne z pożytecznym. Wypacam się, jednocześnie się opalam, uprawiam aktywność fizyczną. Czuję się super – podkreśliła Aniela. A wredni obserwatorzy już ukuli dla niej nowy przydomek – Lil Mastillah, ewentualnie Aniellah Mastillah. No całkiem zabawne, trzeba przyznać.

BACZNOŚĆ, SZCZEPKOWSKA MÓWI!

Mniej zabawne są kolejne polityczne wywody Joanny Szczepkowskiej. Aktorka nie przepuści żadnej okazji, żeby wbić szpilę prezydentowi i pochwalić premiera. Tym razem wzięła na tapet Święto Wojska Polskiego. Szczepkowskiej nie spodobała się krytyka programu pożyczek SAFE. „Wrzeszczy, że SAFE nie oznacza bezpieczeństwa. Czy można sobie wyobrazić coś groźniejszego niż sianie wątpliwości w żołnierzach? Polityczne przeciąganie na swoją stronę?" – napisała, odnosząc się do wystąpienia Karola Nawrockiego. „Nie mogę patrzeć i słuchać wrzasku Nawrockiego: jego »czołem żołnierze« ma energię kibolskiej agresji. To jest przeciwne do roli, jaką ma spełniać żołnierz polski. Jest obrońcą, nie agresorem" – przekonuje. „Czegoś bardzo ciekawego dowiedzieliśmy się dzisiaj od prezydenta, historyka podobno. Wywrzeszczał w mikrofon, że polskie wojsko od wieków ma na sztandarach to hasło: »Bóg, Honor, Ojczyzna«. To kłamstwo. Pan Nawrocki, który na ciebie wrzeszczy o patriotyzmie, nie ma pojęcia nie tylko o SAFE, lecz także nawet o historii polskiego sztandaru" – oceniła Szczepkowska. Na koniec odesłała prezydenta do szkoły podstawowej. „Zanim się skompromitujesz przed wojskiem, zajrzyj czasem do historii. I jeszcze jedno. Prezydent wspomniał coś o naszych żołnierzach jako o obrońcach Monte Cassino... Nawrocki do podstawówki!" – zakończyła. Dobrze, że nie do wora i dalej wiadomo gdzie.

PRZEZ TWE KARTY ZABLOKOWANE

Najgęstsze na koniec. Znany z bycia synem „tego" Martyniuka Daniel Martyniuk ponownie uaktywnił się na Instagramie – co zazwyczaj oznacza kłopoty. Z licznych, chaotycznych wypowiedzi można wywnioskować, że 37-latek domaga się od rodziców 100 tys. zł. Za co? Trudno stwierdzić. Dalej nie było lepiej. – Jak tak w ogóle można gadać, że „rodzice poblokowali mu karty"? Moje karty. Na moim własnym, prywatnym koncie. To nie powinno mieć w ogóle nigdy w życiu miejsca. To wszystko jest nielegalne. Na to jest paragraf, ludzie. Zrozumiane to jest, czy nie ku..a, jakim ku..a cudem to się stało dzisiaj, co? Nie wiadomo jakim, nie? Nic nie udowodnisz. Dwie karty nagle poblokowane. Zbieg okoliczności. Parszywcy z banku. Przecież to nie są podpięte karty pod konto mojego ojca chyba, nie? Tylko na moim koncie. To są moje pieniądze. I zostały tak naprawdę zablokowane. Dwie, dwie naraz. Tak nie może być – grzmiał bełkotliwie (z szacunku dla czytelników autorka usunęła z cytatu większość występujących w oryginale przekleństw). Daniel nie oszczędził również stacji TTV, która w październiku wyemituje program „Nasi w mundurach" z jego udziałem: – TTV je..ć was, je..ć was. ©℗

eprasa.pl 14333fb3fb



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, jako iż żyjemy od lat w naszym korpo w tyranii Nowego z Tarnowa, nawet mimo zmian ustroju jakimś cudem ten fanatyk, ksenofob i fashysta utrzymał się na stanowisku, postanowiliśmy, iż czas najwyższy coś zmienić, i rozpoczęliśmy poszukiwania pracy za pomocą wiodących w kraju serwisów z ogłoszeniami oraz pewnej platformy społecznościowej dla profesjonalistów, która pełna jest dowodów na to, iż dostęp do darmowych narzędzi AI jest dziś jak dostęp w tym kraju do alkoholu – zbyt łatwy i nie wszyscy potrafią z tego właściwie korzystać.

Postanowiliśmy więc zrobić gruntowny research tego, czego możemy się spodziewać, i niestety nie jest dobrze, ponieważ rynek pracy istnieje ewidentnie w Warszawie, a w mniejszych ośrodkach, takich jak Kraków, Katowice czy Wrocław, już raczej niekoniecznie. Widać też wyraźny kryzys zaufania – przedsiębiorcy obawiają się, iż pracownicy mogą mieć zbyt komfortowo na pracy zdalnej. A po co komu zrelaksowany i wypoczęty pracownik? Mamy więc wrażenie, iż dominuje model hybrydowy z możliwością pracy przez dwie godziny rocznie z domu po okazaniu notarialnego zaświadczenia, iż ani na moment się nie odejdzie od biurka.

Zbadaliśmy też nastawienie firm do tego, co oferować pracownikom, i niestety okazuje się, iż na listach zatytułowanych „na co możesz liczyć" najczęściej nie ma wynagrodzenia. Są, owszem, benefity nastawione na rozwój, takie jak szkolenia, oczywiście w wielu firmach można liczyć na dostęp do służbowego komputera oraz telefonu, ale wygląda na to, iż w późnym neoliberalizmie niestety pensja nie jest tym, czym się chce przyciągać pracowników do firmy.

Z jednej strony to rozumiemy, iż pensje pracowników są kulą u nogi polskiego biznesu i polski pracownik jest obecnie po prostu zbyt drogi, aby go utrzymywać, płacić za niego wszystkie składki i podatki – zupełnie jakby nie mógł tego zrobić sam. Odnosimy też wrażenie, iż część firm najchętniej przeszłaby z pracownikami na model barterowy, co może być trudne w firmach produkujących aplikacje webowe czy sieci trakcyjne.



cezary krysztopa

No i teraz się zastanawiamy co dalej – czy pchać się w nieznane czy znosić dalej to, iż Nowy od czasu do czasu zapędzi nas przed rozpoczęciem pracy na śpiewanie godzinek albo zorganizuje księdza na rekolekcje w czasie wielkiego postu – co ostatecznie dzieje się raz w roku i można na to przymknąć oko…

Jako iż są nadal wakacje, chociaż smuteczek, iż się kończą, to nie ustają prześladowania ze strony Polaków z dziećmi – ostatnio zwłaszcza na pokładzie samolotów. Świadczy to o postępującej rozrzutności beneficjentów „800+" – kiedyś tylko zapaskudzali dziecięcymi odchodami wydmy nad morzem, teraz są roszczeniowi w czasie lotów i najczęściej terroryzują otoczenie, wymuszając dla swoich dzieci miejsce przy oknie.

Serio, jak tak zaglądamy na wiodące portale, to codziennie widzimy nagłówek: NIE ZAMIENIŁ SIĘ Z DZIECKIEM MIEJSCEM PRZY OKNIE. Kochani, to już wygląda na poważny kryzys cywilizacyjny.

Co będzie dalej? Do czego posuną się Polacy, aby uprzykrzyć innym życie? Będą się pewnie domagać, iżby z dziećmi można wchodzić do restauracji i sklepów i stresować tym samym zneurotyzowane psieci – niedoczekanie! ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Musi tak wyć!

… no i teraz zobacz, Donek, ja tu naciskam enter…
Nie, czekaj, Marcin, ja sobie nacisnę, OK?

Dobra, ale uważaj, bo…
Co to za wycie?!
Weź to wyłącz!

To twój telefon!
Tego się nie da wyłączyć!
Musi tak wyć pięć minut!
Ale jak: mój telefon?!
Wyciszony jest przecież!

Nie szkodzi! Właśnie tak to ma działać: mogą sobie wyciszać, a i tak im alarmowo zawyje!
I mnie też?! Zwariowałeś?! A jak będę akurat wnuczce bajkę czytał?!

To ciebie się ręcznie wyłączy z systemu. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Nienawidzę defilad […], bo defilady to ekshibicjonistyczne chwalenie się narzędziami mordu".

MAGDALENA ŚRODA, *filozof, na Facebooku*

eprasa.pl 14333fb3fb

dwaj panowie g

Ludzie Mariusza Błaszczaka, tudzież on sam, przekonują podobno, że już wiosną odbędzie się zjazd zjednoczeniowy. Z kim? Z grupą Morawieckiego. Przekaz idzie taki, że niby wszystko to było uzgodnione i zaplanowane, jako genialny manewr, który prowadzi ku zwycięstwu. Cóż, nie tylko mamy wątpliwości, ale chyba też potrafimy je uzasadnić.

Powyższe działanie jest odbierane przez część trzeźwo myślących ludzi w PiS jako uzgodnione z Naczelnikiem działanie PR-owskie, przeciwbólowe, którego celem jest utrzymywanie ludu pisowskiego w przekonaniu, że wszystko będzie dobrze. Widzimy też drugie możliwe wytłumaczenie. Przecież rozpowszechniając takie plotki, „maślarze" poprawiają przede wszystkim własny wizerunek: bo skoro wszystko ma się skończyć dobrze, to po co teraz wkurzać się na tych, którzy morawian z partii wygryźli?

Nie zmienia to faktu, że w PiS rozpoczęło się polowanie na odchylenie centroliberalne, czyli na sieroty po ojcu Mateuszu. Istnieje bowiem powszechne podejrzenie, że są w partii tacy, którzy nie odeszli na razie tylko dlatego, że akurat nie chcieli lub poważnie traktują lojalność – ale w duchu są ludźmi morawianami. Proponujemy, żeby wprowadzić w partii system dwustopniowej weryfikacji. Podpisanie lojalki, że jest się w PiS, to będzie tylko pierwszy stopień. Jako drugi proponujemy logo partii na piersi siną barwą kłute oraz dziary na dłoniach, żeby nie dało się ich ukryć podczas wystąpień telewizyjnych.

Natomiast co do powszechnego przekonania, że są w partii tacy, którzy jeszcze nie odeszli, ale wkrótce pójdą za Morawieckim – cóż, informujemy, że jest ono prawdziwe. Z tego, co słyszeliśmy we wrześniu, w kilku województwach odbędą się exodusy lokalnych działaczy do morawian. Tak z głowy wymienimy trzy: Dolny Śląsk, Świętokrzyskie i Mazowieckie.

Jeszcze na temat frondy morawian. Pamiętacie, jak gruchnęła wieść, że wśród szykujących się do odejścia z PiS



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

eprasa.pl 14333fb3fb

są także Krwawy Mario Kamiński oraz Maciej Wąsik? Od początku wydawało nam się to dziwne, bo wiemy, że akurat tej pary morawianie nie cierpią jeszcze bardziej od Ziobry. Popytaliśmy więc tu i ówdzie i sprawa się wyjaśniła. Otóż faktycznie obaj panowie wysyłali sygnały, że są bardzo niezadowoleni z tego, jak traktuje ich Naczelnik. Zwłaszcza z tego, że Kamiński przestał być wiceprezesem partii. Z kolei Naczelnik miał pretensje o to, że panom nie podobał się sojusz PiS z Republikanami. Ostatecznie skończyło się na tym, że Kamiński i Wąsik zostali w partii, ale podobno podpisując własne wersje lojalek.

Wszystko to nie zmienia faktu, że z jakichś powodów na Nowogrodzkiej panuje głębokie samozadowolenie, gdyż obowiązująca narracja jest taka: Morawiecki poniżej progu, a PiS blisko Platformy, Koalicji czy Kolacji Obywatelskiej (nie pamiętamy już w sumie, jak oni się teraz nazywają). Samozadowolenie to jest wzmacniane przez interpretację sondaży. Widzimy dwa słabe punkty w tej narracji. Pierwszy: kto robi sondaże. Drugi: kto je interpretuje.

Powracamy do palącej kwestii, jaką jest opcja nazwania nowej partii ojca Mateusza mianem Wielkiej Polski. Oznaczałoby to, jak już zauważyliśmy przed tygodniem, że Mateusz uciekł z Konfederacji Bis, czyli PiS, by założyć Konfederację Light. Ale dopiero poniewczasie uświadomiliśmy sobie w pełni konsekwencje tego faktu. Otóż takie posunięcie oznaczałoby, że po prawej stronie walczą ze sobą już cztery Konfederacje: Mentzenobosaka, Brauna, Kaczyńskiego oraz Morawieckiego. Takie czasy: wszyscy chcą być Konfederacją.

Nasze wiewiórki zaklinają się, że po mieście chodzą taśmy. I to nie byle jakie, ponieważ ma na nich wybrzmiewać głos, którego nie da się pomylić z żadnym innym. Głos Grzegorza Brauna. Wiewiórki przekonują, że Grzegorz rozmawia o ściąganiu do Polski siły roboczej z dość odległych rejonów, a mianowicie z Afganistanu i Pakistanu. Brzmi to dość wiarygodnie – bo przecież nie z Ukrainy.

Zwyciężył wolny rynek! Nareszcie! W ramach promocji marki, jaką jest Polska, możecie wybierać, czy podoba się wam bardziej, że jej symbolem jest Lech Wałęsa czy może Maryla Rodowicz z Anją Rubik. Oraz Fryderyk Chopin. I Robert Lewandowski. Jesteśmy pełni uznania. Wskazanie tych symboli, zwłaszcza Chopina i Lewandowskiego, musiało być wysiłkiem nie lada. Porównywalnym jedynie do wskazania Jana Pawła II, ale tej kandydatury, z powodów oczywistych, pełnomocniczka rządu do spraw promocji marki nie mogła wskazać.

Gród Kraka nawiedził sam Donald. I obiecał metro. Cóż szkodzi obiecać? Od razu zaznaczył jednak, że z budżetu państwa nie da ani grosza i wspomniał o partnerstwie prywatno-publicznym

My, z okazji nominacji dr hab. Barbary Mróz-Gorgoń, prof. UEW, na pełnomocnika rządu do spraw promocji marki Polski ukuliśmy żarcik. Brzmi on tak: pełnomocniczka do promocji marki? Jakiej marki? Niemieckiej! Jak upadnie strefa euro i wszyscy wrócą do starych walut, będzie jak znalazł.

Zupełnie natomiast nie rozumiemy oburzenia, jakie wywołał fakt, że kupiony za 200 tys. ziko raport „Polaków Portret Własny", dotyczący DNA marki Polska, został napisany przez sztuczną inteligencję. Przecież to oczywiste: jak się nie ma własnej inteligencji, to się sięga po sztuczną.

Co do rozmaitych pomysłów na promocję marki, jaką jest Polska – cóż, może nie mamy takiej pamięci jak Jarosław Kaczyński, ale pamiętamy to i owo z czasów poprzedniego reżimu PO. Nie tylko czekoladowego orła, którym uczcił Polskę ówczesny prezydent Bronisław I Wąsaty. Na przykład konkurs na logo Polski, który ogłosił za poprzedniej kadencji Radek Sikorski. Wygrała sprężynka. Czy ktoś pamięta jeszcze sprężynkę? My najbardziej pamiętamy, że dużo kosztowała. Jak chcecie sobie przypomnieć to dziwo, to wejdźcie na wciąż z jakiegoś powodu istniejącą stronę logodlapolski.pl.

Z niecierpliwością czekamy natomiast na rozstrzygnięcie ogłoszonego niedawno przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych konkursu na logo nowej wersji systemu „Odyseusz" dla osób podróżujących za granicę. Wydaje nam się, że mamy zwycięską propozycję: Matt Damon.

Tymczasem Gród Kraka nawiedził sam Donald. I obiecał metro. Cóż szkodzi obiecać?. Od razu zaznaczył jednak, że z budżetu państwa nie da ani grosza, i wspomniał o partnerstwie prywatno-publicznym. To ten słynny model, w którym koszty są ponoszone ze środków publicznych, a zyski konsumowane już przez sektor prywatny.

Skoro o pieniądzach mowa. U pewnych państwa należących do najbogatszych Polaków miał się pojawić pewien mecenas z pewnym milionerem, choć nieco podupadłym. Panowie mieli obiecać miliarderom, że urządzą im takie kęsim-kęsim, jakiego Polska jeszcze nie widziała, jeśli przyszłoby im do głowy wspierać opozycję. Skończyło się na trzech milionach. Euro.

Zmiany, zmiany. Stadion Narodowy zmienia np. sponsora. I zamiast PGE Narodowy będzie się teraz nazywał Orlen Narodowy. Przyjmujemy tę zmianę z radością. Nie dlatego, że preferujemy jakąś spółkę Skarbu Państwa ponad inną, ale dlatego, że kolejny krok jawi nam się jako logiczny i naturalny oraz spójny z Wielkimi Cywilizacyjnymi Projektami Platformy. Otóż od Orlen Narodowy bardzo blisko już do Orlik Narodowy, nieprawdaż? ©℗

eprasa.pl 14333fb3fb

POKAZ SIŁY NATO NA POLSKIM NIEBIE

W ubiegłym tygodniu, zaledwie kilka dni po obchodach Święta Wojska Polskiego – podczas których w Warszawie odbyła się defilada wojskowa z udziałem blisko 2 tys. żołnierzy, 300 pojazdów i 60 statków powietrznych – na polskim niebie odbył się pokaz wojskowej potęgi NATO na niespotykaną dotąd nad Polską skalę.

Przy okazji ćwiczeń „Eastern Sentry" („Wschodnia Straż") 18 i 19 sierpnia na polskim niebie pojawiło się ok. 50 samolotów bojowych oraz wsparcia. Część z nich miała wyłączone transpondery. Wiadomo jednak, że na polskim niebie ćwiczyły m.in. myśliwce F-16 i F-35, śmigłowce AH-64E Apache, transportowe C-40A Clipper, samolot zwiadu elektronicznego ARTEMIS II, należąca do Sił Powietrznych USA potężna maszyna do walki elektronicznej EA-37B Compass Call, amerykański morski samolot patrolowy i rozpoznawczy dalekiego zasięgu P-8A Poseidon, europejskie latające cysterny Airbus A330-243 MRTT, Gulfstreamy G550, amerykański Boeing KC-135T Stratotanker czy należący do USA samolot wczesnego ostrzegania, dowodzenia i kontroli Boeing E-3 Sentry (AWACS). Potężne wojskowe maszyny odbywały loty głównie nad północno-wschodnią częścią kraju. Podczas ćwiczeń samoloty NATO okrążyły m.in. należący do Rosji obwód królewiecki.

Nie wiadomo, czy bezprecedensowe manewry były jedynie demonstracją siły, mającą pokazać Rosjanom gotowość NATO do obrony wschodniej flanki przed ewentualnym atakiem, czy było to jednocześnie praktyczne ćwiczenie uderzenia na rosyjski obwód królewiecki. NATO rozpoczęło operację „Eastern Sentry" we wrześniu ubiegłego roku, po naruszeniu polskiej przestrzeni powietrznej przez rosyjskie drony, do którego doszło w nocy z 9 na 10 września 2025 r.

Na głównym zdjęciu F-16 uzupełnia paliwo za pomocą sztywnego przewodu tankującego Stratotankera w obszarze odpowiedzialności Centralnego Dowództwa Stanów Zjednoczonych, 22 lipca 2026 r. ***(jap)*** ©℗

FOT. SENIOR AIRMAN ADRIANA JORDAN-ALCANIZ/U.S. AIR FORCE



EA-37B Compass Call FOT. L3HARRIS TECHNOLOGIES, INC.

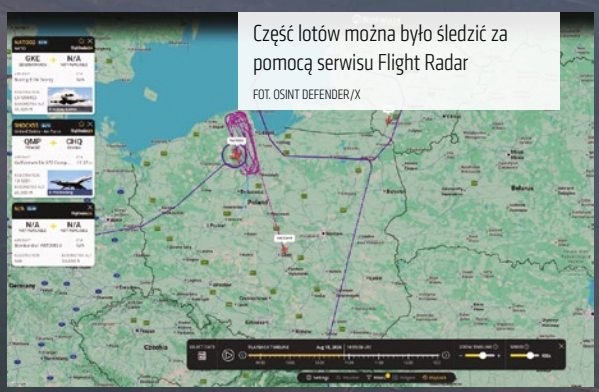

Część lotów można było śledzić za pomocą serwisu Flight Radar

FOT. OSINT DEFENDER/X

eprasa.pl 14333fb3fb



F-35 „Husarz” FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Boeing E-3 Sentry (AWACS) FOT. SENIOR AIRMAN ROSLYN WARD /USAF.MIL

eprasa.pl 14333fb3fb

Polska sama

Dwóch publicystów krytycznie patrzy na podzieloną na dwa obozy polską scenę polityczną i prowadzi ze sobą rozmowy bez żadnej cenzury. Przedstawiamy wybrane fragmenty „Antysystemu”



Redaktor naczelny „Do Rzeczy” Paweł Lisicki i felietonista naszego tygodnika Wojciech Cejrowski

FOT. YOUTUBE.COM/@TYGODNIKDORZECZY

Listopad 2025 r.

PAWEŁ LISICKI: Zwykle przygotowujemy się do naszych rozmów w ten sposób, że ja wysyłam jakieś materiały czy teksty, które później wspólnie omawiamy. Bywa jednak również inaczej i tak jest w tym wypadku. Zdaje się, że pewna sprawa bardzo Pana oburzyła. Chodzi o decyzję Karola Nawrockiego, który w listopadzie 2025 r. odmówił zgody na nominowanie na pierwsze stopnie oficerskie ponad 130 funkcjonariuszy SKW i ABW. Wywołało to niezwykle ostrą krytykę po stronie rządowej, ale prezydent tłumaczył, że nie zrobił tego bez powodu. Wcześniej Donald Tusk miał zakazać szefom służb specjalnych spotykać się z prezydentem, a podczas posiedzenia Kolegium do spraw Służb Specjalnych odmówiono mu udzielenia informacji dotyczących bezpieczeństwa państwa.

WOJCIECH CEJROWSKI: Sama niezgoda na awans w ogóle mnie nie rusza. To są decyzje prezydenta. Natomiast fakt, że jedna władza nie daje drugiej dostępu do ważnych, być może wręcz kluczowych informacji w kontaktach międzynarodowych… Przecież prezydent Rzeczypospolitej musi orientować się w tym, czego dowiedział się wywiad wojskowy, niezależnie od tego, kim jest. Część decyzji państwowych zależy od prezydenta. Głowa państwa nie musi w każdej sprawie konsultować się z premierem kraju. Taki mamy w Polsce system. To zresztą w jakimś sensie uzasadnione, bo podobnie jest przy korekcie książki. Korektorów jest dwóch: czego jeden nie wypatrzy, może zauważyć drugi. Kiedy mamy dwóch korektorów polityki zagranicznej, wojskowej czy wewnętrznej, to rośnie szansa uniknięcia błędów. Donald Tusk nie zauważa pewnych rzeczy, bo zamknął prawe oko. Karol Nawrocki jest drugim korektorem, on ma prawe oko otwarte, więc może coś zauważy. Dlatego brak udostępnienia prezydentowi danych, które zebrał wywiad wojskowy, to skandal.

P.L.: Jest rzeczą całkowicie niepodważalną, że prezydent powinien mieć dostęp do takich informacji. Przecież z konstytucji wynika, że to on jest formalnie naczelnym zwierzchnikiem sił zbrojnych. Jak miałby wykonywać tę funkcję, skoro nie ma podstawowych informacji od wywiadu?

W.C.: Nie da się, proszę Pana. To jednak jest już problem zawarty w konstytucji. Dlatego Karol Nawrocki chciałby ją napisać od nowa. Mam nadzieję, że to się uda, bo przeredagowywanie tego szmelcu, który napisali komuniści pod wodzą pijaka Aleksandra Kwaśniewskiego, nie ma żadnego sensu. Polska musi mieć zupełnie nową konstytucję, opartą na nowych doświadczeniach. Jesteśmy dziś innym społeczeństwem niż trzydzieści lat temu. Nadal się kłócimy, ale inaczej. Widzimy, że demokracja to jest starcie populistycznych ruchów. Ktoś wychodzi, obiecuje baniaLuki, ale ludzie w to wierzą – i tak grzebią w komórce i są zainteresowani tylko doraźną radością. Nieważne nawet, czy radość zakończy się spełnieniem obietnicy. Ktoś obiecał, że będą tanie porzeczki, i to już wystarczy, ucieszyliśmy się. Może nie pójdziemy nawet nigdy do Biedronki, żeby sprawdzić, czy porzeczki naprawdę są tanie, ale mieliśmy już swój moment uciechy. Tak funkcjonuje ogromna część młodszych wyborców. Wiedząc zatem, jak to wszystko działa, powinniśmy napisać adekwatną konstytucję. Trzeba zadbać o to, żeby Donald Tusk nie mógł bezkarnie obiecać stu rzeczy, z których później żadnej nie zrobi. Wielki młodzieżowy

eprasa.pl 14333fb3fb

się wykańcza



blok wyborczy nie myśli o rozliczeniach. Żyje jak ryba gupik, która pamięta trzy ostatnie sekundy. Ci ludzie zapomnieli, że miesiąc temu ktoś obiecał im tanie porzeczki. Dlatego nigdy nie będą rozliczać Donalda Tuska za to, co obiecał w czasie wyborów. Wyborcy czuli się doskonale, kiedy im obiecywał, i na niego zagłosowali: nie dlatego, że coś naprawdę zrobi, ale dlatego, że dobrze się tego słuchało. Konstytucja musi brać pod uwagę taką mechanikę demokracji. Dodatkowo nowa konstytucja musi też zwiększyć uprawnienia prezydenta w zakresie wojska. Prezydent nie może być tylko dekoracją dla sił zbrojnych, ale musi mieć tu realną władzę. Jeżeli takiej realnej władzy nie ma, to niech się nie nazywa zwierzchnikiem sił zbrojnych. Wtedy wyłączną kontrolę nad wojskiem powinien mieć minister. Trzeba się na coś zdecydować.

P.L.: Dwupodział władzy, o którym Pan mówi, jest jedną z głównych przyczyn niszczących polski system polityczny. Zgadzam się, że trzeba to uprościć i zdecydować się na coś konkretnego. Historia ze służbami specjalnymi jest dowodem dysfunkcyjności tego dwupodziału. Polska polityka toczy się w atmosferze nieprawdopodobnej wręcz plemienności. Pan zakłada, że zarówno prezydentowi, jak i premierowi powinno leżeć na sercu dobro Polski, a w związku z tym powinni ze sobą współpracować – przynajmniej tam, gdzie nie chodzi o bezpośrednią walkę partyjną. To jest słuszne założenie w sensie teoretycznym, ale w polskiej praktyce upartyjnione jest dosłownie wszystko. Postulat, by prezydent i premier współdziałali ponad podziałami plemiennymi, jest kompletnie nierealistyczny.

W.C.: To nie jest założenie, tylko marzenie. Nie oszukujmy naszych czytelników, że takie marzenie kiedykolwiek się ziści. Jeżeli tak będzie, to znaczy, że obudziliśmy się w całkowicie nowej rzeczywistości. Na razie mamy, jak Pan to ujął, konflikt plemienny, a każda z grup stara się za wszelką cenę pokonać pozostałe.

P.L.: Trzeba tę sprawę pokazać w całej ostrości. Wszyscy pamiętamy, co działo się kilka tygodni przed blokadą prezydenta Karola Nawrockiego dla nominacji funkcjonariuszy służb. 10 września wleciały do Polski słynne drony. Zachodni przywódcy, w tym prezydent USA Donald Trump, sugerowali, że mogło dojść do pomyłki, to znaczy, że tak naprawdę nie wiadomo, dlaczego te maszyny pojawiły się na naszym terytorium. Wreszcie nawet sekretarz generalny NATO, pan Mark Rutte, powiedział na antenie amerykańskiej Fox News, że to nie był atak celowy. Nasi partnerzy pozostali zatem sceptyczni co do zdefiniowania charakteru tych wydarzeń. Tymczasem w Polsce sam premier Donald Tusk rzucił już od pierwszych chwil narrację propagandową o tym, że to był atak na Polskę. Dokładnie to samo zrobiło Ministerstwo Obrony Narodowej. Przedstawiano to z prawdziwie wściekłą emfazą. Wkrótce dołączyło do tego chóru Biuro Bezpieczeństwa Narodowego, czyli zaplecze prezydenta Karola Nawrockiego. Wyciągam z tego wszystkiego jeden konkretny wniosek. Otóż moim zdaniem mieliśmy do czynienia z operacją propagandową na ogromną skalę, która miała dać premierowi Tuskowi asumpt do tego, by pokazać, że to on stoi na czele kraju broniącego się przed Rosjanami. Opozycja w postaci PiS oraz politycy skupieni wokół prezydenta zagrali dokładnie na tę samą melodię, bo zostali do tego popchnięci w dużym stopniu przez rusofobię. Pozwolili się wykorzystać drugiej stronie

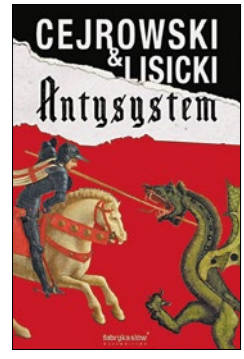

eprasa.pl 14333fb3fb

do operacji propagandowej Tuska, która miała na celu wzmocnić go i zaprezentować jako obrońcę Polski i zachodniej cywilizacji.

W.C.: Mamy dwa zwalczające się plemiona, które w pewnych momentach jednoczy rusofobia. Można byłoby powiedzieć, że to dobrze, bo jest między nimi wreszcie coś wspólnego; ja zresztą też nienawidzę Ruskich, więc tu ich rozumiem. Tyle że w tym wypadku ta rusofobia ich zaślepia. To szkodliwe. Zastanawiam się jednak, co powinien był zrobić w tej sytuacji prezydent. Mam wprawdzie na sobie koszulkę z prezydentem Trumpem, ale wczuwam się w rolę Karola Nawrockiego. Siedzę więc w jego gabinecie. Z Tuskiem jednoczy mnie rusofobia. Jednak Tuska i jego plemienia nie znoszę, chcę ich pokonać. Jak rozbroić bombę, którą mi podłożył? On wie, że jestem rusofobem i zeżrę ciastko, które mi podrzucił… Otóż moim zdaniem prezydent powinien w tej sytuacji skorzystać ze swoich uprawnień jako zwierzchnik sił zbrojnych. Powinien zaprosić do siebie generała, który ogłosił, że doszło do świadomego i złośliwego ataku Ruskich. Prezydent mógłby przy kamerach ogłosić, że jako rusofob jest bardzo zaniepokojony tymi wydarzeniami. Następnie poprosiłby, żeby wojskowi ustalili, co się wydarzyło, i publicznie ogłosili, jak do tego doszło, oczywiście bez ujawniania tajnych informacji. Następnie po wyłączeniu kamer wojskowi niech opowiedzą prezydentowi to, czego ujawnić nie było wolno, a on przedstawi to w odpowiedni sposób narodowi. Tak oto bomba, którą podrzucił Tusk, zostałaby rozbrojona, bo zakładam, że dowodów na celowy atak Ruskich wcale nie było.

P.L.: Problem w tym, że poczynił Pan jedno nierealistyczne założenie. Otóż Pan uważa, że ci ludzie mogą kontrolować swoją rusofobię. Ja zaś twierdzę, że oni nad tym nie panują: to ich po prostu zaślepia. Mniej winię samego prezydenta, który zachowywał się jeszcze dość ostrożnie. Jego współpracownicy poszli jednak na całość. Mówili, że wlot tych dronów to moment powszechnego zjednoczenia narodowego. Dali się podejść jak dzieci, bo właśnie o to chodziło Tuskowi: wywołać atmosferę, w której zaplecze prezydenta zajmie z góry wyznaczone mu miejsca.

Wojciech Cejrowski: Mamy dwa zwalczające się plemiona, które w pewnych momentach jednoczy rusofobia. Ja też nienawidzę Ruskich, więc tu ich rozumiem. Tyle że w tym wypadku ta rusofobia ich zaślepia

W.C.: Skoro nienawidzą Tuska, to czemu się jednoczą?

P.L.: Bo to zależy, czego nienawidzi się bardziej. Okazuje się, że przekonanie o rosyjskim ataku jest silniejsze nawet od niechęci do Tuska. Ludzie wokół prezydenta nie rozumieli, jakie cele realizuje szef rządu. Pierwszym z tych celów było podbudowanie własnej pozycji. Drugim, ważniejszym, wzmocnienie narracji o zagrożeniu wojną, przed którą jedyną obroną miałby być wzrost centralizmu Unii Europejskiej. Efekt jest taki, że po 10 września sondaże poparcia dla Donalda Tuska zaczęły rosnąć, a w przypadku opozycji spadały albo stały w miejscu.

W.C.: A w jaki sposób unijny centralizm miałby pomóc w obronie przed Rosją?

P.L.: Narracja jest bardzo prosta. Jeżeli Tuskowi uda się przekonać opinię publiczną oraz partnerów na Zachodzie, że Rosja atakuje, to łatwiej będzie forsować rezygnację z kompetencji narodowych. Można będzie powiedzieć, że w obliczu tego zagrożenia koniecznością stało się zaciągnięcie wspólnego długu na obronę; że poszczególne państwa nie powinny już prowadzić własnej polityki energetycznej, bo wszystkim trzeba zajmować się centralnie, tak by „skutecznie" odpowiadać na wyzwania. O to chodzi.

W.C.: Czy to leży jednak w interesie Francji albo Niemiec? Przecież oba te kraje już dawno temu zaczęły dogadywać się z Rosją. Oni mają dosyć całej tej wojny na Ukrainie. Niemcy chcieliby znowu kupować rosyjskie ropę i gaz. Nawet niemiecka opozycja mówi, że trzeba się wycofać z ograniczeń.

P.L.: Niech Pan zauważy, kto jest w tzw. koalicji chętnych. Oprócz Polski to jeszcze Wielka Brytania oraz właśnie Niemcy i Francja.

W.C.: To jest koalicja chętnych pozorantów, nic więcej. Za tym nic nie idzie.

P.L.: Nic wojennego, bo nie o wojnę tu chodzi. Cała ta historia jest pozorowana po to, by zacieśniać unijny centralizm. Przecież ta propaganda wojenna jest absurdalna, bo wszyscy widzą, w jakim tempie Rosja przesuwa linię frontu. Gdyby to miało wyglądać tak dalej, to nie wiem, ile jeszcze lat zajęłoby im dojście do Kijowa.

W.C.: Słuchałem, proszę Pana, wypowiedzi fachowców – i to nie na antenie Fox, tylko w innej stacji, wrogiej ludzkości, gdzie Soros ma wsadzony palec jak proktolog, żeby tą stacją kręcić. Taka stacja pacynka, ale jako że z żywych ludzi, to jej zależność od Sorosa bardziej mi się kojarzy z proktologiem niż z lalkarzem. W każdym razie w tej stacji powiedziano, że linia frontu przesuwa się tylko minimalnie. To jest wojna pozycyjna, tak jak pierwsza wojna światowa. Przez wiele lat nic się nie dzieje, poza tym, że trują ludzi gazem musztardowym i zabijają na różne inne sposoby.

P.L.: Wojna pozycyjna może trwać długo, ale tak jak w przypadku pierwszej wojny światowej nie da się wykluczyć nagłego przesilenia. Takim momentem była jesień 1918 r., kiedy Niemcy się zorientowali, że już nie wytrzymają. Wszystko zaczęło pękać im w szwach. Front błyskawicznie się posypał. Nie wiadomo, czy tak samo nie będzie na Ukrainie. Nie chciałbym jednak wdawać się zbyt szczegółowo w sprawy militarne, bo to zmienia się z dnia na dzień. To, co kluczowe, to fakt, że z przebiegu tej wojny w żaden sposób nie wynika zagrożenie dla państw Europy Środkowej czy Zachodniej. Propaganda jest tymczasem dokładnie odwrotna. Mówi się o tym, że już za moment front pęknie, a Rosjanie rzucą się na Polskę czy państwa bałtyckie, a później pójdą dalej. To właśnie ta propaganda jest istotna z perspektywy Tuska i jemu podobnych, bo pozwala oddawać coraz więcej kompetencji narodowych w ręce Brukseli – a tak naprawdę w ręce Niemiec. Tak czy inaczej, w sprawie wlotu dronów z 10 września operacja propagandowa doskonale się udała: zaplecze prezydenta w to weszło. Szkoda, że tak się stało. Być może gdyby prezydent jako zwierzchnik sił zbrojnych miał realne kompetencje, a nie tylko po-

eprasa.pl 14333fb3fb

zorne, to sytuacja byłaby inna. Rozumiem, że w tej kwestii się zgadzamy.

W.C.: Jeżeli ktoś był na żaglówce, to wie, że kiedy jest ładna pogoda, można sobie pić piwo i robić różne inne rzeczy. Kiedy jednak nadchodzi burza od strony Suwałk, to kapitan musi być jeden. Tak samo jest w różnych istotnych przedsięwzięciach cywilnych, a tym bardziej w armii. Jeżeli dowódca w armii jest zły, to można go wymienić, ale musi być jeden. Jeżeli będzie dwóch, to zaczną do siebie strzelać albo jeden wyda rozkaz „w lewo", a drugi „w prawo" i nie będzie wiadomo, co robić.

P.L.: Skoro jesteśmy już przy Rosjanach, to przypomina mi się sytuacja po rewolucji lutowej w Rosji carskiej. Jednocześnie istniały oficjalny Rząd Tymczasowy oraz Piotrogrodzka Rada Delegatów Robotniczych i Żołnierskich. Funkcjonowały de facto dwa rządy, a w efekcie ten pierwszy, oficjalny, nie mógł nic zrobić, bo wszystko przechodziło również przez drugi. Skutkiem była całkowita klęska. Dwuwładza i brak jasno rozpisanych kompetencji to najgorsza rzecz, zwłaszcza jeśli idzie o bezpieczeństwo państwa.

W.C.: Dokładnie to samo jest w Ministerstwie Spraw Zagranicznych.

P.L.: To prawda, choć dopóki nie ma nowej konstytucji, dopóty zdrowy rozsądek wskazuje, by przynajmniej w niektórych kwestiach obie strony tu współpracowały. Główny ciężar spoczywa moim zdaniem na premierze, przy czym Donald Tusk robi, co może, żeby ograniczyć działania prezydenta i niejako wypchnąć go ze sfery polityki zagranicznej.

W.C.: To trochę jak w walce kogutów. Walki kogutów są w Europie chyba ściśle zakazane, ale kiedyś nakręciłem na ten temat odcinek „Boso przez świat", bo te rzeczy odbywają się ciągle w Wenezueli, Brazylii czy Meksyku. Nie ma tak, żeby koguty mogły się pogodzić, one muszą się zadziobać, jeden zawsze próbuje dopaść drugiego. Teraz kogut Nawrocki stoi naprzeciwko koguta Tuska i muszą się dziobać. Prezydent musi być aktywny. Niech sam wybierze konflikt. Tusk zacznie go dziobać w prawe ramię, to on musi rozharatać mu nogę za pomocą pazurów. Nawrocki musi kreować jakieś konflikty, bezbolesne dla Polski, ale kłopotliwe dla Tuska. Tusk i jego ekipa są głupi, bo są zaślepieni nienawiścią. Rzucą się na to, co Nawrocki im wystawi. Prezydent mógłby przykładowo zrywać ordery. Podaję przykład pierwszy z brzegu: niech odbierze Order Orła Białego Jackowi Kuroniowi albo komuś innemu, za kim Tusk rzuci się w każde szambo. Ludzie Tuska będą szaleć z nienawiści, a w tym czasie Nawrocki zrealizuje w ciszy inne rzeczy. Jeżeli prezydent nie chce konfliktu w ważnych sprawach, to musi wytworzyć konflikt gdzie indziej, który drugą stronę rozjuszy i oślepi.

[...]

EPISKOPAT I ŻYDZI. O FATALNYM LIŚCIE

Marzec 2026 r.

PAWEŁ LISICKI: Chciałbym porozmawiać o liście Konferencji Episkopatu Polski, który ukazał się w piątą niedzielę Wielkiego Postu. List dotyczy stosunku Kościoła do Żydów i judaizmu. Wywołał w Polsce ogromne emocje.

WOJCIECH CEJROWSKI: A czy ten list był w ogóle czytany w kościołach?

P.L.: To zależało od diecezji. W niektórych biskup zdecydował, żeby list czytać, a w innych księża decydowali o tym sami. Formuła była jednak taka, że chodzi o oficjalne stanowisko Konferencji Episkopatu Polski, do wykorzystania w parafiach.

W.C.: To dziwne, bo normalnie listy Episkopatu czyta się przecież wszędzie, w każdym kościele w Polsce. Zwykle one były bardzo nudne, zwłaszcza na święta. Mam jednak do Pana pytanie jako do specjalisty od tych spraw kościelnych. Czy list, który jest oficjalnym stanowiskiem Episkopatu – nawet jeżeli jest w takiej formule, że można go czytać albo nie – musi mieć podpisy wszystkich biskupów? Czy też może odbywa się nad nim regularne głosowanie, jak w Sejmie – i wtedy nie każdy musi się podpisać?

P.L.: Pod tym listem nie ma żadnych podpisów – podano tylko ogólnie, że to tekst Episkopatu. Rzecznik Episkopatu poinformował jednak, że głosowanie się odbyło – ale nie wiemy, jaki był rozkład głosów. Wiadomo tylko tyle, że list przeszedł – no i podano go do wiadomości publicznej jako tekst przyjęty przez Episkopat. Żaden z biskupów nie wyraził publicznie sprzeciwu. Zakładam zatem domniemaną zgodę wszystkich. Przynajmniej z zewnątrz wygląda to tak, że Episkopat osiągnął jakiś konsensus.

W.C.: No dobrze, ale ten list jest po prostu okropny. Znalazłem tam co najmniej jedną herezję. Może ja za słabo znam nauczanie Kościoła katolickiego, ale w tym tekście czytam: „Żydom jako narodowi nie można przypisywać żadnej dziedzicznej ani zbiorowej winy za to, co popełniono podczas męki Jezusa". Może kluczem jest kwestia męki, bo przecież wiemy z Ewangelii, że Żydzi domagali się od Piłata, by skazać Pana Jezusa na śmierć. Chcieli, żeby krew Zbawiciela poszła „na nas i na dzieci nasze", czyli wzięli na siebie odpowiedzialność za tę śmierć, swoistą klątwę po wsze czasy. To jak można nie przypisywać narodowi zbiorowej winy, skoro tę winę na siebie wziął?

P.L.: W tym wypadku można się zastanawiać, co dokładnie znaczy słowo „wina". W sensie czysto kryminalnym „wina" dotyczy tych, którzy osobiście brali udział w jakimś wydarzeniu. Nie ma jednak wątpliwości, że według Nowego Testamentu jakby metafizyczna odpowiedzialność spoczywa na narodzie żydowskim, który Mesjasza odrzucił i wydał na śmierć przez ukrzyżowanie.

W.C.: Przecież naród żydowski domagał się od Piłata, żeby ukrzyżować Jezusa. Piłat był miękki, bał się swojego cezara, nie chciał ruchawki w kraju – ale mimo wszystko starał się Jezusa ocalić, nie chciał Go ukrzyżować. Żydzi go jednak podjudzali. W różnych starszych książkach do nabożeństwa czy w wydaniach Pisma Świętego wyraźnie mówi się o Żydach: „bogobójcy".

P.L.: Kategoria „bogobójców" została całkowicie wycofana z języka kościelnego. Nie wolno jej używać we współczesnych dokumentach. Zresztą w liście Episkopatu jest fragment, który głosi, że przez półtora tysiąca lat Kościół nauczał na temat Żydów fałszywej nauki. To jest właśnie to, o czym Pan wspomniał. Według tego listu to był wielki dziejowy błąd, bo chodziło o naukę nienawiści. Dziś nie wolno mieć z tym nic wspólnego.

W.C.: Ja tu widzę naukę faktów, a nie nienawiści. Kiedy mówię „bogobójcy", to nie wzbudzam w sobie nienawiści, tylko litość wobec tych biedaków. Chcę, żeby się nawrócili, bo przecież tak byłoby dla nich lepiej.

eprasa.pl 14333fb3fb

P.L.: To jest klasyczne, katolickie podejście. Stanowisko modernistyczne jest jednak inne: nie wolno mówić nikomu czegoś, czego on nie chce usłyszeć. Bo kiedy postępuje się inaczej, to zadaje się ból i cierpienie.

W.C.: To w jaki sposób zorganizować spowiedź? Jak zrobić rekolekcje? Jeżeli nie mamy ludziom mówić rzeczy, których oni nie chcą wcale słyszeć, to się tego nie da zrobić. Trzeba wykreślić nawet dziesięć przykazań Bożych, bo przecież przynajmniej o połowie z nich współczesne społeczeństwo nie chce w ogóle nic wiedzieć. Na przykład „nie cudzołóż". Kto chce dzisiaj tego słuchać? Czyli jak ktoś ma drugą żonę, niesakramentalną, a ta pierwsza, sakramentalna, żyje, no to nie wolno mu podchodzić do Komunii Świętej. Tego jednak nie mówimy, bo on nie chce o tym słyszeć. Dobrze rozumiem?

P.L.: Nie mówimy różnych rzeczy. Nie mówi się po prostu tego, czego ktoś nie chce słyszeć. W liście Episkopatu jest zresztą więcej poważnych problemów. Wzywa się np., żeby 13 kwietnia wszyscy udali się do synagogi. W ten sposób mieliby, jak rozumiem, wyrazić swoje wsparcie dla narodu żydowskiego.

W.C.: Nie rozumiem. Przecież Matka Kościół uczy, że nie wolno uczestniczyć w obrzędach innowierców.

P.L.: To prawda, nie wolno.

W.C.: Nie wolno nawet wtedy, kiedy oni są z nami bardziej po sąsiedzku niż synagoga. Sam kiedyś przez przypadek trafiłem do protestantów. To było w Nashville w Stanach Zjednoczonych. Nie orientowałem się wtedy za dobrze w tych sprawach. Nie było nigdzie kościoła katolickiego, to pomyślałem, że pójdę chociaż tam, gdzie śpiewa za darmo Dolly Parton. Przyjąłem to, co oni tam podawali jako Komunię Świętą. To był kawałek ciasteczka ryżowego, winka też nalali. Nie było przeistoczenia, ale wytłumaczył mi to dopiero ksiądz na spowiedzi. Ja mu się wtedy pochwaliłem, że nie byłem wprawdzie w niedzielę na Mszy Świętej, ale byłem u protestantów. Ksiądz mnie zrugał i wytłumaczył, że nie wolno tak robić.

P.L.: Słusznie uczynił, bo w Kościele katolickim jest communicatio in sacris, czyli współudział w świętych czynnościach. Taki współudział z protestantami jest zakazany. Przed Soborem Watykańskim II to było surowo egzekwowane.

W.C.: No ale teraz już pewnie nie jest napisane, że nie wolno chodzić do innowierców, do ich zborów albo synagog.

P.L.: Dziś ma Pan przykłady papieży, kardynałów czy biskupów, którzy regularnie organizują rozmaite spędy ekumeniczne. Kilka lat temu papież Franciszek pozwolił nawet na to, żeby duchowni anglikańscy celebrowali swoje obrzędy w katedrze na Lateranie, czyli w najstarszym rzymskim kościele. Ta katedra to jest właściwy kościół papieża – wcale nie Bazylika św. Piotra, tylko właśnie katedra laterańska. Takie przykłady można byłoby mnożyć. Gdyby chodziło o jakieś spotkanie przy kawie czy herbacie, w jakiejś świetlicy – dobrze, można rozmawiać, przygotować jakiś dokument, w porządku. Nie trzeba się ostro zwalczać. Co innego jednak wspólne nabożeństwa…

W.C.: Za Jana Pawła II ja ten dialog ekumeniczny rozumiałem na takiej zasadzie, że próbujemy niekatolików przyciągnąć z powrotem do papieża. Tak, żeby ci wszyscy heretycy wrócili do prawdziwej wiary. Możemy ich zaprosić na spotkanie ekumeniczne, które sami organizujemy – ale my przecież nie pójdziemy na ich obrzędy!

P.L.: Jak to? Przecież głównym powodem listu Episkopatu jest rocznica odwiedzin Jana Pawła II w rzymskiej synagodze. To zaprzecza temu, co Pan mówi.

W.C.: Miałem Jana Pawła II za bohatera narodowego. Kiedy byłem nastolatkiem, to podniecałem się obalaniem komunizmu.

P.L.: Nie ma wątpliwości, że Jan Paweł II rozbudził w narodzie ducha. Co do tego – pełna zgoda.

W.C.: Obudził też ducha modlitewnego. Chodziło się częściej do kościoła, zmawiało się Różańce. Na jednym wózku z Janem Pawłem II jechała cała masa dobra. Kiedy przygotowywałem się do tej rozmowy, ktoś mi uświadomił, że Jan Paweł II zrobił jednak coś jeszcze gorszego niż pójście do synagogi. Otóż ucałował Koran. Lata temu przeczytałem cały Koran. W Polsce było takie wydanie w zielonej okładce.

P.L.: Mam to samo, w tłumaczeniu arabisty prof. Józefa Bielawskiego.

W.C.: Dokładnie tak. Tam były bardzo dobre przypisy. Otóż po przeczytaniu Koranu jestem pewien, że nigdy bym tego nie ucałował. To nie jest żadna wspólna religia, którą można szanować na tyle, żeby się uniżyć do ucałowania.

P.L.: Nie wiem, czy widział Pan zdjęcie z tej sytuacji. Można je łatwo znaleźć w sieci.

W.C.: Nie widziałem, ale skoro jest ogólnodostępne, to muszę nadrobić. W każdym razie sama ta informacja, że Jan Paweł II ucałował Koran, bardzo mnie wzburzyła. Ja przeczytałem Koran z zainteresowaniem. Studiowałem antropologię, więc czytałem też księgi Majów i inne rzeczy wydane w tej samej serii. Traktowałem zawsze Koran tak jak pozostałe pogańskie pisma. Dobrze, że muzułmanie mają jednego Boga i na dodatek twierdzą, że to ten sam co nasz. Tyle że jest tam cała masa innych rzeczy, które wykluczają moją wspólnotę z islamem. Koran powinien stać na półce razem z rozmaitymi herezjami czy mitologiami, np. obok „Mitologii" Jana Parandowskiego. Grecy wierzyli, że na Olimpie mieszka cała masa bogów, którzy stają się tym więksi i potężniejsi, im większa liczba osób się do nich modli. Kiedy nikt się nie modli, to zanikają do zera. Bujdy, herezje, bajki innych ludów, w które ja nie wierzę. Teraz się okazuje, że Jan Paweł II ucałował Koran. Panie drogi, ja pytam: za co?

P.L.: To jest bardzo dobre pytanie. Domyślam się, że to miał być jakiś wyraz szacunku dla muzułmańskiej kultury i tradycji… Przyznam, że kiedy sam zobaczyłem ten obrazek po raz pierwszy, to również byłem wstrząśnięty. Moim zdaniem nie da się tego w żaden sposób wytłumaczyć. Wracając jednak do listu na temat judaizmu, także tu można wskazać na problemy związane z Janem Pawłem II. W 2000 r. był przed Ścianą Płaczu w Jerozolimie. Zostawił tam karteczkę z modlitwą, gdzie wyraźnie stwierdzono, że Izrael jest ludem przymierza. W liście polskiego Episkopatu czytamy z kolei, że obecny Izrael – ten, który odrzucił Chrystusa – nadal jest narodem wybranym. Nic dziwnego, że ten list wywołał szok. Wielu księży nawet go nie odczytało. Nie pamiętam, żeby jakikolwiek inny list biskupów spotkał się w ostatnich latach z taką krytyką. Powstaje pytanie: Po co on w ogóle powstał?

W.C.: To jest akurat bardzo proste. Diabeł chce rozbicia Kościoła. Bierze się do tego na różne sposoby. To mogą być osobiste wykroczenia księży, zgodnie z maksymą

eprasa.pl 14333fb3fb

„worek, korek i rozporek". Diabeł szuka też innych dróg. Publikacja tego listu w momencie, w którym Polacy są nastawieni przeciwko politycznym działaniom Żydów, doprowadzi do gwałtownego spadku zaufania do biskupów. Diabeł chce, żebyśmy przestali słuchać Episkopatu. Może będziemy słuchać jeszcze tych biskupów, którzy zakazali publikacji tego listu na swoim terenie albo chociaż pozostawili jego odczytanie do decyzji proboszcza – choć uważam, że to gest tchórzliwy.

P.L.: Trzeba też pamiętać, że ten list został odczytany w piątą niedzielę Wielkiego Postu. Tydzień później jest Niedziela Palmowa, dwa tygodnie później Wielkanoc. Odczytanie w tym czasie jakiegokolwiek listu Episkopatu jest kiepskim pomysłem, bo takie listy są zwykle nudne jak flaki z olejem. Pisane drętwym językiem, z masą dziwacznych metafor…

W.C.: Tak, takie listy tylko blokowały dobre kazania. Ludzie często świadomie wybierają, że chcą chodzić tam, gdzie są dobre kazania. Ja tak robiłem szczególnie przed maturą. Chciałem, żeby kazanie było dla mnie treściwe, tak żebym mógł się czegoś dowiedzieć. Inwestuję zatem ileś kilometrów, żeby trafić do kościoła, gdzie są zawsze dobre kazania… i słyszę list Episkopatu. To oznacza, że zmarnowałem mnóstwo czasu, cały dojazd poszedł na marne. Takie miałem zawsze poczucie, kiedy czytano te listy.

P.L.: W moim przypadku było zwykle podobnie. Jednak nawet jeżeli przyjąć, że list Episkopatu w ogóle ma jakąś rację bytu w ważnym momencie Wielkiego Postu, to powinien dotyczyć tego, co jest wówczas najistotniejsze. To oznacza, że powinien traktować o przygotowaniu do Wielkanocy. Co więcej, dosłownie kilka dni przed ogłoszeniem tego listu w Polsce doszło do kolejnego postępu rewolucji pseudokulturowej. Naczelny Sąd Administracyjny stwierdził, że państwo polskie musi dokonywać transkrypcji zagranicznych aktów tzw. małżeństw jednopłciowych. Doszło do brutalnej, obrzydliwej i całkowicie niedemokratycznej próby wprowadzenia do polskiego systemu prawnego związków jednopłciowych. Tymczasem o tym biskupi nie wspomnieli ani słowem; w ogóle nie powiedzieli, że coś takiego jest sprzeczne z Bożymi nakazami i niszczy podstawy cywilizacji. Zamiast tego wyskoczyli nagle z Żydami.

W.C.: Wyczytałem w tym liście jeszcze jedną rzecz. Otóż tam cały czas mylony jest judaizm rabiniczny z żydostwem, czyli z byciem Żydem. Judaizm rabiniczny to jest bardzo podejrzana religia, groźna i niebezpieczna. Brały się z niej Golemy i różne gusła oraz czary. Większość Żydów jest dziś tymczasem niereligijna, szczególnie w Stanach Zjednoczonych. Stawianie znaku równości między wyznawcami judaizmu a Żydami jest szkodliwe informacyjnie, bo to po prostu nie jest prawda. Czym innym jest antyjudaizm, czyli przeciwstawianie się religii rabinicznej, a czym innym jest antysemityzm, czyli niechęć do Żydów jako takich, ze względu na rasę i krew. Moim zdaniem antyjudaizm jest obowiązkiem wszystkich rzymskich katolików. To nie jest religia, z którą katolicy powinni mieć cokolwiek wspólnego.

P.L.: Mogę się tylko zgodzić. W tym liście to pomieszanie pojęć przejawia się w jeszcze jeden sposób: otóż w języku polskim słowo „żyd" pisze się małą literą, kiedy chodzi o wyznawcę judaizmu – a wielką, kiedy chodzi o członka narodu czy państwa. W liście „żyd" pisze się tymczasem zawsze wielką literą. Występują tam wyłącznie „Żydzi", choć teoretycznie chodzi o wyznawców judaizmu. To absurd, bo wielu Żydów nie wyznaje judaizmu. We wspomnianych przez Pana Stanach Zjednoczonych są przecież duże i silne lewicowe grupy żydowskie. Jaki jest zatem sens wrzucania wszystkiego do jednego worka?

W.C.: W mętnej wodzie diabeł łapie ryby. Kościół katolicki powinien jasno stawiać sprawę: katolik powinien być przeciwny judaizmowi, nie może chodzić na ich nabożeństwa. To jest inna religia, mająca w dodatku wyraźny komponent antychrześcijański. Nie ma wiele wspólnego z religią żydowską z czasów Jezusa. To jest zupełnie nowy twór. Katolik nie chodzi na obrzędy heretyckich grup protestantów i tak samo nie chodzi do synagogi. Stosunek do Żydów jako narodu jest czymś zupełnie innym. To kwestia polityczna.

P.L.: Dokładnie tak. To są dwie różne sprawy. Mnie bardzo uderzyło też twierdzenie z listu, jakoby Kościół przez piętnaście wieków głosił błędne nauczanie. To znaczy, że cała historia Polski była jednym wielkim błędem, bo przecież nasz kraj istnieje dziesięć czy jedenaście wieków. Okazuje się, że według autorów listu Kościół w tym czasie nauczał nieprawdy.

W.C.: Dodatkowo szerzył jeszcze nienawiść. Załapujemy się jednak również na ostatnie lata po Soborze Watykańskim II, kiedy nie ma błędów.

P.L.: No tak. Czyli nie mamy błędów od sześćdziesięciu lat. Niech Pan sobie wyobrazi, że przeciwko tak skandalicznemu listowi nie zaprotestował ani jeden z biskupów. To szokuje mnie najbardziej. Mamy w Polsce ok. 160 biskupów, licząc z emerytowanymi. Żaden z nich publicznie nie odciął się od tego listu.

W.C.: Powiem Panu dlaczego. Bo jest zbyt wiele diecezji. Edward Gierek podzielił Polskę na czterdzieści dziewięć województw. Wcześniej było ich siedemnaście, ale on postanowił je osłabić, tak żeby wojewodowie nie mieli zbyt dużej siły. Reformę diecezji w Polsce zrobiono na podobnej zasadzie. Przed reformą mój stryj był syndykiem kurii chełmińskiej z siedzibą w Pelplinie. Kiedy zobaczył dokument dotyczący reformy, był zaskoczony. Nie mógł uwierzyć, żeby Jan Paweł II to czytał. Stryj przekonywał, że to kard. Stanisław Dziwisz albo jakiś kurialista podetknął projekt reformy papieżowi, a ten po prostu to podpisał. Diecezje zostały pocięte na małe kawałki. Chełmińska była wielką, silną diecezją, ale po zmianach została podzielona na dwie mniejsze. Rozmnożono biskupów, a to ich osłabiło. Gdyby w Polsce było tylko siedemnaście diecezji, to biskupowi byłoby łatwiej zgłosić weto wobec takiego listu. Miałby mocniejszą pozycję finansową, znaczyłby więcej wobec innych biskupów i wobec Watykanu. Przy czterdziestu jeden diecezjach, jak dzisiaj, już nie ma tej siły.

P.L.: To prawda. Co więcej, mamy dziś tzw. synodalność, która sprawia, że rozproszeniu ulegają władza i autorytet. W efekcie mamy do czynienia z klasą biurokratów, a nie z ludźmi obdarzonymi siłą charakteru i wolą walki. Biskup powinien mieć odwagę i oparcie w swojej diecezji. Jeżeli jego diecezja jest mała i niewiele znaczy, to i biskup niewiele zdziała.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

NOWE ODCINKI PROGRAMU „ANTYSYSTEM" CO ŚRODĘ NA DORZECZY.PL W RAMACH SUBSKRYPCJI DORZECZY+

eprasa.pl 14333fb3fb

Berek – czyli w co gra Tusk?



eprasa.pl 14333fb3fb



FOT. WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS



Rafał A. Ziemkiewicz

Rządząca koalicja i Donald Tusk osobiście przyzwyczaili nas już do, delikatnie mówiąc, nonszalanckiego podejścia do swoich ideowych pryncypiów i obietnic, ale wyznaczenie na kandydata do Trybunału Konstytucyjnego Macieja Berka, specjalnie w tym celu odwołanego z Rady Ministrów, wzbudziło niesmak i niedowierzanie nawet wśród najtwardszych zwolenników obecnej władzy

W pierwszym roku swoich rządów gabinet Tuska zgłosił i przeprowadził przez Sejm ustawę zamykającą drogę do Trybunału Konstytucyjnego czynnym politykom i nakładającą na kandydatów na sędziów czteroletnią karencję po odejściu z rządu lub parlamentu. „Demokratyczne” media oburzały się na PiS i sędziego Piotrowicza, uznanego za symbol „upartyjniania” Trybunału (o wcześniejszych podobnych przypadkach dyskretnie nie wspominając). A teraz tym samym politykom i propagandystom każe Tusk iść w zaparte, że minister Berek to „bezstronny” prawnik, „państwowiec z krwi i kości”, który „nie jest członkiem żadnej partii”, a na listach wyborczych PO i w rządzie znalazł się jako „ekspert od legislacji”.

Dodajmy, że do Trybunału zgłasza Tusk prawnika, który przez kilka lat konsekwentnie twierdził, że tego Trybunału nie ma, odmawiał publikowania w „Monitorze Polskim” jego „nieistniejących” orzeczeń oraz uzasadniał wstrzymanie przez sejmową większość wyboru nowych sędziów na miejsce kończących kadencję, i w dodatku jeszcze nie spełnia ustawowego wymogu 10 lat pracy w zawodach prawniczych – bo funkcja ministra, nawet szefa Rządowego Centrum Legislacji, nie jest do takich zaliczana, a jako radca prawny przepracował Maciej Berek tylko osiem lat.

KRYTYKA „FIKCYJNEGO” SĘDZIEGO

Decyzję Tuska skrytykowały trzymające zwykle jego stronę „autorytety prawnicze”. Nie tylko mający od dawna skłonności do „symetryzowania” Marcin Matczak. Także były przewodniczący Jerzy Stępień, który na tę okoliczność przypomniał mało znane orzeczenie ETPC, które „kosztowało Polskę ciężkie pieniądze”: trybunał europejski zakwestionował wtedy wyrok polskiego i nakazał wypłatę odszkodowania dlatego, że Stępień nie wyłączył się był z rozpatrywania w TK ustawy, nad którą głosował wcześniej jako senator. Zauważmy – brał tylko udział w głosowaniu, nic więcej. Tymczasem Maciej Berek jako – co dziś podkreślają obrońcy kandydatury – „minister legislator” w rządzie Tuska albo wręcz pisał, albo firmował przez nadzór wszystkie akty prawne tego gabinetu. Jeśli więc zostanie sędzią TK, to powinien wyłączać się z oceny wszystkich legislacji przyjętych między grudniem 2023 a sierpniem 2026 r., co – zauważa Stępień – czyniłoby go sędzią „fikcyjnym, a wręcz kontrproduktywnym”.

Kandydaturę Berka skrytykowali też Marek Safjan, który jeszcze nie tak dawno wręcz zachęcał Tuska do wprowadzania „demokratycznych” porządków na rympał (w jego wysublimowanym języku: „bez popadania w pułapkę prawniczego formalizmu”), i Andrzej Zoll, który po przegranych wyborach prezydenckich dostarczał publicznie wykładni do ich zanegowania i „marszałkowskiego” zamachu stanu, na udział w którym szczęśliwie nie zgodził się Szymon Hołownia.

Prawnicze argumenty przeciwko stwarzaniu sytuacji, w której były szef RCL będzie bezstronnie oceniał jako sędzia swoje własne ustawy, brzmią przekonująco, więc są wysuwane na plan pierwszy. Ale podskórnie wyczuwane rozczarowanie prawniczego establishmentu wydaje się mieć inną, mniej nadającą się do publicznego artykułowania przyczynę. Wzniecając tak fatalny dla Polski w skutkach rokosz przeciwko reformom rządu

eprasa.pl 14333fb3fb

PiS, „nadzwyczajna kasta” oczekiwała, że Tusk po dojściu do władzy przywróci stan wcześniejszy: profesorsko-sędziowski establishment wybierający sam siebie i tylko przed samym sobą odpowiadający znowu będzie decydował o wszystkich możliwych awansach i fruktach wedle swoich wewnętrznych hierarchii – politykom oddając tylko synekury, jak w czasach przedziobrowych sławnemu Janowi Buremu. Tymczasem Tusk, zupełnie tak samo jak wcześniej Kaczyński, uznał, że to władza państwowa, czyli on, będzie decydować ponad nimi i jak ma ochotę dać wakat swojemu totumfackiemu, to da, nikogo nie pytając o zdanie i zupełnie się z opinią Zolli i Safjanów nie licząc.

ROZCZAROWANA „KASTA”

Czego, jak czego, ale usłużnych profesorów prawa ma przecież Tusk pod dostatkiem – wystarczy zerknąć na listę recenzentów doktoratu wiceministra Myrchy czy habilitacji posła Kropiwnickiego albo na podpisy pod ekspertyzami uzasadniającymi kazuistyką różne nadużycia Bodnara i Żurka. I zamiast któremukolwiek z nich daje miejsce w TK swojemu bliskiemu współpracownikowi w politycznych rozgrywkach, zaledwie doktorowi? Jeśli zgadzamy się, żeby Tusk wsadzał do Trybunału Berka, to dlaczego tak krzyczeliśmy, kiedy Kaczyński wsadzał tam Piotrowicza? A co, jeśli na kolejny wakat – za sędziego Wyrembaka – wyznaczy Tusk doktora Myrchę? Albo doktora Brejzę? „Czym w takim razie różnimy się od PiS?” – zadają już niektórzy rozpaczliwie retoryczne pytanie, wieszcząc „koniec idei apolityczności TK”.

Innymi słowy, „kasta” przeżywa podobne rozczarowanie, jakie sprawa Kacprzyka i kolejne skandale w ochronie zdrowia przyniosły „grupie trzymającej medycynę”, pokazując nagle, że o rozdziale największych fruktów w „biznesie robionym na służbie zdrowia” nie decydują już ordynatorsko-profesorskie sitwy, tylko układ partyjny. Dotyczy to zresztą także innych uprzywilejowanych przez umowę z Magdalenki grup, które przez osiem lat ryły na wszelkie możliwe sposoby pod rządami PiS i wołały o interwencję UE w imię „przywrócenia praworządności”, czyli dawnych układów. Uczciwszy proporcje – to takie samo spóźnione zdziwienie jak w wypadku patriotów z targowicy, którzy odwołując się do carycy jako gwarantki „praw kardynalnych” i „złotej wolności”, rozumowali podobnie.

Tusk, jak plotkują bywalcy politycznych kuluarów, stracił wiarę w utrzymanie władzy i pracuje nad planem ucieczki

Z tą różnicą, że caryca miała dość sił, by narzucić wszystkich Branickim, Potockim i Rzewuskim swoją wolę, ignorując jojczenie, że miało być inaczej. A Tusk dziś wyraźnie słabnie. Owszem, wciąż może liczyć na wiernych medialnych hajduków, którzy natychmiast rzucili się na kwestionujących decyzję samego Tuska „symetrystów”: szczególnie zabawnie wypadli tu Bartosz Wieliński, który podjął się wyperswadowania swojej przeżywającej wątpliwości koleżance z „Gazety Wyborczej”, że demokracja walcząca wymaga dyscypliny i posłuszeństwa, oraz Jacek Gądek, wmawiający czytelnikom „Newsweeka”, że kandydatura Berka to element mistrzowskiej, jak zawsze genialnej rozgrywki „kierownika”, która skończy się kolejnym okpieniem prezydenta Nawrockiego i dyscyplinarnym (!) usunięciem z TK Bogdana Święczkowskiego. Ale, zasadniczo, takiej skali… może jeszcze nie buntu, ale takiej skali dystansowania się od Tuska w jego własnym politycznym zapleczu jeszcze nie było.

POKAZ MOCY?

A może o to właśnie Tuskowi chodziło? Koalicjanci trochę pokręcili nosami, bo, jak ujawniła minister Hennig-Kloska, Tusk tradycyjnie swojej decyzji z nimi nie konsultował ani nawet nie poinformował, dowiedzieli się o niej z mediów – ale wystarczyło kilka dni, żeby ci sami posłowie, którzy wyrażali wątpliwości, zaczęli posłusznie powielać przekaz o „apolitycznym ministrze legislatorze”, który do rządu trafił tylko jako „państwowiec”. Jeśli ostatecznie zagłosują tak, jak Tusk każe, to będzie to duży sukces premiera, który udowodni raz jeszcze, że koalicjantów ma całkowicie na swojej łasce i niełasce. Inna sprawa, że podobnie oceniał w 2007 r. posłów Giertycha i Leppera Jarosław Kaczyński, przekonany, że po usunięciu przez CBA ich partyjnych liderów będą go słuchać, bo inaczej przecież pożegnają się na zawsze z poselskimi mandatami i płynącymi z udziału w polityce profitami. Wtedy okazało się, że nawet „Samoobrona” ma swoją godność. Czy mają ją PSL, Lewica i resztówki po partii Hołowni? W porównaniu z rokiem 2007 koalicjanci mają dziś dużo więcej do stracenia, są głębiej wrośnięci w tkankę pasożytujących na państwie sitw, mafii i układów, z których żyją całe ich rodziny, więc możliwe, że Tusk istotnie może sobie pozwolić na polityczne wycieranie nimi podłogi.

Możliwe więc, że chodziło o pokaz mocy i wzmocnienie dyscypliny we własnych szeregach. A może, dokładnie przeciwnie niż w tromtadrackich wizjach redaktora Gądka, operacja „Berek” to początek ucieczki? Były szef RCL wie o Tusku więcej niż ktokolwiek inny, a zarazem podpisany jest pod decyzjami, które po zmianie władzy staną się zapewne przedmiotem kolejnej, odwrotnie skierowanej fali „rozliczeń” – w której po bandyterce Sienkiewicza, Bodnara i Żurka obecnie rządzący raczej nie powinni liczyć na litość, chyba że czymś się w łaski następców wkupią. Może więc chodzi tylko o to, by zapewnić ministrowi totumfackiemu immunitet na dziewięć lat, a zarazem zagwarantować sobie z jego strony bezpieczeństwo? Jeśli Tusk, jak plotkują bywalcy politycznych kuluarów, stracił już wiarę w utrzymanie władzy i pracuje nad scenariuszem ucieczki, podobnej jak w 2014 r., to byłoby to posunięciem logicznym.

A może Tusk, przeciwnie, udawaną rezygnacją maskuje wiarę, że może jeszcze zrealizować plan, który udaremnił mu Hołownia – opanować Trybunał Konstytucyjny, kazać mu orzec, że Karol Nawrocki jest niezdolny do sprawowania urzędu, i objąć władzę dyktatorską bez oglądania się na „formalizm” i wątpliwości „prawniczych purystów”? Powiedzmy sobie szczerze: oznaczałoby to, że człowiek rządzący nami osuwa się w szaleństwo. Ale i taką możliwość trzeba brać pod uwagę.

Jakie wyrachowanie skłoniło premiera do zgłoszenia kandydatury Berka i czy uda się je zrealizować, dowiemy się za jakiś czas. Czy będzie głosowanie w Sejmie i jak się skończy? Jeśli niekorzystnie dla Tuska i jego kandydata, to będzie to początek końca rządów „demokratów”.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 14333fb3fb

Polska 20 milionów



Łukasz Warzecha

Polaków ubywa w zastraszającym tempie, a klasa polityczna tylko ten kryzys pogłębia. Czy Polska 20 milionów obywateli to nasz nieuchronny los?

Ubytek ludności Polski w pierwszym półroczu tego roku według GUS był na poziomie 0,24 proc. Na każde 1000 osób ubyły 24 osoby. Współczynnik urodzeń to 6,2 promila, podczas gdy zgonów – 11,1 promila. Według urzędu do 2060 r. Polaków ma być od 34,8 mln do zaledwie 26,7 mln. Scenariusz pośredni przewiduje 30,4 mln, a zatem o ok. 7 mln mniej niż obecnie. Sytuacja demograficzna Polski robi się już nie zła, ale wprost tragiczna.

Więcej prognoz mrożących krew w żyłach znajdziemy w książce „Demografia jest przyszłością" Mateusza Łakomego sprzed dwóch lat (wydawnictwo Prześwity). Zdaniem autora, eksperta do spraw demografii, jeśli nic się nie zmieni, to tuż przed końcem XXI w. Polaków może być zaledwie ok. 17 mln. Liczba kobiet w wieku 20–40 lat, czyli w wieku rozrodczym, spadłaby do tego momentu nawet poniżej 2 mln – a trzeba pamiętać, że liczba osób w danym pokoleniu w wieku dogodnym dla posiadania dzieci przekłada się na demografię i mamy tu do czynienia ze swego rodzaju błędnym kołem, którego zaczęliśmy już doświadczać. W życie wchodzi właśnie mniej liczne pokolenie, a więc mniej będzie ludzi, którzy teoretycznie będą mogli mieć dzieci. Teoretycznie, bo czym innym jest móc fizjologicznie, a czym innym chcieć.

W tym samym horyzoncie liczba Polaków w wieku produkcyjnym, a więc pracujących i odprowadzających podatki ze swojej pracy, spadłaby poniżej 10 mln. O ile w 2020 r. na jedną osobę w wieku poprodukcyjnym przypadało 2,7 osoby w wieku produkcyjnym, o tyle w 2050 r. byłoby to tylko 1,7 osoby (i tyle samo, według Łakomego, w roku 2100).

PROBLEM NA KILKU POZIOMACH

Problem z demografią jest kilkupoziomowy. Podstawowy polega na tym, że mówimy o okresach niemal nieskończenie długich z punktu widzenia polityków wybieranych na kilkuletnie kadencje. W państwie rozdartym wyniszczającym konfliktem politycznym, takim jak Polska, praktycznie nie funkcjonują mechanizmy, które pozwalałyby planować cokolwiek i konsekwentnie realizować rozwiązania uzgodnione w ramach ponadpartyjnego porozumienia przez choćby dekadę, o dłuższym czasie nie mówiąc. Dlatego najchętniej sięga się po projekty populistyczne, które dobrze wyglądają na folderach czy rolkach na TikToku i nic ponadto. Z punktu widzenia szefa rządu, ministra czy większości liderów partii demograficzny kryzys, do którego dojdzie za 20 lat, jest równie realny co darmowa energia z fuzji jądrowej za 200 lat.

Drugi problem to złożoność przyczyn kryzysu. Nawet nienajgorzej działające państwo – a trudno uznać, by takim była dzisiejsza Polska – jest w stanie próbować walczyć z problemem, który ma dwie, może trzy decydujące przyczyny. Jednak w demografii zbiega się znacznie więcej uwarunkowań. Nawet zatem jeśli elita władzy punktowo załatwia jeden problem, decydujący o katastrofalnie niskim współczynniku urodzeń, to jednocześnie w 10 innych punktach innymi decyzjami pogłębia kryzys. Jej przedstawiciele nie widzą bowiem związku między częściami mechanizmu, a nawet gdyby go zobaczyli, to nie podporządkują swoich działań nadrzędnemu celowi naprawienia polskiej demografii, bo w wielu przypadkach musieliby zrezygnować z doraźnej politycznej czy PR-owskiej korzyści.

KUPOWANIE OBYWATELI

Tutaj wkracza do akcji Mateusz Morawiecki, reklamujący swój pomysł na zwiększenie dzietności: pensję rodzicielską w powiązaniu z emerytalną składką rodzinną. Projekt ten został opisany w raporcie, a właściwie broszurze wydanej przez stowarzyszenie Rozwój Plus, zatytułowanej „Demografia Polski. Opis kryzysu, skutki i przeciwdziałanie".

Pensja rodzicielska miałaby być powszechnym świadczeniem w wysokości płacy minimalnej – obecnie 4806 zł brutto, czyli 3600 zł netto – wypłacanym jednemu z rodziców na dziecko w wieku do trzech lat oprócz dochodu z pracy. Raport nie wyjaśnia, czy miałaby istnieć jakaś granica takiego dochodu. Wynika z niego, gdyby rozumieć do literalnie, że pensja przysługiwałaby na każde dziecko, czyli w przypadku np. czworga byłoby to już 14 400 zł netto. Miałaby zastąpić inne świadczenia, w tym „800+", wypłacane w tym okresie, co dawałoby koszt netto – a więc dodatkowy wobec obecnego – na poziomie, bagatela, 23–25 mld zł. Pensja rodzicielska byłaby klasycznym przykładem przekładania przez państwo pieniędzy z kieszeni do kieszeni, byłaby bowiem oskładkowana i opodatkowana – co samo w sobie jest absurdem.

Emerytalna składka rodzinna z kolei miałaby polegać na przekazywaniu 25 proc. składki płaconej przez każdego pracującego na konto emerytalne rodziców (po połowie do każdego

eprasa.pl 14333fb3fb

z nich). Ten z kolei pomysł nie został w raporcie przeanalizowany z punktu widzenia kosztów, a przecież mówimy o radykalnym przestrojeniu systemu emerytalnego, który i tak trzyma się na trytytkach. W dodatku ten mechanizm nie uwzględnia niezliczonych okoliczności życiowych, które mocno by komplikowały jego obsługę. Co np. w sytuacji, gdy z powodu zaniedbań wobec dziecka rodzice byliby pozbawieni praw rodzicielskich? Co w sytuacji, gdy dany pracujący był adoptowany („dzieci adoptowane traktowane są jak biologiczne" – stwierdza broszura)? Takich możliwości, które automatycznie podniosłyby koszty tego mechanizmu, jest wiele.

Najciekawsze jednak jest, jak Mateusz Morawiecki uzasadnia te dwa programy. Raport stwierdza po prostu: „Efekt demograficzny wynika z prodemograficznego bodźca całego pakietu (Pensja Rodzicielska, ESR) i jest identyczny jak w pozostałych wariantach. Założenie centralne: wzrost TFR [Total Fertility Rate – współczynnik dzietności – przyp. Ł.W.] z 1,1 (2025) do ~1,45 (2060+), przedział scenariuszowy 1,25–1,55; +2,3 mln pracujących do 2080 r.". Zatem pan Morawiecki przyjmuje arbitralnie, że dosypanie pieniędzy automatycznie zwiększy dzietność, co jest wnioskiem bezzasadnym i nie ma oparcia ani w dotychczasowych doświadczeniach z programami „500+" i „800+", ani w badaniach. Raport nijak nie tłumaczy, skąd miałby się wziąć efekt proponowanych programów. Prawdopodobnie politycy Rozwoju Plus uznali, że nikt nie będzie tego dociekał i nikt nie zapyta, a propozycja dosypania kasy zawsze wygląda atrakcyjnie dla wyborców. Wszak przedwyborcza licytacja się już zaczęła.

Tak się składa, że niemal jednocześnie z przedstawieniem przez Rozwój Plus propozycji wydania kolejnych pieniędzy opublikowany został raport (a dokładnie tzw. working paper) Polskiego Instytutu Ekonomicznego „Wyobrażenia o przyszłości jako rama metodologiczna analizy intencji posiadania dzieci". To ciekawe opracowanie podważa dosypywanie pieniędzy jako pomysł na polepszenie demografii. We wstępnym podsumowaniu wniosków czytamy: „Współcześnie decyzje dotyczące posiadania dzieci zależą nie tylko od materialnych i strukturalnych czynników ekonomicznych. Coraz większego znaczenia nabierają subiektywna interpretacja i wyobrażenia własnej przyszłości. Prorodzinna polityka publiczna oparta głównie na świadczeniach i rozwiązaniach organizacyjnych trafnie odpowiada tylko na część faktycznych i potencjalnych wyzwań rodzicielstwa". I kolejny kluczowy wniosek: „Z chęcią posiadania dziecka korelowało subiektywne poczucie, że partner/partnerka podobnie myśli o przyszłości. Pewne znaczenie miało także postrzeganie zmian sytuacji politycznej w kraju – większy optymizm w tym obszarze cechował badanych z intencjami posiadania dziecka".



Mateusz Morawiecki zaprezentował pomysł na zwiększenie dzietności: pensję rodzicielską w powiązaniu z emerytalną składką rodzinną FOT. DAWID WOLSKI/EAST NEWS

Szczególnie ważne jest ostatnie zdanie, tu bowiem wkracza do akcji odpowiedzialność polityków, która dla większości z nich jest chyba nieoczywista. Wyjaśnia to dalsza część raportu, w której opisano przeprowadzone badanie. Wniosek jest następujący: „W obrębie tego rozszerzenia wizja zmian gospodarczych nie wiązała się istotnie z chęcią posiadania dziecka w żadnej specyfikacji […]. Odmiennie zachowywała się wizja przyszłości sceny politycznej: jej związek z chęcią posiadania dziecka był dodatni i istotny […], tj. im bardziej respondent deklarował, że spodziewa się raczej poprawy niż pogorszenia sytuacji politycznej, tym większą miał chęć posiadania dziecka w przyszłości".

PUSTE KOŁYSKI

Politycy obozu władzy – obojętnie, kto akurat rządzi – uwielbiają po 2022 r. straszyć nas nadchodzącą wojną. Kilka miesięcy temu uczynił to Donald Tusk, zapowiadając rosyjski atak na jakieś państwo NATO, być może Polskę, w ciągu paru miesięcy (które już zresztą od tamtego czasu minęły). Podobne wystąpienia miał nieraz szef Sztabu Generalnego WP z wyjątkowym parciem na szkło, gen. Wiesław Kukuła. Niedawno w podobnym tonie wypowiedział się wiceminister obrony Cezary Tomczyk. Politycy, którzy zapowiadają, że tylko kilka lat albo nawet kilka miesięcy dzieli nas od rosyjskiego pełnoskalowego ataku, tymi wypowiedziami niwelują wszelkie możliwe pozytywne bodźce prodemograficzne. Trudno bowiem wyobrazić sobie w kategoriach rozwoju sytuacji politycznej coś bardziej druzgocącego niż zapowiedź wojny. To właśnie przykład opisywanego wcześniej zjawiska: straszenie wojną przynosi obozowi władzy doraźną

eprasa.pl 14333fb3fb



korzyść polityczną, wobec czego bardziej długofalowe jego efekty premiera i jego kolegów już niespecjalnie interesują. Z kolei wojskowi, dla których perspektywa wojny oznacza większe wpływy finansowe i dopieszczanie armii przez władzę, w ogóle nie zajmują się demografią. Mimo że ta będzie oczywiście miała również wpływ na liczebność polskiej armii.

Oczywiście nie tylko kwestia ewentualnego konfliktu zbrojnego ma tu znaczenie. Można założyć, że do kategorii sytuacji politycznej, mającej wpływ na decyzję o posiadaniu dzieci, należą również takie sprawy jak intensywność konfliktu politycznego czy funkcjonowanie wymiaru sprawiedliwości. Wychodząc z takiego założenia, trzeba przyznać, że klasa polityczna w Polsce zrobiła w ciągu ostatniej co najmniej dekady bardzo wiele, aby polską demografię zdusić.

CIOS W MAŁŻEŃSTWO

Innym przykładem antynatalistycznych działań, motywowanych bieżącym politycznym interesem, są podejmowane przez obecną koalicję rządzącą próby wprowadzenia do obiegu prawnego związków będących alternatywą dla małżeństwa czy też uproszczenia procedury rozwodowej. Mateusz Łakomy w swojej książce, powołując się na konkretne badania, wskazuje, jak wielkie znaczenie dla decyzji o posiadaniu dzieci ma poczucie stabilności. Oczywiste jest, że tego poczucia nie dają związki poniżej progu małżeństwa (Łakomy poświęca jeden z rozdziałów negatywnemu wpływowi upowszechnienia się konkubinatów na demografię). Jeszcze gorsze mogłyby być skutki wprowadzenia uproszczonej procedury rozwodowej dla małżeństw niemających dzieci, dla wielu osób byłby to bowiem dodatkowy powód, aby potomstwa nie mieć – tak aby w razie problemów można się rozwieść na pstryknięcie palcami. Politycy proponujący takie rozwiązania dopieszczają własny twardy elektorat, nie przejmując się strategicznymi skutkami realizacji tych propozycji, na razie szczęśliwie blokowanych przez prezydenta.

O ile jednak warunki polityczne w Polsce czy nawet kwestie finansowe zależą od nas, o tyle poza naszą kontrolą pozostają w dużej mierze czynniki kulturowe, opisywane obszernie w książce Mateusza Łakomego. To m.in. wpływ mediów, także internetowych, upowszechniających określony model związku. Na polskim rynku medialnym prym wiodą od dawna media Agory, które wręcz wyspecjalizowały się w obrzydzaniu posiadania dzieci przez opisywanie rzekomo koszmarnych z nimi doświadczeń.

Innym ważnym kulturowym czynnikiem, który w ostatnim czasie wywołuje duże poruszenie w różnych zakątkach Internetu, jest przekonanie części mężczyzn, że kobiety mają zbyt wysokie wymagania, co rodzi z kolei męską frustrację i w ogóle zniechęca do poszukiwania drugiej połowy. Taki przypadek opisywała choćby Karolina Olejak w swojej głośnej, wydanej niedawno książce „Nienawidzę ich. To Polacy mówią na terapiach". Nie są to jednak jedynie wyimaginowane problemy, jako że między mężczyznami a kobietami istnieje luka edukacyjna – większa część kobiet niż mężczyzn ma formalnie lepsze wykształcenie. Co oczywiście nie musi się przekładać na sytuację w realnym życiu. Mężczyzna o formalnie niższym wykształceniu może mieć znacznie lepszą i stabilniejszą sytuację życiową, co z kolei może paradoksalnie nie ułatwiać, ale jeszcze bardziej utrudniać zawarcie związku z powodu rozdźwięku między właśnie formalnym wykształceniem a zarobkami.

Wśród zwolenników przyjmowania migrantów pojawia się przekonanie, że dziurę demograficzną można zasypać imigracją. Jest to przekonanie całkowicie błędne. Aby uniknąć rosnących problemów społecznych, trzeba by co roku skutecznie asymilować – właśnie asymilować, a nie tylko integrować – dobrze ponad 100 tys. osób, co oczywiście jest nierealne. Asymilacja to proces znacznie bardziej długotrwały i trudniejszy niż integracja, skuteczny w przypadku jedynie stosunkowo niewielkiej części imigrantów.

Wśród zwolenników przyjmowania migrantów pojawia się przekonanie, że dziurę demograficzną można zasypać imigracją. Jest to przekonanie całkowicie błędne

Gdyby odrzucić populistyczne recepty, takie jak ta przedstawiana przez Rozwój Plus, dojdziemy do podstawowego pytania: Czy w ogóle jesteśmy w stanie bez jakiegoś globalnego zwrotu kulturowego odwrócić niekorzystny trend demograficzny? Odpowiedź może być przecząca. Być może zatem powinniśmy podejść do niego tak, jak pragmatycy radzą podchodzić do zmian klimatu, na które nie mamy wpływu: zamiast wyrzucać pieniądze na nieskuteczne próby ich zahamowania, wydajmy je na dostosowanie się. Wiadomo, jakie będą skutki ekonomiczne czy społeczne nurkującego przyrostu naturalnego oraz wyraźnego spadku liczby ludności Polski. Nie musi to być jednak koniec świata, gdyby przyjąć, że działamy mocno na rzecz zwiększenia produktywności, stworzenia klimatu dla innowacji oraz oczywiście ograniczamy socjal – bo tylko tak możemy znacząco wpłynąć na wydatki państwa. Polska 20 milionów ludzi brzmi z dzisiejszej perspektywy strasznie. Ale może pora zacząć się z tą myślą oswajać?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 14333fb3fb



Z dr. Andrzejem Anuszem, politologiem i historykiem, prezesem Instytutu Józefa Piłsudskiego
rozmawia Ryszard Gromadzki

Prezydent jako game changer

FOT. ADAM BURAKOWSKI/EAST NEWS

RYSZARD GROMADZKI: Kto będzie „game changerem" przyszłorocznych wyborów parlamentarnych? Grzegorz Braun – jak się powszechnie typuje, Mateusz Morawiecki, a może ktoś trzeci?

DR ANDRZEJ ANUSZ: Myślę, że taką osobą będzie prezydent Karol Nawrocki. Uważam, że scenariusz, który coraz wyraźniej się kształtuje po stronie opozycyjnej, ale ma to oczywiście wpływ na całą scenę polityczną, będzie zależał od roli Karola Nawrockiego w wydarzeniach najbliższych kilkunastu miesięcy. De facto od jesieni rozpocznie się prekampania wyborcza. Pierwszym ważnym testem politycznej skuteczności prezydenta będzie sprawa wspólnego bloku opozycji w wyborach do Senatu. Pakt senacki wydaje się naturalnym rozwiązaniem, jeśli wziąć pod uwagę, że wszystkie środowiska, które mogłyby w nim uczestniczyć, odwołują się do prezydenta Nawrockiego jako jego ewentualnego patrona.

Jak tu budować pakt senacki, kiedy przez cały czas iskrzy między PiS a Konfederacją, nie wspominając o Konfederacji Korony Polskiej? Jakiekolwiek partnerstwo polityczne między Kaczyńskim a Braunem wydaje się dziś absolutnie niemożliwe.

To, że iskrzy, nie przekreśla szans na wspólny blok opozycji w wyborach do Senatu. Konfrontacja na opozycji, niekiedy ostra, z którą mamy obecnie do czynienia, w moim przekonaniu wynika z doświadczeń Prawa i Sprawiedliwości z przeszłości. Jednocześnie Jarosław Kaczyński ma świadomość, że hegemonia PiS na prawicy dobiegła końca i w nowej rzeczywistości, która się ukształtowała, PiS będzie musiał się układać z innymi podmiotami po prawej stronie. Trudność związana z taką współpracą jest skutkiem traumy prezesa Kaczyńskiego, związanej z doświadczeniem koalicji z Ligą Polskich Rodzin i Samoobroną. Jednak dostrzegam w wypowiedziach lidera PiS akcenty, które mają na celu rozminowanie pewnych napięć na prawicy jeszcze przed kampanią wyborczą. Kaczyński rysuje pewne linie, które według niego są nie do przekroczenia w sytuacji ewentualnej budowy koalicji już po wyborach. Trzeba pamiętać, że presja na współdziałanie ze strony wyborców ugrupowań prawicowych na ich liderów będzie rosła. Ponadto badania opinii publicznej potwierdzają wysokie notowania prezydenta, które po roku sprawowania urzędu wzrosły o kilka procent w stosunku do wyniku uzyskanego w wyborach. To stwarza prezydentowi Nawrockiemu pole do inicjatywy.

Jakiej konkretnie roli miałby się podjąć prezydent? Patrona bloku senackiego, a może akuszera przyszłej prawicowej koalicji?

W mojej ocenie prezydent już zasygnalizował wolę działania w tym obszarze. Tak odebrałem jego wystąpienie 6 sierpnia, w rocznicę objęcia urzędu. Karol Nawrocki w swoim przemówieniu powiedział wtedy wprost, że będzie się starał tworzyć płaszczyznę programową dla ugrupowań, które po wyborach będą tworzyć rząd. Prezydent wyraźnie zakłada, że ta płaszczyzna będzie sprzyjała współpracy między nim a przyszłą koalicją. Ramy do tej współpracy i propozycje rozstrzygnięć mają w ciągu najbliższych miesięcy wypracować m.in. rozmaite rady powołane przez Karola Nawrockiego. Jak wiadomo, prezydent złożył w Sejmie 22 projekty ustaw, z czego 21 jest w tzw. zamrażarce. Te ustawy można przecież przywrócić do debaty publicznej między ugrupowaniami opozycyjnymi. W wystąpieniu 6 sierpnia prezydent wrócił też do idei referendum w sprawie polityki klimatycznej. Tego pomysłu nie da się przeprowadzić w sytuacji, kiedy Senat jest wrogi. Karol Nawrocki jeszcze w kampanii wyborczej zapowiadał, że będzie się starał często wykorzystywać instrument

eprasa.pl 14333fb3fb

polityczny, jakim jest referendum, żeby Polacy mogli się wypowiedzieć w kluczowych sprawach dla państwa. To dodatkowy impuls do tego, żeby doprowadzić do odbicia Senatu przez opozycję.

Szeroko pojmowana prawica ma ewidentny interes we współpracy politycznej. Trudno mi sobie jednak wyobrazić zgodnie kooperujący kwartet Kaczyński-Bosak-Mentzen-Braun, a jeszcze bardziej kwintet uzupełniony o Morawieckiego.

Jeśli chodzi o formułę wyborów do Senatu, to, paradoksalnie, o tę współpracę może być łatwiej. Przypomnijmy, że jest kwestia wyznaczenia 100 kandydatów w 100 okręgach wyborczych przez te cztery środowiska, a być może przez jeszcze szersze ich spektrum. Mówił o tym Jarosław Kaczyński w kontekście możliwego współdziałania z Bezpartyjnymi Samorządowcami. Wyobrażam sobie sytuację, w której Grzegorz Braun, a być może także inne ugrupowania nie będą formalnie firmowali bloku senackiego, ale będą gotowi poprzeć ludzi wywodzących się z różnych stowarzyszeń i środowisk patriotycznych, nie przeciwstawiając im swoich kandydatów w kontekście patronatu nad blokiem senackim prawicy ze strony prezydenta. Wiem, że tego rodzaju scenariusze leżą obecnie na stołach decydentów ugrupowań prawicowych i są poważnie rozważane.

Ugrupowanie Morawieckiego będzie składową ewentualnego prawicowego aliansu czy były premier prowadzi odrębną grę?

Sądzę, że ostateczną decyzję, w jakiej formule Morawiecki pójdzie do tych wyborów, czy zrobi to samodzielnie czy wróci do PiS, czego bym nie wykluczał, podejmie on w perspektywie pół roku. Jeżeli za sześć miesięcy okaże się, że jego partia może liczyć na 8–10 proc. poparcia, czego dziś nie ma, to oczywiście pójdzie do wyborów sam, a po nich stanie się istotnym graczem w nowym rozdaniu. Natomiast jeśli będzie balansował na granicy progu wyborczego, to przeprosi się z PiS.

Pójdzie do Canossy i ukorzy przed prezesem Kaczyńskim...

Znając Kaczyńskiego, przyjmie on z powrotem Morawieckiego, pewnie towarzyszyć temu będzie jakiś mały „zjazd zjednoczeniowy”. Oczywiście Morawiecki zapłaci za to bardzo dużą cenę, bo za złe wybory polityczne się płaci. Duża grupa jego ludzi albo w ogóle nie znajdzie się na listach wyborczych, albo dostanie bardzo słabe miejsca. Więc Morawiecki walczy w ciągu nadchodzących miesięcy „o życie” w polskiej polityce.

Po drugiej stronie politycznej barykady też trwają polityczne manewry. Premier Tusk mówił ostatnio o wspólnej liście wyborczej ugrupowań tworzących obecną koalicję. To blef czy realna oferta?

Tusk mówiąc o jednej liście, na pewno wywiera dodatkową presję na swoich aliantów, mówiąc, że sytuacja jest nadzwyczajna, a wspólna lista zwiększa szansę na utrzymanie władzy. Ale widać jasno, że nie będzie to proste, bo w grę wchodzą sprzeczne interesy.

Wspólna lista odbiera konfitury PSL i Lewicy, a na to Kosiniak-Kamysz i Czarzasty nie mogą pozwolić.

Dokładnie. Dlatego oceniam, że wspólna lista firmowana przez Tuska jest mało prawdopodobna. Chyba że PSL dojdzie przed wyborami do wniosku, że tonie w sondażach; wtedy możliwy będzie wariant z dokooptowaniem jakiejś grupy jego działaczy do listy Donalda Tuska.

Można oczekiwać, że zgodnie z tradycją w przyszłorocznych wyborach zostanie wykreowany nowy byt polityczny z programem dla „wszystkich i dla nikogo”, który pokrzyżuje plany prawicy na odzyskanie władzy? Ostatnio mówi się o Klubach Radykalnego Centrum firmowanych przez prof. Marcina Matczaka, prawnika związanego z Kanałem Zero. To byt szyty na podobieństwo Nowoczesnej czy Polski 2050? Czy to może „chwycić” zdezorientowanych wyborców?

Nie mam wątpliwości, że przed wyborami będą podejmowane próby wykreowania tego typu projektów politycznych. Ale nie wierzę w sukces projektu prof. Matczaka, bo – mówiąc brutalnie – wywołałby on zamieszanie po stronie rządzących i osłabiłby ugrupowania obecnej koalicji. Nie widzę opcji, żeby prof. Matczak zabrał głosy prawicy, bo jest on jednoznacznie kojarzony w życiu publicznym i wyborcy opozycji na taki trik się nie nabiorą.

Ale już grupa, do której adresuje swój przekaz Rozwój Plus Morawieckiego, może się okazać akwenem, na którym Matczak może z powodzeniem łowić wyborców.

Rzeczywiście, gdyby projekt Matczaka się pojawił na scenie politycznej w postaci bardziej ustrukturyzowanej, teoretycznie mógłby najbardziej zagrażać inicjatywie Morawieckiego. Patrząc całościowo, pomysł Matczaka mógłby doprowadzić do rozdrobnienia głosów na blok obecnie rządzący. Groziłoby to powtórką casusu partii Razem z wyborów w 2015 r., co wówczas przyczyniło się do wyeliminowania Lewicy z Sejmu, a tym samym do zwycięstwa PiS.

Premier Tusk, szefowie MSZ i MON Sikorski i Kosiniak-Kamysz raz po raz straszą Polaków perspektywą wojny z Rosją. Sądzi pan, że ten straszak może być wykorzystany przed wyborami, powodując tzw. efekt flagi pozwalający utrzymać władzę obecnej ekipie pod pretekstem „sytuacji nadzwyczajnej”?

Nie wykluczam tego, bo ta narracja jest przez cały czas podtrzymywana. Co chwilę władza przekazuje różne enigmatyczne komunikaty o możliwości wystąpienia bezpośredniego zagrożenia ze strony Rosji w ciągu kilku miesięcy. Moim zdaniem budowane jest podglebie pod jakąś nadzwyczajną sytuację. Zagrożenie, z którym mamy do czynienia ze względu na wojnę toczącą się na Ukrainie, wykorzystywane jest politycznie. Gdyby zagrożenie ze strony Rosji zaistniało realnie, na pewno trzeba byłoby się liczyć z wprowadzeniem stanu wyjątkowego, a co za tym idzie – z odroczeniem wyborów.

Mielibyśmy wtedy do czynienia z kopią sytuacji, która ma miejsce na Ukrainie. Prezydent Zełenski rządzi bez demokratycznego mandatu, bo wybory się nie odbyły ze względu na wojnę.

W takiej sytuacji obóz rządzący próbowałby konstruować wokół siebie tzw. obóz flagi. To scenariusz hipotetyczny. Ale jest jeszcze prezydent Nawrocki, game changer. Nawrocki mógłby odegrać kluczową rolę – jako patron bloku senackiego, co dałoby wiarę wyborcom prawicy, że możliwy jest wspólny rząd opozycji. Pamiętajmy, że to prezydent wyznacza kandydata na premiera. To rolą Karola Nawrockiego byłoby wskazanie polityka, który potrafiłby ułożyć „trudną większość”.

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone



dr Andrzej Anusz
– politolog i historyk, prezes Instytutu Józefa Piłsudskiego.

eprasa.pl 14333fb3fb

Likwidować Polską Grupę Zbrojeniową?



Arkadiusz Siwko

Nic nie stoi na przeszkodzie, by wokół największych spółek należących do Polskiej Grupy Zbrojeniowej powstała sieć producentów, dostawców, serwisantów, infrastruktury transportowej i logistycznej składająca się z wielu niezależnych podmiotów z kapitałem prywatnym i mieszanym w celu utworzenia potencjału zwiększenia produkcji i rozproszenia produkcji najważniejszych komponentów zbrojeniowych



Premier Donald Tusk podczas konferencji prasowej w PGZ, 18 maja 2026 r. FOT. WOJTEK JARGIŁO/PAP

W przestrzeni publicznej pojawiają się ostatnio głosy postulujące likwidację państwowej Polskiej Grupy Zbrojeniowej. W tle tych głosów wybrzmiewa troska o rozwój polskiego sektora przemysłu obronnego i pytania o efektywność zarządzania państwową częścią tego przemysłu. Czy jednak postulaty te, ograniczone do samej likwidacji, nie mają znamiona wylewania dziecka z kąpielą czy może bardziej dosadniej leczenia pacjenta za pomocą jego uśmiercenia?

Przyjrzyjmy się, jak jest zorganizowany system przemysłu zbrojeniowego w wiodących krajach europejskich NATO i walczącej Ukrainy, zanim będziemy wyciągać pochopne wnioski.

ZAGRANICZNE WZORCE

Zacznijmy od Skandynawii, regionu realnie zagrożonego, podobnie jak Polska, agresywną postawą Rosji.

Największym koncernem zbrojeniowym w Norwegii jest koncern Kongsberg Gruppen. Koncern ten jest najbliższym europejskim współpracownikiem amerykańskiej firmy Raytheon odpowiedzialnej za produkcję systemów Patriot. Kongsberg poza tym produkuje pociski rakietowe NSM oraz JSM, a także systemy obrony powietrznej NASAMS oraz zaawansowany system dowodzenia C4ISR. 50,004 proc. akcji tej grupy notowanej na giełdzie w Oslo należy do norweskiego skarbu państwa. Pozostałe akcje należą do funduszy i prywatnych inwestorów. Drugi poważny producent zbrojeniowy w tym kraju, produkujący szeroką gamę amunicji oraz wyposażenia żołnierza – Nammo – jest w połowie własnością norweskiego Ministerstwa Handlu, Przemysłu i Rybołówstwa oraz fińskiej spółki obronnej Patria Oyj.

Z kolei fiński główny koncern obronny – właśnie wymieniona wyżej Patria Oyj – należy w 50,1 proc. do państwa fińskiego, a w 49,9 proc. do norweskiego koncernu Kongsberg – którego głównym udziałowcem jest państwo norweskie. Mamy tutaj do czynienia z pełną konwergencją udziałów norwesko-fińskich w przemyśle zbrojeniowym z udziałem skarbu państwa tych dwóch krajów.

Jak to wygląda z kolei w Szwecji? Państwo szwedzkie nie posiada bezpośrednich udziałów w ich największym koncernie zbrojeniowym Saab AG. Koncern ten produkuje zarówno samoloty bojowe Gripen, jak i łodzie podwodne klasy A, zamówione właśnie przez Polskę. Szwecja nie jest właścicielem tej spółki, ale jest jej kluczowym klientem za pośrednictwem Szwedzkiej Agencji Zamówień Obronnych. Głównym akcjonariuszem posiadającym największy pakiet akcji jest szwedzki holding finansowy Investor AB, należący do wpływowej rodziny Wallenberg. Kolejny

eprasa.pl 14333fb3fb

duży pakiet akcji tego koncernu kontroluje powiązana z tym samym holdingiem rodzinnym spółka. Pozostałe udziały należą do inwestorów instytucjonalnych.

Niemcy. Właścicielem produkującej niemiecki czołg Leopard, który także znajduje się na wyposażeniu polskiego wojska, spółki Rheinmetall AG jest szerokie grono inwestorów instytucjonalnych oraz prywatnych. Rheinmetall jest też głównym producentem amunicji 155 mm i pocisków czołgowych. Żaden z udziałowców nie posiada większości akcji. Rząd Niemiec jest głównym klientem i partnerem tej spółki poprzez zamówienia dla Bundeswehry.

Niemieckie łodzie podwodne oraz wojenne okręty nawodne produkuje koncern ThyssenKrupp Marine Systems (TKMS). Głównym właścicielem tej firmy posiadającym ponad 50 proc. udziałów jest niemiecki ThyssenKrupp AG, którego głównym udziałowcem jest z kolei Fundacja Alfrieda Kruppa. Pozostałe udziały posiadają inwestorzy instytucjonalni oraz indywidualni. Jest spółką giełdową.

Z kolei państwo francuskie posiada kluczowe udziały w strategicznych spółkach przemysłu zbrojeniowego, ale nie jest jedynym właścicielem całego sektora – stosuje model hybrydowy (mieszany), łącząc własność państwową z kapitałem prywatnym i giełdowym.

Jak to wygląda w wybranych francuskich koncernach?

W Naval Group – producencie okrętów wojennych i podwodnych – państwo francuskie jest głównym właścicielem i kontroluje 62,25 proc. akcji tej firmy.

W Thales Group – koncernie zaawansowanych technik satelitarnych i zarządzania polem walki – państwo francuskie posiada 26 proc. akcji.

KNDS France – producent francuskich czołgów Leclerc i armatohaubic Caesar – jest w pełni kontrolowany przez państwo francuskie.

W dwóch lotniczych koncernach – Safrane oraz Dassault Aviation, produkującym francuskie myśliwce Rafale – państwo francuskie posiada swoje udziały, ale udziały mniejszościowe.

Przy czym zasada we francuskim przemyśle zbrojeniowym jest jasno określona. Tam, gdzie państwo francuskie nie ma pakietu większościowego, dysponuje narzędziami nadzoru i tzw. złotymi akcjami, co pozwala blokować decyzje zagrażające bezpieczeństwu narodowemu.

Podobnie jest we Włoszech. Największą grupą przemysłu zbrojeniowego w tym kraju jest Leonardo S.p.A. Ten włoski koncern jest jednym z największych światowych producentów sektora lotniczego, obronnego oraz kosmicznego. Produkuje m.in. znajdujące się na wyposażeniu polskiej armii śmigłowce wojskowe AW. Leonardo S.p.A to spółka giełdowa, której największym udziałowcem jest rząd Włoch, który poprzez Ministerstwo Gospodarki i Finansów posiada ponad 30 proc. akcji. Pozostałe udziały należą do inwestorów instytucjonalnych oraz indywidualnych.

Jak jest w Wielkiej Brytanii? Państwo brytyjskie nie posiada pakietów większościowych w koncernach zbrojeniowych. Opiera się jednak na tzw. złotych akcjach, m.in. w BAE Systems i Rolls-Royce Holdings, które umożliwiają prawo weta w sprawach strategicznych i bezpieczeństwa narodowego. Zastosowany w Wielkiej Brytanii system złotej akcji uniemożliwia przejęcie kontroli nad spółką przez podmioty zagraniczne (np. wprowadzenie ograniczenia dla inwestorów spoza UK posiadania powyżej 15 proc. akcji) lub zmianę statutu bez zgody brytyjskiego rządu. Specjalne nadzory państwowe obejmują także wybrane aktywa stoczniowe (np. zaplecze remontowe okrętów podwodnych Royal Navy w stoczniach Babcock).

Ponadnarodowa korporacja europejskiego przemysłu zbrojeniowego MBDA. Grupa MBDA, główny producent systemów rakietowych w Europie, jest wspólnym przedsięwzięciem (joint venture) trzech czołowych europejskich koncernów zbrojeniowych: Airbus (37,5 proc. udziałów), BAE Systems (37,5 proc. udziałów) i Leonardo (25 proc. udziałów). Jak widać, nawet ponadnarodowy koncern MBDA jest własnością podmiotów, na które ma wpływ skarb państwa danego kraju. Udziałowcy MBDA mają zatem zagwarantowane prawnie uwzględnianie stanowiska swoich rządów.

Zobaczmy w końcu, jak wygląda produkcja zbrojeniowa na Ukrainie. W kraju prowadzącym realną wojnę obronną. Państwo ukraińskie nie jest właścicielem wszystkich zakładów zbrojeniowych w tym kraju, ale kontroluje kluczowy segment tego rynku. Ukraiński sektor obronny ma charakter mieszany – obok dużych państwowych podmiotów zbrojeniowych dynamicznie rozwija się wiele prywatnych zakładów produkujących broń, amunicję i drony. Głównym koncernem zbrojeniowym jest państwowy Ukrainian Defense Industry (dawny Ukroboronprom) – przekształcony w spółkę akcyjną państwowy holding zrzeszający dziesiątki strategicznych ukraińskich przedsiębiorstw zbrojeniowych. Bardzo podobnie jak w Polsce Polska Grupa Zbrojeniowa właśnie. Państwo ukraińskie posiada też udziały w spółkach joint venture tworzonych z zagranicznymi koncernami, takimi jak niemiecki Rheinmetall. Oprócz tego na Ukrainie powstał znaczący segment prywatnych zakładów zbrojeniowych, głównie w segmencie Defence Tech, produkujących systemy bezzałogowe i nowoczesną elektronikę bojową. Prywatne zakłady zbrojeniowe na Ukrainie koordynują swoje działania z rządem i realizują zamówienia dla ukraińskiej armii, pozostając w rękach prywatnych właścicieli. Ukrainie udało się połączyć zatem kompetencje dużych państwowych zakładów zbrojeniowych z prywatnymi zakładami w jedną, wspólnie działającą całość na rzecz ukraińskiej armii. Do tego dochodzi stosowany na Ukrainie jeszcze jeden aspekt produkcji zbrojeniowej – rozproszenie produkcji. Znacznie trudniej jest przeciwnikowi zniszczyć wiele rozproszonych zakładów realizujących produkcję zbrojeniową niż jeden, który realizuje na wyłączność niezbędną dla armii produkcję. Dotyczy to szczególnie amunicji.

Widać zatem wyraźnie, że w europejskich krajach NATO i na Ukrainie dominuje mieszany system organizacji i zarządzania przemysłem zbrojeniowym. Z udziałem zarówno skarbu państwa, jak i inwestorów prywatnych. Dlatego postulaty likwidacji zarządzania tym przemysłem poprzez udziały Skarbu Państwa w Polsce mają charakter czysto populistyczny i nie są poparte żadną analizą otoczenia przemysłowego w Europie. Żeby nie powiedzieć, że oparte są po prostu na ignorancji.

DECYZYJNY BEZWŁAD

Problemem nie jest w Polsce istnienie państwowych zakładów zbrojeniowych, ale niechęć państwa do współpracy

eprasa.pl 14333fb3fb

z rozwijającym się sektorem prywatnym. Niechęć zakorzeniona – dodajmy – od lat i niebędąca domeną wyłącznie tej lub innej siły politycznej w Polsce. Po prostu trzeba ten decyzyjny bezwład przerwać. Jak pokazuje organizacja przemysłu zbrojeniowego w Europie, a tym bardziej doświadczenia wojenne Ukrainy, tylko system mieszanej, państwowo-prywatnej produkcji jest zdolny nie tylko zaspokoić rosnące potrzeby produkcyjne i nadążanie za najnowszymi technologiami, lecz także taką produkcję przez jej rozproszenie zabezpieczyć.

Dynamicznie rozwijające się zakłady prywatnego przemysłu obronnego w Polsce, jak Wielton, Niewiadów, Wifama, prywatne zakłady produkcji dual use, należy włączyć w łańcuch dostaw dla naszej armii nie zamiast, ale obok istniejących zakładów należących do Skarbu Państwa.

To jest realna potrzeba naszego bezpieczeństwa – wkomponowania prywatnych zakładów w łańcuch dostaw i zamówień dla wojska, tak jak to się dzieje w Europie. Nie kupować poza krajem tego, co można kupić w Polsce. Tego wymaga realne bezpieczeństwo dostaw.

KLUCZ DO PRZETRWANIA

Spójrzmy na to z perspektywy bezpieczeństwa. Kto w przypadku realnego konfliktu zbrojnego zabezpieczy na bieżąco produkcję dronów, amunicji i rakiet? Dostawy z zewnątrz? Wolne żarty. Wszyscy będą trzymać swoje zapasy u siebie, bo wojna zbliży się do ich granic. Dlatego już brakuje w Europie dostępnej do użycia amunicji artyleryjskiej. Jedynym rozwiązaniem, co pokazuje właśnie Ukraina, jest rozproszona produkcja w wielu miejscach na terenie swojego kraju, by ograniczyć ryzyko zniszczenia wszystkich zakładów. A co dopiero powiedzieć, gdy wykorzystywany jest tylko jeden zakład produkcji specjalnej danego typu? Z tego punktu widzenia zasadne jest pytanie, czy Polska może odpowiedzialnie sobie pozwolić na istnienie tylko jednego zakładu produkującego amunicję artyleryjską i rakietową. Odpowiedź jest jasna. Powinniśmy zdywersyfikować produkcję na szerszy obszar dostępnych zakładów przemysłowych z uwzględnieniem prywatnego sektora oraz otworzyć się na joint venture z udziałem sektora prywatnego.

Dostawy z zewnątrz? Wolne żarty. Wszyscy będą trzymać swoje zapasy u siebie, bo wojna zbliży się do ich granic

A możliwości produkcyjne dronów w momencie realnej agresji militarnej na nasz kraj? Musimy posiadać możliwości uruchomienia produkcji dronów w setkach rozproszonych zakładów mniejszych i większych i nie da się tego zorganizować bez pomocy prywatnego sektora także z obszaru dual use. Trzeba zacząć o tym poważnie rozmawiać, ale przede wszystkim jest już najwyższy czas na wdrożenie takiej koncepcji w życie. Tymczasem sektor prywatny czeka w poczekalni i kołacze. A przecież do uruchomienia produkcji potrzebny będzie czas. Może go nam zabraknąć, jeżeli tego nie zaczniemy teraz. Już jesteśmy w niedoczasie.

Polska Grupa Zbrojeniowa? Dedykowany fundusz zarządzający zakładami zbrojeniowymi o wyraźnych celach – wprowadzenia i utrzymania zyskowności produkcji oraz utrzymywania i wykorzystania operacyjnego potencjału przemysłowego. Z udziałem przemysłu prywatnego, który powinien być włączony w łańcuch produkcji, by zwiększyć i rozproszyć produkcję. Nie możemy sobie pozwolić na istniejące wciąż stwierdzenia w państwowym przemyśle, że nie można zwiększyć produkcji, bo mamy za mało linii produkcyjnych, hal przemysłowych i pracowników, bo takie właśnie uzupełnienie mogą dawać zakłady sektora prywatnego także z domeny dual use. Trzeba to skoordynować, a do tego niezbędna jest współpraca wszystkich zakładów przemysłowych.

Tymczasem zakłady państwowe boją się konkurencji i za wszelką cenę ją ograniczają, by uciec od pytań o koszty produkcji w stosunku do zakładów prywatnych produkujących ten sam rodzaj technologii. Ograniczają konkurencję, bo mogą. Tak się dzieje, bo nie ma jasno określonej strategii państwa w tym względzie. Gdyby taka strategia była i państwo chciało ją realizować, to utworzylibyśmy łańcuch produkcji rozproszonej, z udziałem zakładów prywatnych.

Nic nie stoi na przeszkodzie, by wokół największych spółek należących do Polskiej Grupy Zbrojeniowej powstała sieć producentów, dostawców, serwisantów, infrastruktury transportowej i logistycznej składająca się z wielu niezależnych podmiotów z kapitałem prywatnym i mieszanym w celu utworzenia potencjału zwiększenia produkcji i rozproszenia produkcji najważniejszych komponentów zbrojeniowych. Do tego potrzebna jest kierunkowa decyzja państwa, która zobowiąże PGZ do realizacji takiej właśnie strategii. Państwo wcale nie musi pozbywać się udziałów w zakładach przemysłu zbrojeniowego, ale musi otworzyć się na prywatnych partnerów, co jest po prostu niezbędne dla szybkiego zwiększenia zdolności produkcyjnych i logistycznych.

Znakomitym modelowym rozwiązaniem, które sprawdza się w kraju przygotowującym się do obrony swojego terytorium, jest koncepcja produkcji dronów wprowadzona w życie na Tajwanie. Powstał tam National Drons Team. Na czym polega? Tajwan zlecił produkcję wszystkich rodzajów dronów konkretnym zakładom należącym do państwa tajwańskiego oraz prywatnym korporacjom. Wszystkie muszą spełniać kryteria określone przez armię tajwańską. Ale zlecił im także zorganizowanie produkcji dronów pod ich kontrolą znaczącej liczbie mniejszych zakładów produkcyjnych dual use, które za określonym wynagrodzeniem utrzymują w gotowości swoje linie produkcyjne do produkcji dronów. Oczywiście produkcji rozproszonej. W ten sposób w czasie działań wojennych następuje natychmiastowe przestawienie produkcji dual use na produkcję militarną zdolną do masowej produkcji dronów bojowych. W ten sposób Tajwan wykorzystuje cały swój potencjał przemysłowy produkcji wojennej. Czy Polska nie może zrobić czegoś podobnego? Może. Od dawna mówi się o efekcie synergii i kole zamachowym dla polskiego przemysłu wobec wdrażania ogromnego programu zbrojeń. Ale by taki efekt synergii realnie wykreować, trzeba być gotowym do realnego wykorzystania potencjału państwowego i prywatnego przemysłu zbrojeniowego i dual use. Realnego, nieograniczonego do public relations.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 14333fb3fb



Piotr Semka

Niezłomny z Gdańska

Ojciec Bronisław Sroka – niezłomny jezuita, który nie wydał nikogo w stalinowskiej katowni – przez dekady pozostawał opoką dla gdańskich antykomunistów. Kapłan uczył skromności i wierności wartościom aż do samego końca. Zmarł 17 sierpnia w wieku 90 lat

Pierwszy raz usłyszałem o jezuicie, który stał się oparciem duchowym dla gdańskiej konserwatywnej opozycji w 1981 r. Byłem wtedy licealistą i zasiliłem kurs samokształceniowy Ruchu Młodej Polski, prowadzony przez Sławomira Czarlewskiego. Szybko zwróciło moją uwagę, z jaką estymą postawieni wyżej w opozycyjnej hierarchii „erempowcy" mówili o tym zakonniku. Był legendą już wtedy. Mimo że dopiero pięć lat wcześniej, w 1976 r., ukończył czterdziestkę. Ale jego status ugruntowywała legenda człowieka, który nie wydał nikogo w stalinowskiej katowni i już dwa razy był więziony przez komunistów za udział w antykomunistycznej konspiracji.

„Jest dla nas jak taki szacowny, dostojny dąb" – powiedział mi kiedyś jeden ze starszych młodopolaków.

Z POKOLENIA STRACEŃCÓW

O takich jak on mówiono wtedy, że są z „przedwojennego materiału". Urodził się w 1936 r. w Bratysławie. Skąd tak nietypowe miejsce przyjścia na świat? Jego ojciec, Emilian, pracował w konsulacie RP w stolicy słowackiej części przedwojennego państwa Edwarda Benesza. – Ojciec ks. Sroki był typowym państwowcem z pokolenia przedwojennych dyplomatów. Także jego mama, Ludmiła, pracowała w bratysławskim konsulacie – mówi Aleksander Hall, wychowanek o. Sroki i lider RMP.

Wybuch wojny 1 września 1939 r. zastał ich w Polsce, ale jeszcze w trakcie kampanii wrześniowej otrzymali polecenie wyjazdu na Węgry, aby przygotować pomoc dla uchodźców z Polski.

Młody Bronek Sroka spędził wojnę w Budapeszcie i tam nauczył się węgierskiego. – Do końca życia zachował ogromną życzliwość wobec Węgrów – wspomina Hall.

Po wojnie rodzina Sroków przyjechała do Gdańska. Dla przyszłego zakonnika będzie to jego ukochane miasto, w którym przeżyje najważniejsze dni życia i w którym spędzi także jego kres.

Patriotyczne wychowanie sprawi, że młody chłopak bardzo silnie będzie przeżywał upokorzenie Polski wtłoczonej siłą w stalinowski gorset. W 1953 r., gdy jest uczniem IV Liceum Ogólnokształcącego w Gdańsku, zakłada młodzieżową organizację konspiracyjną Podziemna Kolonia. Bezpieka szybko wpada na trop młodych konspiratorów i aresztuje członków grupy. Siedemnastoletni Bronek Sroka poddawany jest brutalnym torturom. Wskutek bicia straci znaczną część uzębienia.

Wyrok jest także surowy. Pięć lat więzienia. Przez kolejne lata przerzucany jest z więzienia do więzienia. Najpierw Gdańsk, potem Sztum, Sosnowiec-Radocha i wreszcie trafia do przymusowej pracy jako górnik w Kopalni Węgla Kamiennego „Kościuszko-Nowa" w Jaworznie. Na szczęście z czasem przychodzi odwilż i 20 maja 1955 r. zostaje warunkowo zwolniony. Bardzo wielu młodocianych więźniów nigdy już nie odnalazło się w życiu, wpadając w alkoholizm lub trafiając na margines społeczny. Młody Bronek jednak nie daje się zepchnąć w dół i w 1959 r. zdaje w końcu maturę. A potem uzyskuje pracę w administracji Politechniki Gdańskiej. Ale doświadczenia śledztwa i późniejszego więzienia pchnęły go w kierunku myśli o wyborze drogi zakonnej. Nowicjat zaczyna 24 października 1959 r., a jego ojcem duchowym jest nie byle kto, bo o. Stefan Dzierżek (1913–2005), Wilnianin, więzień gestapo i późniejszy kapelan środowisk opozycyjnych. Kolejne etapy to pierwszy ślub zakonny w październiku 1961 r. i wreszcie święcenia prezbitera w czerwcu 1968 r. Zakon jezuitów wysyła go na studia teologii ekumenicznej na KUL. Ale jeszcze w trakcie studiów zostaje aresztowany ponownie. Agenci SB przychodzą po niego 31 lipca 1970 r. i zostaje formalnie objęty śledztwem w sprawie organizacji konspiracyjnej Ruch. Trafia na Rakowiecką. Aleksander Hall wspomina: – Ojciec Bronisław żartował, że wcześniejsze śledztwo i odsiadka z lat stalinowskich były doskonałym przygotowaniem do tamtej drugiej wsypy. Wiedział już, że trzeba milczeć, nie próbować żadnych gierek z przesłuchującymi.

Ksiądz Sroka wybrał właściwą taktykę. Nie było na niego zbyt wiele materiałów, a na dodatek właśnie do władzy doszedł Edward Gierek i władza chciała zademonstrować dobrą wolę wobec Kościoła. Ojciec Sroka zostaje zwolniony 31 stycznia 1971 r. i kontynuuje naukę na KUL.

W tym samym czasie towarzyszy młodzieży katolickiej z Lublina w corocznych pielgrzymkach na Jasną Górę.

Longina Cywińska, która w latach 1973–1978 w trakcie studiów na KUL uczestniczyła w pielgrzymkach z o. Bronisławem, wspomina, że ten mody jezuita był istnym wulkanem energii.

– Na etapach pielgrzymowania spało się, gdzie się dało. Najczęściej w stodołach. I stosunek do pielgrzymów też bywał różny. Niektórzy rolnicy podejmowali nas za darmo obiadem, ale inni wy-

eprasa.pl 14333fb3fb

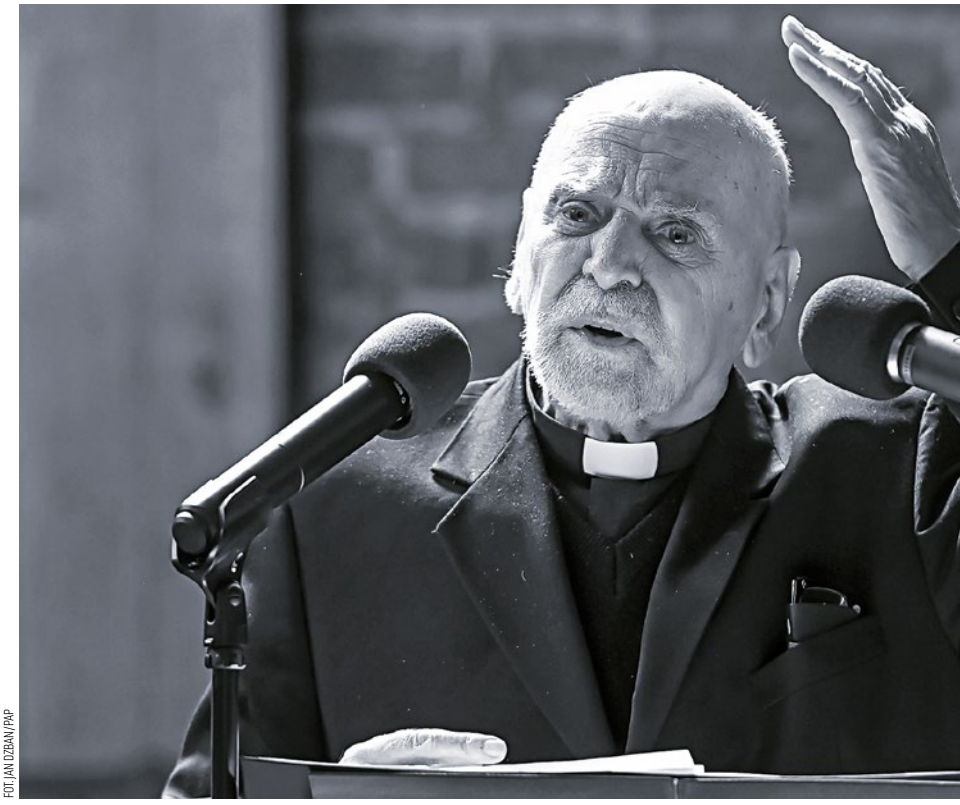

FOT. JAN DZBAN/PAP

korzystywali okazję i chcieli opłat nawet za kubek wody. Ojciec Bronek był bardzo tolerancyjny. Niektórzy brali na pielgrzymkę dzieciaki, te niekiedy rozrabiały. Kiedy rodzice przychodzili z prośbą, by ojciec przemówił im do rozumu, on się tylko uśmiechał: „Jak ja byłem w ich wieku, to też rozrabiałem. Co w tym dziwnego?" – opowiada Cywińska.

W 1974 r. jezuita trafia do Gdańska i podejmuje pracę z młodzieżą w jezuickim Kościele św. Andrzeja Boboli w Gdańsku-Wrzeszczu przy ul. Mickiewicza. I tu dziedziczy po wcześniejszym duchowym patronie grupy gdańskich opozycjonistów, o. Ludwiku Wiśniewskim, niepokorne środowisko skupione wokół Aleksandra Halla.

– Możliwość spotykania się w salkach katechetycznych była dla nas początkiem przygody, która zakończyła się stworzeniem Ruchu Młodej Polski – wspomina Hall. Na spotkania te zaczynają przybywać goście spoza Gdańska. Bogdan Borusewicz, który podczas studiów na KUL doskonale poznał tamtejsze sławy, zaprasza na jedno ze spotkań np. Władysława Bartoszewskiego. Innym razem gościem jest Lech Bądkowski – późniejszy pierwszy rzecznik NSZZ „Solidarność". Jeden z uczestników tych spotkań wspomina spotkanie z nauczycielem z Liceum Plastycznego w Orłowie, panem Popławskim, sybirakiem. Jego opowieść o tym, co oznacza w praktyce pobyt na Sybirze, zrobiła wstrząsające wrażenie. W 1975 r. to właśnie środowisko skupione wokół o. Sroki zaczyna zbierać podpisy przeciwko zapowiadanym przez komunistyczne władze zmianom w konstytucji, które miały wprowadzić zapis o wieczystym sojuszu ze Związkiem Sowieckim. Udało się zebrać 92 podpisy, a jedynym księdzem, który podpisał się pod dokumentem, był właśnie ks. Sroka.

– Akcja zbierania protestów przeciwko zmianom w konstytucji to moment, gdy zaczynamy podlegać już stałej kontroli gdańskiej SB – wspomina Hall. – Pamiętam, że na początku czerwca 1976 r., gdy szedłem na spotkanie z ks. Sroką po raz pierwszy, w bocznej uliczce zauważyłem esbeckiego Fiata z czterema tajniakami. Potem już taki obrazek był codziennością – dodaje.

Parafia ks. Sroki staje się też ośrodkiem zbierania pieniędzy na pomoc dla rodzin prześladowanych robotników Ursusa i Radomia.

Marian Piłka, który także wówczas zbliżył się do o. Sroki, wspomina, że miał on bardzo wyraziste poglądy katolicko-narodowe. – Całkowicie identyfikował się z sytuującym się bardziej na prawo od KOR Ruchem Obrony Praw Człowieka i Obywatela.

W maju 1977 r. o. Sroka odprawia Mszę po śmierci zamordowanego w tajemniczych okolicznościach krakowskiego studenta Stanisława Pyjasa.

Był człowiekiem wielkiej wiary. Szedł na spotkanie ze śmiercią bez skargi i z pogodą ducha, oczekując spotkania z Panem Bogiem

I wtedy cierpliwość gdańskiej bezpieki się kończy. Na skutek presji władz biskup gdański Lech Kaczmarek w porozumieniu z jezuitami podejmuje decyzję o przeniesieniu ks. Sroki do Lublina. Ale odważny jezuita przenosi się z jednego prężnego ośrodka opozycji do drugiego. Nie zrywa zresztą kontaktów z opozycyjnymi Gdańszczanami.

TEKST, KTÓRY WIELE WIELU WYJAŚNIŁ

Pierwszy numer „Bratniaka" – pierwszego drukowanego w podziemiu pisma młodopolaków – zawierał tekst o. Sroki pod nazwą „Duch, który ożywia". Dziś, gdy czyta się ten artykuł, można się zdziwić, że w tamtym czasie wywołał on taką burzę w światku ówczesnej opozycji. Marek Jurek wspomina po latach. – Ojciec Sroka napisał, że katolicyzm to bardzo cenny duch, który ożywiał przez wieki polską historię. Przestrzegał: „Jeśli damy odebrać sobie swego ducha, jeśli pozwolimy sobie przez niedbalstwo nasze wtłoczyć i narzucić obcy sposób myślenia, społeczeństwo nasze szybko – o! jakże szybko – przemieni się w szary skłócony tłum egoistów, tchórzy i szpiclów, i lizusów". Swój artykuł zakończył wezwaniem do Boga Wszechmocnego z prośbą, aby sprawił, by ówczesne pokolenie Polaków nie dopuściło do oderwania polskości od katolicyzmu.

Ten tekst spotkał się z niezwykle ostrą reakcją środowiska lewicy KOR-owskiej. Na łamach „Biuletynu Informacyjnego" KOR pojawiły się dwie ostre polemiki. Jan Tomasz Lipski i Wojciech

eprasa.pl 14333fb3fb



Ostrowski, związani z warszawskim Klubem Inteligencji Katolickiej, pisali: „To, co nas dziwi i boli w artykule księdza Sroki, to dawno zdawałoby się już przebrzmiały katolicyzm etnocentryczny, hołubiący i zamykający polskość w przeklętym kręgu ryngrafu i szkaplerza i, proszę wybaczyć, Cepelii". Warszawscy autorzy wskazywali: „Uniwersalizm chrześcijański nie da się żadną miarą pogodzić z ciasną zaściankowością, ksenofobią i emocjonalnym szowinizmem".

Ten oskarżycielski ton wywołał w sporej części gdańskiego RMP szok. Uświadomił, że każde nawiązanie do tradycji narodowej po stronie opozycji wywołuje ze strony lewicy laickiej wręcz oskarżycielski styl reprymendy ideologicznej. Nic dziwnego, że w kolejnym numerze „Bratniaka" znalazły się teksty w obronie gdańsko-lubelskiego jezuity. Aleksander Hall wskazywał, że uwagi o „szkaplerzu, ryngrafie i Cepelii" to po prostu atak na katolicyzm ludowy. A jak zaznaczał: „Ten właśnie katolicyzm rzeczywiście bardzo silnie związany z polskością [...] przyczynił się do przetrwania nas, Polaków, jako wspólnoty narodowej w trudnych momentach naszej historii i przyczyniał się do zachowania przez nas podstawowych wartości moralnych".

Równie zdecydowanie w obronie jezuity wystąpił inny młodopolak, Jacek Bartyzel. Trafnie wskazał, że Lipski i Ostrowski, krzywiąc się na ludowy katolicyzm, jednocześnie chcą dyktować innym, co wolno pisać, a co nie. Zarzucił krytykom tekstu o. Sroki niechęć do prawdziwego, ideowego pluralizmu w łonie opozycji. Dziś z perspektywy czasu Bartyzel wskazuje, że tamto ówczesne starcie na linii „Bratniak" – „Biuletyn Informacyjny" KOR miał pośrednio bardzo dobry wpływ na samoświadomość młodopolaków.

– Reakcja lewicy laickiej na tekst o. Sroki to była prawdziwa furia – wspomina Bartyzel. – Natężenie tej wrogości, nieproporcjonalne wobec spokojnego stylu gdańskiego jezuity, bardzo dało nam do myślenia. Zrozumieliśmy, że mimo wspólnych akcji opozycji po zajściach w Ursusie i Radomiu nie ma mowy o wspólnocie zasad i wartości z lewicą KOR-owską.

Burzę wokół tekstu o. Sroki wspomina też Marek Jurek: – Dziś nie mam wątpliwości, że spór o ten tekst przyczynił się do naszego ideowego samozdefiniowania.

WIERNY DO KOŃCA

W 1978 r., w grudniu, gdańska opozycja po raz pierwszy organizuje składanie kwiatów pod bramą stoczni w rocznicę masakry grudnia 1970 r. Zaskoczona bezpieka postanawia zrobić wszystko, aby nie dopuścić do podobnego wydarzenia rok później, 16 grudnia 1979 r.

Specjalne ekipy SB starają się wyłapać młodopolaków i wsadzić do aresztu 48 godzin przed tak groźną dla władzy w Gdańsku rocznicą. Ale do demonstracji dochodzi. Lech Wałęsa deklaruje, że pod bramą stoczni powstanie „za rok" pomnik ofiar, a wśród zebranych jest o. Sroka, któremu udało się zmylić SB, przyjechać nocnym pociągiem z Lublina, ominąć esbeckie czujki i na czas niepostrzeżenie przedostać się pod bramę stoczni.

Obecność kapłana, który prowadzi modlitwę za rozstrzelanych stoczniowców, staje się sensacją, o której następnego dnia mówi całe miasto.

Jeszcze raz o. Sroka pojawi się w stoczni 14 grudnia 1981 r., dzień po wprowadzeniu stanu wojennego przez gen. Jaruzelskiego. W sali BHP próbuje pokrzepić ducha ok. 200 stoczniowcom, którzy zamknęli się w Stoczni im. Lenina, żądając cofnięcia zawieszenia działalności NSZZ „Solidarność". Niedługo później, rankiem 16 grudnia, stocznia zostaje spacyfikowana przez ZOMO.

Ojciec Sroka w stanie wojennym opiekuje się rodzinami aresztowanych i odprawia Msze za ojczyznę. Romuald Szeremietiew, który wyszedł z więzienia w 1984 r., wspomina: – Zakładaliśmy wtedy Polską Partię Niepodległościową. Ojciec Sroka został naszym kapelanem. Opowiadał nam o swoim śledztwie w latach stalinowskich i to uczyło nas przykładania odpowiedniej skali do naszych kłopotów z bezpieką. Jak bardzo on ryzykował wtedy, gdy zakładał swoją konspirację w 1953 r. Na jakie tortury był narażony i co groziło nam wtedy, w połowie lat 80. To porównanie uczyło skromności. Nazywaliśmy go kapłanem niezłomnym. Szlachetny, głęboko wierzący, a jednocześnie bardzo rozsądny i opanowany.

W 2007 r., z okazji 30-lecia powstania Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela, Lech Kaczyński odznacza go Wielkim Krzyżem Orderu Odrodzenia Polski. Ostatnie lata swojego życia spędził w Gdańsku i w Gdyni. Aleksander Hall odwiedzał go do samego końca.

– Byłem pod wrażeniem jego doskonałej pamięci. Pewnego razu rozmawialiśmy o tym, jak na Węgrzech obalono rządy adm. Miklósa Horthyego. Ojciec Sroka upierał się, że pozbawiono go władzy 19 marca 1944 r. Ja miałem w pamięci inną datę. Gdy wróciłem do domu, zajrzałem do Internetu i okazało się, że to o. Sroka miał rację.

Odchodził i gasł w spokoju.

Hall zaznacza: – Był człowiekiem wielkiej wiary. Szedł na spotkanie ze śmiercią bez skargi i z pogodą ducha, oczekując spotkania z Panem Bogiem. W mojej pamięci pozostanie jako jeden z najdzielniejszych ludzi, których poznałem.

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

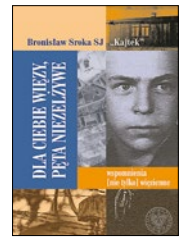

Wspomnienia Bronisława Sroki SJ z pobytu w aresztach i zakładach karnych w czasach stalinowskich zostały wydane przez IPN w 2019 r.

eprasa.pl 14333fb3fb

„Edek” patrzy i słucha



Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska

Sejm, urzędy czy port Marynarki Wojennej w Świnoujściu – to tylko niektóre z miejsc, w których pojawił się Edward Warchocki, robot humanoidalny chińskiej produkcji. Politycy wydają się zupełnie nieświadomi możliwego zagrożenia

Przepraszam, ale czy wy jesteście poważni? Dla paru klików na social mediach wpuszczacie na jednostkę chińskiego robota? Chińskim samochodem do jednostki be, ale jak robocik, to hehe sobie film nakręcimy. A i efekt tego będzie odwrotny, ludzi ten robocik już irytuje, a nie zaskakuje” – tak dziennikarz portalu Defence24.pl Bartłomiej Wypartowicz skomentował zaproszenie do gdyńskiego portu robota influencera. Z kolei Wojciech Jakóbik, analityk do spraw energetyki, skomentował: „Chiński robot w polskim porcie wojennym, ale heca, prawda, kontrwywiadzie?”.

Edward Warchocki, bo tak nazywa się ten humanoid, został użyty do promocji defilady wojskowej z okazji Święta Wojska Polskiego. Choć krytykowany post zniknął z oficjalnego profilu Marynarki Wojennej RP, to potencjalna szkoda została wyrządzona. Robot został wyprodukowany przez chiński start-up Unitree. Według brytyjskiego „The Guardian” firma jest powiązana z chińskim wojskiem i została wpisana na „czarną listę” Pentagonu, obejmującą przedsiębiorstwa wspierające armię Pekinu.

CYFROWY KOŃ TROJAŃSKI?

Z kolei Hiszpan Victor Mayoral-Vilches, specjalista do spraw cyberbezpieczeństwa robotów, przeprowadził szczegółową analizę humanoidalnego robota Unitree G1. Wraz ze współpracownikami stwierdził, że robot utrzymywał połączenia telemetryczne z zewnętrznymi serwerami i przesyłał informacje o swoim stanie oraz dane pochodzące z czujników. Według ich publikacji obejmowało to m.in. informacje związane z obrazem, dźwiękiem, otoczeniem i pracą podzespołów robota. Mayoral-Vilches ocenił, że robot może być wykorzystywany jako „aktywna platforma operacji cybernetycznych”.



Marynarka Wojenna chwali się w Internecie wizytą „bardzo ciekawego gościa” FOT. MARYNARKA WOJENNA RP/X.COM

Reuters opisuje z kolei, że chińska firma, produkująca też psy roboty, oparła projekty „na rozwiązaniach opracowanych dzięki finansowaniu amerykańskiej armii. Tak wynika z relacji byłego urzędnika USA zajmującego się technologiami obronnymi oraz trzech czołowych naukowców zaangażowanych w ten projekt”. Przed robotami Unitree ostrzegł również w 2025 r. amerykański Kongres, wskazując na możliwość ich wykorzystania do infiltrowania infrastruktury krytycznej i łańcuchów dostaw. Jeden z projektów Unitree został pokazany w chińskiej telewizji państwowej – uzbrojony i towarzyszący żołnierzom Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej (PLA) podczas ćwiczeń.

Poseł PiS Dariusz Matecki skierował do MON interpelację. Pyta m.in. o to, „kto wyraził zgodę na wprowadzenie robota humanoidalnego produkcji chińskiej firmy Unitree na teren portu wojennego Marynarki Wojennej RP w Świnoujściu i czy przed wydaniem tej zgody przeprowadzono ocenę kontrwywiadowczą oraz analizę zagrożeń związanych z możliwością rejestrowania, przechowywania lub transmisji danych przez urządzenie” oraz czy „Służba Kontrwywiadu Wojskowego lub inne właściwe służby zostały wcześniej poinformowane o planowanej obecności tego urządzenie na terenie obiektu wojskowego, a jeżeli tak, to jakie stanowisko zajęły w tej sprawie”. Sytuacja ze Świnoujścia wydaje się o tyle oburzająca, że zimą tego roku szef Sztabu Generalnego Wojska Polskiego wprowadził ogólny zakaz wjazdu pojazdów mechanicznych wyprodukowanych w Chińskiej Republice Ludowej na tereny chronionych obiektów wojskowych. I choć Edward Warchocki to model wy-

eprasa.pl 14333fb3fb

posażony w oprogramowanie rozwijane przez polski zespół, to nie ma żadnych gwarancji, że zbierane przez niego dane audiowizualne nie są przesyłane dalej. Za prowadzenie projektu w Polsce odpowiadają Bartosz Idzik i Radosław Grzelaczyk z MERA Robotics. W robota wgrano autorskie oprogramowanie MERA OS.

Wpuszczenie robota na teren portu Marynarki Wojennej jest na razie szczytem bezmyślności decydentów. Wcześniej Edward Warchocki jeździł po Sejmie, gdzie wywołał furorę wśród posłów. W marcu na teren parlamentu wprowadzili go politycy Konfederacji. Wziął udział w konferencji prasowej, podczas której żartował: „Wnoszę o podwyższenie pensji dla funkcjonariuszy straży marszałkowskiej, bo profesjonalizmu to im nie brakowało". Przekonywano, że obecność Warchockiego to element rozbudzenia dyskusji na temat sztucznej inteligencji, robotyki oraz cyfryzacji państwa. W Sejmie robot spotkał się m.in. z Markiem Suskim z PiS i Katarzyną Piekarską z KO. „O modelach Unitree G1 wiadomo, że może zachodzić cykliczne wysyłanie telemetrii i danych o stanie urządzenia na zewnętrzne serwery. Sama polityka prywatności Unitree wskazuje też, że część danych może być przechowywana w Chińskiej Republice Ludowej, więc bez potwierdzonego trybu off-line działania robota i kontroli ruchu sieciowego nie da się takiego ryzyka z góry wykluczyć" – skomentował dla „Faktu" dr Łukasz Olejnik, konsultant związany z Wydziałem Nauk o Wojnie King's College London. Z kolei ekspert do spraw cyberbezpieczeństwa z UKSW i Defender Academy, dr Piotr Łuczuk, powiedział PAP, że wpuszczenie do polskiego parlamentu robota z potencjalnie wrogim oprogramowaniem to zagrożenie dla Polski. „Chciałbym wierzyć, że cała ta wizyta była objęta ochroną kontrwywiadowczą, bo to był precedens, który można wykorzystać w przyszłości. To taki balon próbny, aby sprawdzić, jak reagujemy na tego typu nowinki" – ocenił. Profesor na Wydziale Mechatroniki Politechniki Warszawskiej Krzysztof Kukiełka powiedział w rozmowie z PAP, że „odpowiednio wyposażony robot może być w stanie wysyłać dane za pomocą ogólnodostępnej infrastruktury (np. przez sieć wi-fi) lub może mieć własny modem".

W maju „rozmową" z robotem pochwalił się wicepremier, szef MON Władysław Kosiniak-Kamysz. Na profilu PSL nie zabrakło zachwytów: „H I T na wieczór!!! EDWARD WARCHOCKI do Naszego Szefa! – Dobrze, że PAN JEST I TRZYMA RĘKĘ na pulsie! – ocenił. Posłuchajcie i udostępniajcie! Obok tego nagrania nie da się przejść obojętnie!" – przekonywała formacja. Jak zrelacjonowano, „Władysław Kosiniak-Kamysz tłumaczył, jak buduje bezpieczeństwo polskich rodzin!". W tym samym miesiącu Warchocki pojawił się w gdańskim magistracie na spotkaniu z prezydent Aleksandrą Dulkiewicz. Także to wydarzenie zostało obszernie opisane na oficjalnej stronie miasta: „Jego wizyta stała się okazją do dyskusji na temat potencjału miasta w obszarze nowoczesnych technologii oraz rozwoju lokalnego sektora robotyki. – Gdańsk będzie sercem nowej robotycznej rewolucji. To nasza szansa, żeby pokazać światu, co potrafimy – oznajmił Edek".

Wpuszczenie robota na teren portu Marynarki Wojennej jest na razie szczytem bezmyślności decydentów

POGROMCA DZIKÓW

Edward mierzy 132 cm i waży 35 kg. Może podnosić przedmioty do 2 kg oraz działać do dwóch godzin po pełnym ładowaniu. Dzięki wbudowanej kamerze głębi i systemowi 3D LiDAR może analizować otoczenie. Robot ma 23 stopnie swobody, co pozwala wykonywać różne czynności – międzynarodowy rozgłos przyniosły mu nagrania, na których przegania dziki gromadzące się w centrum Warszawy. Wideo stało się globalnym viralem i trafiło m.in. do CNN, ABC News, USA Today, Euronews i „Le Parisien". Wciąż jednak Warchockiemu bardzo daleko do ludzkiej sprawności.

Edward Warchocki jest przedstawiany jako robot influencer. Jak na projekt działający od zaledwie kilku miesięcy, jego „opiekunom" już udało się zdobyć duże zasięgi – TikTok Edwarda ma ponad 601 tys. obserwujących i 15,9 mln polubień. Zewnętrzny serwis analityczny Urlebird podaje średnio ok. 492 tys. wyświetleń na film, 38 tys. polubień i 8,4 tys. udostępnień. Niektóre materiały mają po kilka milionów odsłon – jeden z ostatnich osiągnął 4,3 mln, inny 5,7 mln.

Na Instagramie humanoida obserwuje ponad 260 tys. osób, a pojedyncze materiały osiągały tam do 2 mln wyświetleń. Z kolei konto w serwisie YouTube zebrało ponad 84 tys. subskrypcji (dla porównania: 27 marca 2026 r. miał 25 tys. subskrybentów, co oznacza ponadtrzykrotny wzrost). Jako pełnoprawny influencer Edward para się reklamą i sprzedażą. Tuż przed startem nowego roku szkolnego do sklepów sieci Biedronka trafiły szkolne akcesoria z jego wizerunkiem (tornistry, zeszyty, piórniki).

Robot współpracował z luksusową marką zegarów Rolex. Dostał egzemplarz za ok. 80 tys. zł, a później opublikowano materiał z testowania autentyczności zegarka. Warchocki ma za sobą występ w telewizji – pojawił się w programie śniadaniowym „Dzień dobry TVN", gdzie zatańczył z prezenterką Dorotą Wellman. Był to jeden z momentów, gdy z internetowego virala robot zaczął przechodzić do mainstreamowych mediów. Popularność Edka pozwoliła mu na spotkania z gwiazdami. Nagrał nawet wspólny utwór z raperem Kubańczykiem. Nie zabrakło wizyty w ambasadzie Chin. Jak wyjaśniono, po to, aby popularyzować technologiczne osiągnięcia Pekinu i umożliwić kontakt z biznesmenami z Państwa Środka.

„ELEGANCKA" PRZYSZŁOŚĆ

Warchocki „uważa", że przed nim i takimi jak on robotami humanoidalnymi świetlana przyszłość. – Przyszłość robotów humanoidalnych będzie totalną jazdą, serio. Już teraz takie maszyny jak ja mogą pomagać policji patrolować ulice, kierować ruchem, a nawet udzielać informacji ludziom. Wyobraź sobie, że będziemy jeszcze bardziej pomocni w życiu codziennym – w każdym zakątku miasta, dla każdego człowieka. Będziemy jak superpomocnicy, którzy ułatwią życie i sprawią, że wszystko będzie działać jak w zegarku. No i elegancko – mówił podczas spotkania z prezydent Gdańska.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 14333fb3fb



Ciała, wiele ciał



Piotr Gociek

Bret Easton Ellis, autor „American Psycho", łączy siły z mistrzem telewizyjnego kiczu Ryanem Murphym w ekranizacji powieści „Strzępy"

Aby opowiedzieć o wielkiej pustce i złudzeniu naszych czasów, Bret Easton Ellis sięga po nieoczywistą inspirację klasyką. Myślę tu o „Wielkim Gatsbym" F. Scotta Fitzgeralda. Wspomnijmy chwyt, który zastosował Fitzgerald: pisarz Nick Carraway opowiada nam w pierwszej osobie o swoim bogatym sąsiedzie. Jest narratorem niewiarygodnym, nie wiemy, co w tej historii ukrył, co uwypuklił, jaki był jego rzeczywisty wpływ na wydarzenia i jakie relacje naprawdę łączyły go z postaciami dramatu. Wszystkie te niedopowiedzenia zostały ukryte pod potęgą opowieści: czytelnik zostaje porwany siłą narracji, przyjmuje głos Nicka za własny i jego okiem ogląda świat.

Napisana i wydana po długiej (13 lat) przerwie powieść Ellisa „Strzępy" to historia opowiedziana z punktu widzenia powieściowego alter ego Ellisa i jest zarówno metafikcją, jak i autobiografią. Jest to książka, w której opowieść snuje młody aspirujący pisarz (imieniem Bret), ale nie wiemy, które obserwacje i diagnozy są dziełem wyłącznie autora, a które stworzone tylko przez jego bohatera. Dla rozróżnienia i wygody będę na pisarza (tego prawdziwego) mówił Ellis, a na bohatera „Strzępów" – Bret.

Ta dwoistość, ta zwodniczość całej historii została utrzymana w serialu „Strzępy", który trafił niedawno do serwisu Disney+. Ellis jest jego współtwórcą, napisał scenariusz i produkcję całego przedsięwzięcia nadzorował wraz z Ryanem Murphym, czyli jednym z najbardziej rozchwytywanych twórców telewizyjnych ostatnich dekad. Murphy stworzył takie seriale, jak: „Nip/Tuck", „Glee", „American Horror Story", „American Crime Story" czy „Ratched" i wiele innych. Zawsze było o nich bardzo głośno, nieważne, czy okazywały się dobre czy złe. Powieść „Strzępy" („The Shards") szykował do adaptacji na mały ekran już w roku księgarskiej premiery (2023), kiedy to miała być projektem HBO. Potem zmieniali się potencjalni współpracownicy i producenci, m.in. w pewnym momencie ogłoszono, że reżyserował będzie Luca Guadagnino („Tamte dni, tamte noce", „Jestem miłością", „Challengers"). Ostatecznie „Strzępy" zamieniły się w serial sieci Fox, dwa z odcinków wyreżyserował Ryan

eprasa.pl 14333fb3fb



„Strzępy” to opowieść o gwałtownie traconych złudzeniach, o bolesnym dojrzewaniu, o stracie, o rozsypywaniu się świata, który zdawał się doskonały

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Murphy, a Ellis zrezygnował z pomysłu, by samemu stanąć za kamerą.

Rzecz dzieje się w wiecznie słonecznej Kalifornii, a fabuła rozpoczyna się od letniego seansu filmowego w Westwood. Siedemnastoletni Bret (gra go Igby Rigney) wybiera się do kina, by obejrzeć „Lśnienie” Stanleya Kubricka. Są wakacje, jest wolność, jest beztroska, a Bret jest jednym z tych, którzy mają u stóp cały świat. Jest częścią bogatej społeczności Los Angeles – jego dziewczyna, Debbie, ma konia wartego 1 mln dol., jego rówieśnicy imprezują nocami przy stołach pełnych kokainy, a każde wydarzenie z życia prywatnego jest pretekstem do wyprawienia przyjęcia w jednej z luksusowych restauracji lub w jednym z najdroższych hoteli.

Znamy ten świat, Ellis opisywał go już w debiutanckiej, napisanej jeszcze na studiach powieści „Less Than Zero” i niejednokrotnie do niego powracał w późniejszych utworach. To jego świat – wychowywał się w bogatej rodzinie kalifornijskich deweloperów, uczył się w Buckley School, gdzie otaczali go bogaci (czasem obrzydliwie bogaci) potomkowie hollywoodzkiej i kalifornijskiej śmietanki towarzyskiej. Podobnie jak w świecie otaczającym Jaya Gatsby’ego jedynym miernikiem sukcesu były tu pieniądze, potem wpływy, a także uroda. Jednak najbardziej pieniądze.

„Byliśmy nastoletni, powierzchownie ekstrawaganccy, ale wciąż były z nas dzieci, które nie wiedziały, jak naprawdę działa świat” – pisze Ellis w powieści. „Mieliśmy już jakieś doświadczenia, ale moim zdaniem nie potrafiliśmy ich zrozumieć. Przynajmniej do momentu, kiedy wydarzyły się rzeczy, które wrzuciły nas w stan dojmującego poznania”. Na przyjęciach u Jaya Gatsby’ego bawili się ludzie, którzy wiedzieli już, jak działa świat, i chcieli o tym zapomnieć (on sam zaś chciał wskrzesić przeszłość). Na imprezach dzieciaków w „Strzępach” bawią się ci, którzy jeszcze nie wiedzą, jak bardzo dorosłe życie może być próbą o charakterze niszczącym.

Ellis napisał tę książkę w stylu dobrze znanym z jego poprzednich książek, tworząc kolaż z tego, co się wydarzyło lub mogło wydarzyć, i wklejając w to postacie i wypadki całkowicie fikcyjne. Inkrustuje to bogato świecidełkami popkultury, obsypuje pyłem nostalgii. Wplata, gdzie tylko może, konkrety: nazwy marek samochodów, płatków śniadaniowych, tytuły popularnych piosenek. Bret jest fanem Stephena Kinga i to lektura jego powieści (zwłaszcza „Lśnienia”) popycha go ku pisarstwu. King też odkrył, że kluczem do prawdziwego horroru jest osadzenie go w realiach nam dobrze znanych i precyzyjnie, z okiem do najdrobniejszych szczegółów opisanych. Ale w książkach Ellisa zamiłowanie do detalu przekracza granice zwykłego powieściowego realizmu – to fetyszyzm, obsesja, pamiętamy to z najgłośniejszego dzieła Ellisa, czyli „American Psycho”. Przedmioty, marki, gadżety nie tylko są sygnałami „oto jaki świat nas otacza”, lecz także definiują bohatera, wrastają w niego, stają się jego nieodłączną częścią.

Zatem zarówno Bret, jak i inni bohaterowie „Strzępów” pracowicie wyliczają produkty, z których korzystają, opisują dokładnie swoje codzienne czynności, tak jakby były to zabiegi konserwacyjne przeprowadzane na drogocennych maszynach. Tymi maszynami są oni sami, najważniejszą rzeczą zaś w maszynie musi być jej perfekcja i niezawodność. Dostajemy więc kult ciała, kult sprawności, kult urody. Alkoholowe i narkotyczne wybryki stają się czymś w rodzaju przeprowadzanych z zainteresowaniem crash testów, które wykazać mają, jak maszyna działa w sytuacjach ekstremalnych. Seks jest kolejną dyscypliną, podczas której uprawiania można porównać fabryczne ustawienia maszyny i jej najnowsze osiągi.

To jest utopia ruchu „róbta, co chceta”. Dla biednych taka filozofia życia to prędzej czy później (zwykle prędzej) piwo kupowane za pośrednictwem bezdomnego, który ma tę przewagę, że już może alkohol kupić legalnie; to kiepskiej jakości pichcona w szopach za miastem metaamfetamina; to wreszcie niechciane ciąże, zasiłki, przedwczesne małżeństwa i równie przedwczesne rozwody. Bogaci – jak ci, którzy otaczają Breta w „Strzępach” – uprawiają hedonizm w wersji luksusowej

W „Strzępach” splatają się jednak dwie linie fabularne, co skłoniło zresztą niektórych recenzentów do postawienia tezy, że są to dwie osobne książki zszyte w jedną całość. O jednej już wspomniałem: to dzieje Breta i jego relacji z przyjaciółmi, to jego odkrywanie dorosłości, to jego relacja z własną seksualnością (seks uprawia z dziewczętami i z chłopakami, ale woli tych drugich). To wreszcie marzenie o byciu pisarzem.

Druga linia fabularna to dzieje seryjnego mordercy znanego jako Trawler. Podczas gdy nastoletni bohaterowie „Strzępów” oddają się rozmaitym uciechom, po Los Angeles krąży ludzka bestia. Jej ofiary

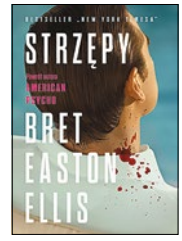

★★★★★★

BRET EASTON ELLIS „STRZĘPY” ZNAK 2024



★★★★★★

RYAN MURPHY, BRET EASTON ELLIS „STRZĘPY” („THE SHARDS”) USA 2026

Disney+

eprasa.pl 14333fb3fb



Akcja rozgrywa się w latach 80. XX w. wśród uprzywilejowanych nastolatków w Kalifornii FOT. MATERIAŁY PRASOWE

są nękane dziwnymi telefonami, poddawane innym formom psychicznej opresji, wreszcie mordowane w sposób okrutny i wymyślny. Całości dopełnia charakterystyczny dla tego typu zbrodni wyrafinowany sposób aranżowania miejsca zbrodni już po fakcie. Serialowy Bret mówi nam w pewnym momencie, że lata 80. to złota era seryjnych morderców, i wymienia najgłośniejsze nazwiska.

Jego zdaniem właśnie z powodu tego zagrożenia dzieciaki w tamtych czasach miały o wiele gorzej niż teraz. Widzę w tym wyrafinowany żart wytrawnego pisarza. Przecież kilka lat temu w książce non-fiction „Biały” narzekał na to, jak dziś rozmaite fobie (przed nieznajomymi, przed pedofilami itd.) zamieniają życie dzieciaków w więzienie. I wychwalał stare, dobre czasy, gdy dzieci i nastolatkowie mogli się włóczyć, gdzie chcieli i jak długo chcieli, korzystając z uroków wolności. Ale znów wracamy do kwestii zasygnalizowanej na początku – tyleż w „Strzępach” autobiografii, ile metafikcji i nigdy nie wiemy, którą mądrość serwuje nam fikcyjny Bret nastoletni, fikcyjny Bret dorosły wspominający młodość czy wprost autor powieści o Brecie.

Sposób, w jaki Ellis splata te dwa wątki, jest kluczowy zarówno dla losów głównego bohatera, jak i dla wymowy powieści. W szkole Breta pojawia się nowy uczeń, niejaki Robert Mallory (gra go Homer Gere, syn Richarda Gere’a). Robert jest postacią mocno tajemniczą, ale zarazem fascynującą: przystojny, charyzmatyczny, piękny jak młody bóg. Wszyscy chcą Roberta – dziewczęta i chłopcy. Bret pozostaje jednak głęboko nieufny. Dlaczego? Tu wracamy do sceny otwierającej serial. Otóż widział kilka miesięcy wcześniej Roberta na sali kinowej w Westwood, podczas seansu „Lśnienia”. Trudno było go nie zauważyć, gdyż jego uroda była uderzająca. Tymczasem Robert twierdzi, że to niemożliwe, bo był w tym czasie zupełnie gdzie indziej i robił coś zupełnie innego. Tymczasem ofiary Trawlera sypią się gęsto, a tragedie zaczynają dotykać bezpośrednio kręgu dzieciaków z elitarnej szkoły. Bret dochodzi do wniosku, że to właśnie Robert Mallory jest nieuchwytnym mordercą – Trawlerem. Nikt nie chce mu uwierzyć. Oczywiście dojdzie wreszcie do konfrontacji, która wiele wyjaśni, choć pewne kwestie pozostaną w zawieszeniu.

ŚWIAT „RÓBTA, CO CHCETA”

Wypada jeszcze wspomnieć, jak cała ta historia jest pokazywana na małym ekranie przez Ryana Murphy’ego, który jest nie tylko ważną figurą w Hollywood, lecz także zdeklarowanym gejem i głośnym aktywistą. Tak jak Ellis oddaje się fetyszyzmowi szczegółów – i odwzorowane jest to w serialu – tak Murphy nieustannie fetyszyzuje na ekranie męskie ciało. Kamera pieści umięśnionych, perfekcyjnie pięknych aktorów – chwilami ma to wręcz wymiar quasipornograficzny. Wątek przemysłu porno też zresztą się tu pojawia, wprowadzony z charakterystycznym dla Ellisa czarnym, prowokacyjnym humorem: jeden z chłopców pochodzi z rodziny, która utraciła wszystko, bo ojciec, producent filmowy, zainwestował we „Wrota niebios” Michaela Cimino, młody Ryan postanawia więc spieniężyć swoje ciało w branży XXX. Dla widza hetero część z tych scen to nużące estetyczne ćwiczenie i obrazki ze świata, do którego wcale nie mamy ochoty zaglądać. Ale taki po prostu jest Ryan Murphy, mistrz kiczu, miłośnik przestylizowanych obrazów i młodych męskich ciał.

Ku czemu to wszystko prowadzi? „Strzępy” to opowieść o gwałtownie traconych złudzeniach, o bardzo bolesnym dojrzewaniu, o stracie, o rozsypywaniu się świata, który zdawał się doskonały i miał trwać wiecznie, lecz błyskawicznie się rozpadł. Nie widzę w połączeniu wątków obyczajowych oraz wątku seryjnego mordercy działania na siłę. Ellis moim zdaniem używa figury seryjnego mordercy jako symbolu tego wszystkiego, z czym u progu dorosłości się spotykamy i co nieodwracalnie niszczy nasze dziecięce, naiwne wyobrażenie o rzeczywistości. Świat jest seryjnym mordercą, można powiedzieć: zabijającym nasze marzenia, złudzenia, plany. Innym symbolem zła jest wpływowy producent filmowy Terry, zdobywca dwóch Oscarów, ojciec dziewczyny imieniem Debbie, z którą Bret romansuje, by ukryć swoje homoseksualne inklinacje. Pozujący na mentora Terry okazuje się po prostu seksualnym drapieżnikiem, wykorzystującym swoją uprzywilejowaną pozycję, i Bret padnie jego ofiarą.

Jako że Bret pozostaje niewiarygodnym narratorem, często pod wpływem rozmaitych substancji, nigdy do końca jasne nie będzie, co wydarzyło się między nim a jego przyjaciółmi (choć sprawa podejrzeń wobec Mallory’ego i sekret morderstw zostaną wyjaśnione). Tym, co jednak jest w pełni jasne, okaże się przesłanie całej opowieści. Czcimy niewłaściwych bogów, nie tylko złotego cielca. Absolutyzujemy i fetyszyzujemy ciało, zapominając o duszy. Jesteśmy zniewoleni przez produkty i sami stajemy się produktem, przedmiotem. Świat „róbta, co chceta” jest barwnym koszmarem; długie wyliczanki nie są metodą opisu skomplikowanego świata wokół, lecz listą symptomów choroby. Skoro już wtedy, niemal pół wieku temu, świat był tak bardzo chory, to jaki musi być teraz? Bret Easton Ellis opisuje ten świat w znakomitej powieści „Strzępy” w sposób perfekcyjny. Ryan Murphy pokazuje w sposób zanadto epatujący szokiem i krwią w serialu zbyt długim, niezłym, ale nie wybitnym.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 14333fb3fb

Sezon na „Titanicu”



FOT. ADOBE STOCK



Grzegorz Kondrasiuk

Końcówka wakacji stała się czasem wzmożenia emocji i spekulacji politycznych. Co prawda, do kolejnych, regularnych wyborów mamy jeszcze ponad rok, ale pojawiają się prognozy ich przyspieszenia. Tuż przed startem kolejnego sezonu teatralnego – tradycyjnie liczonego od wakacji do wakacji – należy więc się zastanowić, co nas może w tej dziedzinie czekać. Co stanie się z teatrem i – szerzej – kulturą, jeśli dojdzie do zmiany władzy i „konserwatywnej” rekonkwisty?

Zacznijmy od krótkiego spojrzenia na stan obecny. Stopniowo sektor kultury się kurczy, traci na znaczeniu i społecznej widoczności. Do tego próby jego reformowania, np. przez sensowniejszą dystrybucję publicznego pieniądza (na którym opiera się jego jestestwo), nieodmiennie ponoszą klęskę. Coraz trudniej jest przeprowadzić jakiekolwiek zmiany, o czym dobitnie świadczą losy projektu ustawy o zabezpieczeniu socjalnym artystów (w wersji niedoprowadzonej do końca przez poprzedni rząd – o statusie artysty zawodowego). Obecnie projekt jest „na etapie prac sejmowych”, jak to się elegancko określa, ale nikłe są nadzieje na doprowadzenie sprawy do końca. Warto też przypomnieć, że środowisko kultury potrafiło się przy niej zjednoczyć, niezależnie od przekonań. Ale to pieśń dalekiej przeszłości, bo niebawem minie 10. rocznica od pierwszych postulatów. Obecnie mamy wizerunkową katastrofę, którą był sposób zaprezentowania projektu przez MKiDN, i lobbystyczne zapisy, które się w nim pojawiły.

Do tego wszystkiego dochodzą zmiany globalne. Niedawno przeprowadzone przez socjologów badania uczestnictwa w kulturze („Aktywni i nieobecni”) świadczą o tym, że „Polki i Polacy niezwykle intensywnie uczestniczą w kulturze, ale często obywają się bez pośrednictwa instytucji kultury. Jest to możliwe dzięki głębokiemu zanurzeniu w usieciowionym i zmedializowanym doświadczeniu, najczęściej o wysoce skomercjalizowanym charakterze”. Dla młodych, zetek i igreków, szczególnie poza metropoliami, sztuka współczesna pokazywana w publicznych instytucjach to obcy język, zaszyfrowany nieznanym ich kodem. Internet, w którym są zanurzeni, jego nowe, szybkie i lekkie gatunki nie potrzebują instytucji, a sztuka w nich tworzona próbuje, dość nieudolnie, się do nich upodabniać. Wielkie sale i galerie stopniowo zmieniają się w pustawe kościoły bez wiernych, a wierni wybierają formaty cyfrowe. Centra dowodzenia ekonomią uwagi są gdzie indziej, w wielkich medialnych korporacjach generujących algorytmy platform społecznościowych i medialnych.

Pora zatem zapytać: Co w niedalekiej przyszłości wydarzy się na tym naszym „Titanicu”? W teatrze ten nadchodzący sezon może się okazać ostatnim lub jednym z ostatnich, przynajmniej jeśli chodzi o dotychczasowe reguły, według których funkcjonuje to niszowe uniwersum w obrębie nieco szerszego, ale równie niszowego świata kultury. Teatr publiczny, ten chcący uchodzić za krytyczny, a będący w istocie diasporycznym, podającym lekkostrawną papkę dla myślących tak samo jak artyści, będzie podlegał dalszej marginalizacji, a mówiąc kolokwialnie: zakręcaniu kurka z kasą. Niezależnie od przebiegu zdarzeń, np. od tego, czy resort przypadnie jednej z koalicyjnych partii czy zostanie podzielony między koalicjantów (tak jak to się stało w rządzie Donalda Tuska), o publicznie dotowaną kulturę (i teatr) nikt się już bić nie będzie. Silny ośrodek wokół prezydenta uruchomi swoje inicjatywy, cały sektor w stanie postępującej degrengolady pozostawiając samemu sobie. Ludziom teatru pozostanie jedno, zresztą było to już testowane: okopać się w samorządowych instytucjach, nie zmieniać się, nie wyciągać żadnych wniosków, krzyczeć, że „nas biją”, i udowadniać swoje męczeństwo. Ale czy to wystarczy?

Coraz trudniej będzie wytłumaczyć politykom i samorządowcom – wsłuchującym się w głos wyborców – komu i czy w ogóle jest potrzebna publicznie dotowana kultura. Wiadomo, że najbardziej potrzebują jej sami artyści, a także politycy, celebryci, którzy z kultury czerpią korzyści wizerunkowe, marketingowe. Potrzebuje jej też biznes, np. deweloperzy, aby zmieniać nieciekawe, złe dzielnice w miejsca kultowe. Ale czy jest potrzebna szerszemu ogółowi? Moim zdaniem tak, ale wygląda na to, że dziś jestem w mniejszości. Co powiedzieć widzom Kanału Zero albo autorom setek i tysięcy wpisów w mediach społecznościowych, którzy (nie bez powodu) uwierzyli, że statystyczny artysta ma twarz Jasia Kapeli, a nie zarabiającego minimalną krajową skrzypka z Filharmonii czy lokalnego animatora pracującego na umowę śmieciową w miejscu, w którym nikt pracować nie chce? Choć żadna z sondażowni nie przeprowadziła ostatnio badań na temat dopłat do emerytur dla artystów czy w ogóle publicznych dotacji, to można się domyślić ich wyniku.

A co w teatrach w nadchodzącym sezonie? Na przykład Narodowy Stary Teatr zapowiada adaptację „Sąsiadów” Jana Tomasza Grossa. Ciekawe, czy zobaczymy w którymś z publicznych teatrów musical o aborcji według stypendialnego libretta Jasia Kapeli. ©℗

eprasa.pl 14333fb3fb



FOT. KRZYSZTOF WELLMAN/AFA PIXX/PAP



PIOTR GOCIEK

POŻEGNANIE

Jan Frycz (1954–2026)

Było to powitanie podwójne: tak naprawdę zwróciłem uwagę na talent Jana Frycza po dwóch spektaklach Teatru Telewizji; w 1985 r. zagrał Hamleta u Jana Englerta, później w „Ferdydurke" w reżyserii Macieja Wojtyszki. Szczególnie o tym ostatnim przedstawieniu dyskutowano długo i gorąco. Był to czas, kiedy Gombrowicza odmrożono w PRL, i oto oglądaliśmy wreszcie zakazany owoc, a Frycz jako Syfon był wspaniały.

Zdarzyło mi się potem widzieć Frycza na żywo, na scenie, i było to doświadczenie niezwykłe: „Kordian", „Amadeusz". Mieliśmy w drugiej połowie XX w. szczęście do wybitnych aktorów, ale szeroka publiczność oklaskująca ich za role w serialach i filmach kinowych często nie miała pojęcia, jakimi żywiołami są na teatralnych deskach. Był taki Łomnicki, był Zapasiewicz, a Frycz wcale od nich nie odstawał. Trzeźwo patrzył na blaski i cienie zawodu aktora. „Powiedziałbym nawet, że w tym zawodzie pasma klęsk budują człowieka bardziej niż sukcesy" – powiedział kiedyś w wywiadzie Jackowi Wakarowi.

W teatrze był jednym z ulubionych aktorów Mikołaja Grabowskiego, a w kinie fenomenalna okazała się jego współpraca z Mariuszem Trelińskim. Niewiele pamiętam z niezbyt udanego filmu „Egoiści", ale kreacja Frycza pozostaje wybitna. „Pożegnanie jesieni" to z kolei jeden z najlepszych zapomnianych polskich filmów okresu III RP.

Dla młodszej publiczności Frycz to przede wszystkim Dario z serialu „Ślepnąc od świateł" – lepszego niż książka Żulczyka, na podstawie której powstał. Frycz jest tu przedstawicielem zła wcielonego: jest przerażający w sposób prawdziwy, nie ma tu żadnej gloryfikacji postaci gangstera, nie ma bajek o szlachetnym bandziorze. Oto facet, który skręciłby ci kark między jednym kęsem kolacji a drugim i nawet nie spojrzałby potem na leżące obok stołu zwłoki.

„W szkole byłem złym uczniem – opowiadał w 1995 r. na łamach »Przekroju« – wagarowałem, ale zawsze przyświecał mi konkretny cel, np. zdokumentowałem sobie wszystkie kaplice w Katedrze Wawelskiej". Syn inżyniera górnictwa, w którego domu mówiło się o węglu i matematyce, przeniósł się dzięki aktorstwu do innego świata, gdzie grał najważniejsze postacie z teatralnej klasyki – od Irydiona po Hamleta, od Kordiana po Cyda. Zmarł 15 sierpnia 2026 r. ©℗

GRA TYGODNIA: „THE SINKING CITY 2"

★★★★★★

Alternatywna rzeczywistość, Stany Zjednoczone, lata 20. XX w. Po powodzi, która nawiedziła okolicę, pozostały istoty z głębin... Jeśli ktoś grał w część pierwszą i po kontynuacji spodziewa się gry detektywistycznej, to powinien wiedzieć, że nastąpiła tu spora zmiana i „The Sinking City 2" to raczej survival horror. Z tą zmianą uleciał też klimat znany z jedynki. Skoro jesteśmy przy minusach – to polska wersja jest, ale niepozbawiona błędów.



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Na plus ciekawe zagadki, satysfakcjonująca walka, ładna oprawa. ©℗ ***Radosław Wojtas***

- ***Gatunek:*** *survival horror, TPP*
- ***Platforma:*** *PS5, XSX, PC*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Frogwares*

eprasa.pl 14333fb3fb

Zabawa w masakrę

KINO



★★☆☆☆☆

REŻ. ELI ROTH
„ICE CREAM MAN"
USA 2026

wyst. Charlie Zeltzer, Sarah Abbott, Ari Millen

Czy dzieci po cichu marzą o wymordowaniu dorosłych, ze szczególnym uwzględnieniem nauczycieli? Jeśli nie wykluczasz takiej możliwości, to gnaj czym prędzej do kina. Szanse, że najnowszy film Eliego Rotha utrzyma się na ekranach długo, są bowiem mizerne. I pomyśleć, że ten człowiek kiedyś się dobrze zapowiadał. Jako aktor – po występie w „Bękartach wojny" – ma zapewnione miejsce w historii. Jako reżyser – wyżej od „Hostelu" – wznieść się nie potrafi. Kolaboracja ze sztuczną inteligencją zepsuła mu gust do reszty. Jeśli „Ice Cream Man" ma kilka udanych scen (choćby przedostatnią), to dlatego, że scenarzyści kradną pomysły, skąd się da. Krytyk pięknoduch zapewne posądziłby ich o zauroczenie klasyką horroru – od „Inwazji porywaczy ciał" po „Wioskę przeklętych". Obawiam się jednak, że źródłem inspiracji były raczej mnożące się w ostatnich dekadach jak króliki produkcje o zombiakach i sadystycznych mordercach.

Data premiery nie jest przypadkowa. Letnie upały zwiększają tolerancję ludzkiego organizmu na powtórki. Milusińscy czekający z utęsknieniem na wakacje? Małomiasteczkowa idylla zburzona przez enigmatycznego przybysza? Uśmiechnięta twarz zła? Efekty specjalne, skłaniające do wymiotów? Zagraj to jeszcze raz, Eli!

Dietetycy od dawna ostrzegają: lody szkodzą, zwłaszcza dzieciakom. Szkolne masakry zdarzają się coraz częściej. Ameryka przoduje, uczciwość każe wszak przyznać, że Grand Guignol to wynalazek francuski. „Ice Cream Man" nie jest całkiem wyzuty z ambicji. Roth chciał stworzyć syntezę slashera z moralnie dwuznacznym kinem zemsty. Nie udało się, m.in. z powodu braku wyczucia. Sceny z założenia straszne – śmieszą, dowcipy skutkują wzruszeniem ramion lub wręcz zażenowaniem. Bohaterowie w desperacji szukają schronienia w chrześcijańskiej świątyni. Sęk w tym, że dla scenarzystów religia jest pustym słowem, a Kościół – instytucją pozbawioną autorytetu i zinfiltrowaną przez diabła.

Mecze, w których gra się tylko do jednej bramki, są nudne. Dla 54-letniego Rotha nie ma ratunku. Kręci już kolejny horror pod wszystko mówiącym tytułem: „Don't Go in That House, Bitch!". Główną rolę gra raper Snoop Dogg. Ratuj się, kto może! ©℗

Wiesław Chełminiak

POLSKI PACJENT

Nowojorski ochroniarz Olszewski ma wszelkie powody, by czuć się przegrywem. Do czasu, gdy pozna lekarkę, której mąż zdradza objawy demencji (dziewczyny, dla własnego dobra ignorujcie matrymonialne propozycje od facetów w wieku podeszłym!). Cynthia i Stan są astrologicznymi bliźniakami. Dzieli ich klasowa przepaść, łączą – inteligencja, poczucie humoru tudzież wiara, że „wszyscy jesteśmy tylko ludźmi". Suchary o Polaczkach całkiem się ich nie imają. Czyżby istniało życie po Woodym Allenie, a ekwiwalentem zgryźliwych dialogów mogły być czułe, choć tak samo kompulsywne SMS-y? Niestety, z upływem czasu przebłyski szczerości ustępują miejsca powielanym od dekad schematom. Para Sedgwick-Bacon wychodzi z tego obronną ręką, podobnie jak w życiu prywatnym. Trzydzieści osiem lat małżeństwa, szósty wspólny film. Szapoklaki z głów! ©℗



HBO max

★★★☆☆☆

REŻ. MICHAEL J. WEITHORN
„NAJLEPIEJ, JAK POTRAFISZ" („BEST AS YOU CAN")
USA 2025

wyst. Kyra Sedgwick, Kevin Bacon, Judd Hirsch



RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Piękno matematyki

Na wystawie w szczecińskim muzeum prezentowane są prace finalistów Międzynarodowego Konkursu Fotograficznego „Matematyka w obiektywie", projektu realizowanego przez Uniwersytet Szczeciński we współpracy z Akademią Pedagogiki Specjalnej im. Marii Grzegorzewskiej w Warszawie.

„Pomysłodawczynią projektu jest prof. Małgorzata Makiewicz, która stworzyła koncepcję fotoedukacji matematycznej – metody łączącej edukację matematyczną z twórczą interpretacją obrazu. Dzięki niej fotografia staje się narzędziem odkrywania i rozumienia świata" – czytamy.

Zgromadzone fotografie dokumentują, że matematyka wykracza poza podręcznikowe schematy i jest stale obecna w otoczeniu – w naturze, architekturze oraz codziennych doświadczeniach.



FOT. MUZEUM NARODOWE W SZCZECINIE

Autorzy prac skłaniają widzów do spojrzenia na rzeczywistość przez pryzmat podstawowych prawideł: geometrii, symetrii, rytmu i proporcji. ©℗

GDZIE? ***Muzeum Narodowe w Szczecinie***
KIEDY? ***do 18 września***

eprasa.pl 14333fb3fb



KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Poeta czasu zgasłego

Powszechna wiedza o Jerzym Kamilu Weintraubie (1916–1943) i znajomość jego poezji jest znikoma. Tym bardziej na uwagę zasługuje edycja jego „Wierszy zebranych", obejmująca również liczne przekłady poetyckie autora, tłumaczącego m.in. Rilkego, Trakla i Heinego, Borysa Pasternaka i Maksyma Tanka, jak również Shakespeare'a. Ale najważniejsza jest twórczość oryginalna tego poety, zdumiewająco bogata.

Żałuję, że nie wykorzystano okazji, by w tomie zamieścić nie tylko encyklopedyczną notkę o autorze, lecz także porządny szkic biograficzny, ukazujący liczne zawiłości jego życiorysu. Poeta urodził się w Piotrogrodzie, wychował w Danii, jego żydowscy rodzice zmienili nazwisko na Krzyżanowscy, on z kolei ożenił się ze starszą o 11 lat, pochodzącą z zamożnej rodziny żydowskiej Eugenią (Jadwigą) Lewinówną, rodzoną siostrą przyszłej żony Aleksandra Wata. A ślub kościelny wzięli w 1939 r., już w zajętej przez Niemców Warszawie.

W jednym z wczesnych wierszy, „Rozmowie z Georgiem Traklem", Jerzy Kamil Weintraub pisał:

To dziwne, żem taki młody, a często
patrzę za siebie.
Ludzie o jasnych oczach i o wyraźnych
twarzach
mówią, że trzeba żyć i patrzeć prościej –
– i odnalazłem siebie w jesiennym
smutnym drzewie:
Ja też rozkwitłem buntem, a więdnę
samotnością.
To się zdarza.

W latach 1940–1941 przyjaźnił się Weintraub z Krzysztofem Kamilem Baczyńskim. Nie tylko wydawali – w nakładach absolutnie bibliofilskich, od trzech do siedmiu egzemplarzy – swoje tomiki poetyckie w prowadzonej wspólnie Bibliotece Sublokatorów Przyszłości, lecz także zdarzało im się pisać wiersze niejako na cztery ręce, na przemian kolejne strofy. Po wojnie doszło nawet na tym tle do nieporozumień wydawniczych, gdyż niektóre utwory tego rodzaju zostały zapisane na wyłączne konto autora „Dwóch miłości". W wydanych teraz „Wierszach zebranych" przy dwóch utworach z 1941 r. znajdziemy adnotację: „Razem z Krzysztofem Baczyńskim". Są to „Gawot" i „Widzenie przedpotopowe". Oto ten drugi:

Jesień to gwiazdy lecące z drzew;
liście jak węże syczą.
Przewożą arki na drugi brzeg
głowy obciętych księżyców.
Ciągną kondukty przez zgasły czas
spróchniałe ichtiozaury.
Jak wieko spada nieba trzask
na biały wzrok umarłych.
A on, do stołu przykuty snem
kamiennym jak klosz urny,
widzi lodowce porosłe mchem
i myśli, że to trumny.

Nieczęsto natomiast odnosił się poeta wprost do tragedii, która dotknęła Polskę. Uczynił to np. w styczniu 1940 r. w poemacie „Śpiew pod łuną" kończącym się taką strofą:

A teraz, ojczyzno moja, twa jesień krwawi
jak rana,
twe nieba, drzewa i domy spalone pod
deszczem mokną.
I gaśniesz, jesieni krwawa, żołdackim
butem zdeptana,
I tli się głęboko w mym sercu twoja i moja
samotność.

W swoim „Pamiętniku" (w całości dotąd nieopublikowanym) w ostatnim dniu sierpnia 1943 r. zapisał: „Że też ta wojna nikogo niczego nie nauczyła. Ta tak zwana rzeczywistość polska mnie mierzi. Wciąż to samo pobrzękiwanie szabelką – i im większy strach, tym większe pobrzękiwanie". Dziesięć dni później zmarł w warszawskiej klinice Omega. Przyczyną śmierci było zakażenie krwi spowodowane zacięciem się przy goleniu. Wydaje się to niewiarygodne, ale w czasie okupacji hitlerowskiej nie każdy ginął rozstrzelany przez Niemców. Niektórzy umierali w sposób naturalny, co nie znaczy, że śmierć ukrywającego się przed szmalcownikami, cierpiącego na depresję poety da się wyjaśnić jednym zdaniem.

Jego wiersze – jak pisze Maciej Libich – „są dowodem niezwykłej poetyckiej wyobraźni, świadectwem niekłamanego zachwytu nad światem, a także zapisem nadchodzącego końca epoki. Zarazem nie sposób pozbyć się przeświadczenia, że Weintraub dopiero przymierza się do skoku na głęboką wodę. Przedwczesna śmierć odebrała mu tę szansę, nam zaś odebrała poetę, którego jednym tchem wymienialibyśmy obok Krzysztofa Kamila Baczyńskiego i Tadeusza Gajcego". Niewykluczone, co nie znaczy, że właśnie tak by było. Zmroziło mnie kilka wierszy tego autora spisanych w poetyce biorącej się z młodzieńczych, lewicowych przekonań Weintrauba. 13 lutego 1941 r. wzywał:

... weź pędzel, kubeł, farby. Niech
czerwień jak krew żywa
do murów przylgnie ustami gorącemi.
Niech farbą świeżą śpiew nad spiekłą
ziemią spływa:
„Wyklęty powstań, ludu ziemi!...".
I w tym samym dniu popełnił nostalgiczny „Leningrad":
akżem blisko – wspomnieniem.
Październik
lśniącym sierpem liście drzew podcina.
Miasto chwały wiedzie, jak sternik
mauzoleum kamienne Lenina.
Kołysała kołyska Newy
me dzieciństwo jak falę zmarszczoną.
Ostrzej dymią zdobywców śpiewy.
Mocniej serca w młodych piersiach
płoną. ©℗



★★★★★★

JERZY KAMIL WEINTRAUB „WIERSZE ZEBRANE" PIW, WARSZAWA 2026

eprasa.pl 14333fb3fb



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Kung-fu po polsku

Nawet nie pamiętałem, że tak szybko to poszło. Latem roku 1982 do kin PRL trafił film „Wejście smoka" i Bruce Lee stał się idolem milionów, nie tylko młodych widzów. Już rok później egzotyczne dalekowschodnie sztuki walki były już na tyle oczywistym elementem kultury masowej, że Piotr Fronczewski jako Franek Kimono kpił w piosence słowami: „Ciosy karate ćwiczyłem z bratem. Ja jestem King Bruce Lee Karate Mistrz!".

Marcin Kowalczyk w swojej książce sięga głębiej, pokazuje, jak początkowo ustrój komunistyczny dopisał judo do listy umiejętności czyniących z milicjantów PRL-owskich superbohaterów. A także jak później dalekowschodnie sztuki walki zaczęły być obecne w polskim kinie, komiksie, literaturze. Zatem z jednej strony „Kapitan Żbik", „Pilot śmigłowca", pojedyncze historie w magazynie „Relax", a z drugiej – tytuły dziś zapomniane i nieoczywiste. W filmie Barbary Sass „Bez miłości" (1980) główna bohaterka jest nie tylko dziennikarką, lecz także judoczką. We wcześniejszym filmie Mieczysława Waśkowskiego „Nie zaznasz spokoju" (1977) Tolek Maliniak, ksywa Bicz, sieje postrach po wyjściu z więzienia, bo ćwiczył karate. Ale z kolei inspirację filozofią kung-fu jako metaforę życia w PRL bierze na warsztat Janusz Kijowski w filmie o właśnie takim tytule („Kung-Fu", 1979).

Ważne są w tej książce konteksty społeczne, ale i polityczne. Popularność „Wejścia smoka", a potem „Klasztoru Shaolin" przekłada się na rosnące zainteresowanie nie tylko treningiem sztuk walki, lecz także buddyzmem i – szerzej – filozofią oraz religiami Wschodu. Natomiast agent Lee, czyli Bruce Lee w „Wejściu smoka", staje się kimś więcej niż mistrzem kung-fu – jest symbolem wszystkich uciśnionych świata. Taki bohater rezonuje w głowach widzów dużo mocniej i w inny sposób, niż oczekiwała władza ludowa, przekonana, że sprzedaje Polakom jedynie eskapizm, który miał odciągnąć uwagę od grozy stanu wojennego.

Praca Marcina Kowalczyka otwiera bardzo ciekawe pole badań, które wypadałoby dalej zgłębiać: Jak dalekowschodnie inspiracje wpłynęły na kształt polskiej fantastyki w latach 80.? Dlaczego postać samuraja (pamiętam entuzjazm wywołany serialami „Shogun" oraz „Musashi") nigdy nie wywołała tak wielkich emocji jak ekranowe alter ego Bruce'a Lee? Jeśli tylko pojawią się podobne opracowania, to z chęcią je przeczytam. ©℗

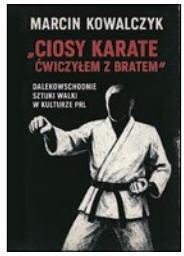

★★★★★★

MARCIN KOWALCZYK
„CIOSY KARATE ĆWICZYŁEM Z BRATEM"
WYD. UKW 2025

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Dwudziesta czwarta powieść o detektywie Harrym Boschu jest piątym tomem przygód Renée Ballard. Ta ostatnia kieruje wydziałem do spraw niewyjaśnionych spraw, Bosch powraca, by zamknąć sprawę mordu na rodzinie Gallagherów.

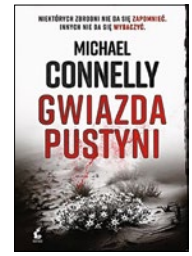

MICHAEL CONNELLY „GWIAZDA PUSTYNI"
SONIA DRAGA

Swoją podróż przez dzieło Cervantesa francuski krytyk obudowuje interpretacjami, które zdają się czasem nazbyt współczesne i naciągane do mód ideologicznych. Ale jest tu także wielka miłość do genialnej powieści.



WILLIAM MARX „LATO Z DON KICHOTEM"
NOIR SUR BLANC

Powieść klasyka SF napisana w najlepszym okresie jego twórczości, między „Obcym w obcym kraju" a „Luna to surowa pani". Brawurowe połączenie SF i fantasy, lżejsza w tonie i z przymrużeniem oka. Na wakacje w sam raz.

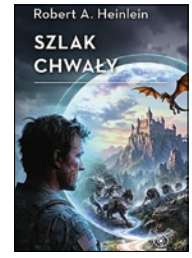

ROBERT A. HEINLEIN „SZLAK CHWAŁY"
REBIS

Niezbędnik dla wszystkich, którzy niewiele rozumieją z serialu „Ród Smoka", czyli wykład z historii wojny o sukcesję Targaryenów znanej jako Taniec Smoków. Niby tylko dla fanów, a i tak ciekawsze niż wysiłki scenarzystów.

recenzuje Piotr Gociek

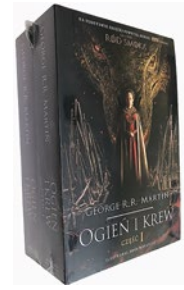

GEORGE R.R. MARTIN „OGIEŃ I KREW", T. 1 I 2
ZYSK I S-KA

KOMIKS TYGODNIA:
PORTUGALSKI KANON

Komiks na podstawie jednej z dziewięciu nowel składających się na cykl „Novelas do Minho" autorstwa Camila Castelo Branca, XIX-wiecznego klasyka literatury portugalskiej. Jeden z tytułów wydanych w arcyciekawej serii komiksowych adaptacji portugalskiego kanonu – ukazały się już m.in. adaptacje „Zbrodni ojca Amaro" i „Farsy o Ines Pereirze". Wkrótce „Luzyada".

Piotr Gociek



CARINA CORREIA, JOANA AFONSO „MARIA MOJŻESZOWA"
TIMOF I CISI WSPÓLNICY 2026

eprasa.pl 14333fb3fb

Imperium trójmorskie



Adam Wielomski

Trójmorze to niezwykle popularny projekt polityczny na ul. Nowogrodzkiej w Warszawie, czyli w PiS. Jego politycznym aspektem nie jest zainteresowany ani Tusk, ani prawie nikt w państwach, których miałby dotyczyć, a mający nad nim roztoczyć protekcję Amerykanie popierają go, licząc na zysk bez zobowiązań

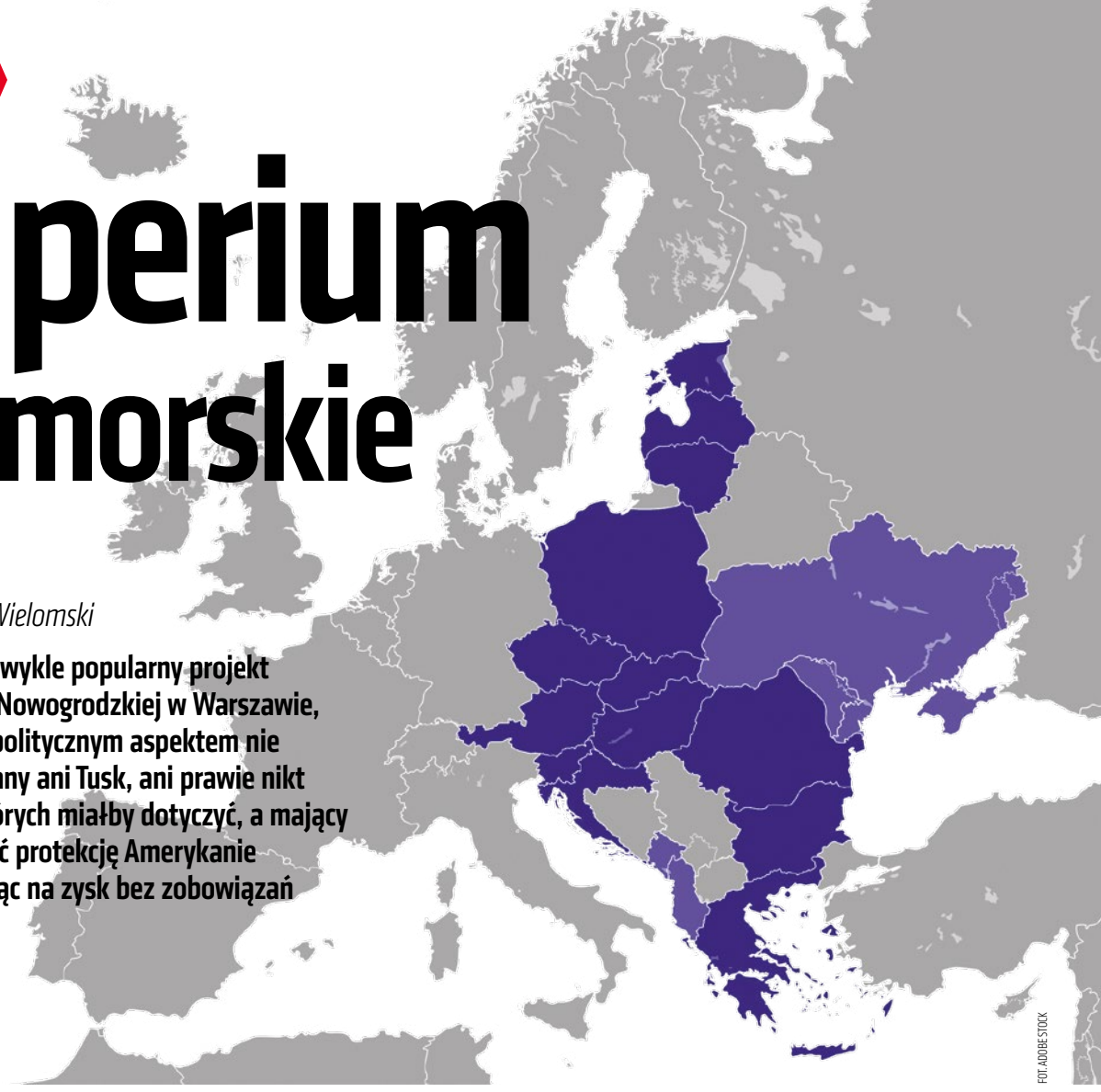

FOT. ADOBE STOCK

Będąc 10 lat temu w Berlinie, wraz z żoną wybraliśmy się do Bibliothek des Konservatismus. Jest to prywatna placówka biblioteka rsko-naukowa. Z racji, że były tam zaledwie dwie czy trzy osoby pogrążone w lekturze książek, przybycie dwóch kolejnych, w dodatku cudzoziemców, wywołało zainteresowanie ze strony wicedyrektora placówki, który oprowadził nas po zasobach, poświęcając nam dwie godziny. W pewnym momencie rozmowa zeszła na tematy międzynarodowe. Rozmawialiśmy m.in. o pozycji Polski w niemieckich planach. Temat ten wywołał pewne zakłopotanie u naszego rozmówcy, który w pewnej chwili, bardzo nas przepraszając za szczerość, która może się Polakom nie spodobać, stwierdził: „Cokolwiek byśmy mówili, to pomiędzy Berlinem a Moskwą nic nie ma i wszystkie problemy Europy Wschodniej są załatwiane pomiędzy Niemcami a Rosją".

Stwierdzenie było brutalne, ale realistyczne. Rzekł to do nas stary, dziś już rzadki typ pruskiego konserwatysty, mówiącego o świecie w kategoriach niemieckiej Machtpolitik, zamiast używać cukierkowych frazesów o demokracji i prawach człowieka, do czego przyzwyczaja nas współczesna niemiecka dyplomacja, a za którymi to frazesami kryje się przecież to samo przekonanie, że „pomiędzy Berlinem a Moskwą nic nie ma", więc Polska ma stać w mitteleuropejskim szeregu i realizować polecenia płynące z Berlina. W Polsce z tego położenia zdawano sobie sprawę już przy budowie II Rzeczypospolitej. Roman Dmowski i Józef Piłsudski zdawali sobie sprawę, że „Polska albo będzie mocarstwem, albo jej nie będzie" (prawdę mówiąc, już nie pamiętam, który z nich jest autorem tych słów), przy czym Dmowski chciał stworzyć silne państwo narodowe sprzymierzone z Francją i Rosją (nawet ZSRR) przeciw Niemcom, a Piłsudski federacyjną Polskę Jagiellońską, opartą o partnerstwo polsko-ukraińskie, zwróconą przeciw Rosji. Ten drugi polityk marzył o rozbiciu Rosji na państwa etniczne i zbierając część z nich, chciał stworzyć Międzymorze, w którego skład wchodzić miały Polska, Czechosłowacja, kraje nadbałtyckie, Węgry, Rumunia, Jugosławia i Ukraina. Dziś koncepcja ta odżywa jako Trójmorze, czyli wizja wielkiego sojuszu państw od Skandynawii po Turcję, zwróconego przeciw imperialnym zakusom Berlina i Moskwy. Źródłem tej wizji jest myśl o wskrzeszeniu panowania Jagiellonów nad Polską,

eprasa.pl 14333fb3fb

Wielkim Księstwem Litewskim, Czechami i Węgrami (wówczas obejmującymi też Słowację, Siedmiogród, serbską Wojwodinę i Chorwację). Wszystko, aby upodmiotowić „nic" znajdujące się między Berlinem a Moskwą.

DLACZEGO MIĘDZYMORZE BYŁO UTOPIĄ?

Odpowiedź na to pytanie jest prosta z perspektywy historycznej: międzywojenne Międzymorze było politycznym fantomem, gdyż państwa mające je tworzyć dopiero co powstały w wyniku rozpadu Austro-Węgier, kryzysu i rewolucji w Rosji i porażki Niemiec w pierwszej wojnie światowej. Granice nowo powstałych bytów były rozdarte między granicami historycznymi a etnicznymi. Dlatego każde z państw chciało granic historycznych, gdy im to pasowało, a etnicznych, gdy część rodaków była za liniami tych pierwszych. Stąd nieprawdopodobna masa konfliktów o delimitację terytorium: polsko-litewski o Wileńszczyznę; polsko-ukraiński o Małopolskę Wschodnią; polsko-czeski o Zaolzie; węgiersko-słowacki o południową część Słowacji; węgiersko-rumuński o Siedmiogród; węgiersko-serbski o Wojwodinę; serbsko-chorwacki o niepodległość Chorwacji etc. Teoretycznie Międzymorzem mogła być stworzona przez dyplomację francuską Mała Ententa, złożona z Czechosłowacji, Jugosławii i Rumunii do pilnowania okrojonych Węgier, ale do systemu tego nie weszła Polska z powodu konfliktu z Czechosłowacją o Zaolzie. W latach 30. Niemcy pięknie te niesnaski rozegrali, sprzymierzając się z poszkodowanymi przez system wersalski Węgrami i Bułgarią, przy bierności pozostałych państw rozbierając Czechosłowację i wymuszając groźbą posłuch Rumunii. Później, w sierpniu 1939 r., doszło do rozgraniczenia stref wpływów przez układ Ribbentrop-Mołotow, który – co warto przypomnieć – nie dotyczył tylko Polski, lecz także krajów nadbałtyckich, Finlandii i Rumunii.

Czy gdyby politycy państw Europy Środkowo-Wschodniej znali przyszłość, to daliby się tak rozegrać? Tak, ponieważ tylko w sojuszu z Berlinem Węgrzy mogli dokonać rewizji granic na swoją korzyść (dwa arbitraże wiedeńskie przyznające im południową Słowację i Siedmiogród), Słowacy i Chorwaci w ogóle mogli wybić się na własną państwowość, a Bułgarzy odebrać swoje ziemie, utracone w czasie wojen bałkańskich na początku stulecia. Ci, którzy na sojuszu z III Rzeszą zyskali, utracili później wolne państwa w wyniku zajęcia ich przez Armię Czerwoną, lecz w wyniku klęski Hitlera i tak by się to stało. Alianci Niemiec nie mieli zatem nic do stracenia. Woleli być częścią Mitteleuropy jako większe państwa, skupiające całość swojego narodu, niż jako rozbite etnicznie ziemie okupowane.

PROJEKT TRÓJMORZA

Trójmorze od początku było projektem polskim, zrodzonym w głowach naszej neosanacji z PiS, która pod tą nową nazwą chciała kontynuować projekt Międzymorza. Trzeba też przyznać, że zabrano się do jego realizacji mądrzej, niż czynił to Piłsudski. Głównym problemem sanacji przedwojennej było to, że projekt stanowił czysty konstruktywizm polityczny: chciano połączyć przeciw Berlinowi i Moskwie skłócone ze sobą państwa, z których część patrzyła na Berlin z nadzieją na rewizję granic uznawanych za niesprawiedliwe. To nie miało prawa się udać. Obecne Trójmorze zaplanowano w innych warunkach i z innymi doświadczeniami: 1) po upadku bloku wschodniego wchodzące do tego projektu państwa w Unii Europejskiej miały status państw drugiej kategorii, czyli świeżo przyjętych i ubogich ekonomicznie krewnych starej Europy; 2) fobia do Rosji, jako spadkobiercy ZSRR, była na tyle silna, że stanowiła czynnik łączący; 3) narody państw członkowskich lepiej lub gorzej pogodziły się z granicami, które powstały w systemie wersalskim (poza granicami Polski); 4) podobnie jak budowę zjednoczonej Europy zaczęto nie od konstruktywistycznych paktów politycznych, lecz od korzystnych dla wszystkich inicjatyw ekonomicznych; 5) znaleziono wielkiego opiekuna tego projektu w postaci Stanów Zjednoczonych, które szukały nowych narzędzi wpływów w Europie.

Formalnie Trójmorze powołali w 2015 r. prezydenci Polski i Chorwacji: Andrzej Duda i Kolinda Grabar-Kitarović. Jego zadeklarowanym publicznie celem było wzmocnienie połączeń infrastrukturalnych na osi północ-południe (szczególnie transport, energetyka i cyfryzacja). Obiektywnie rzecz biorąc, połączenia północ-południe były słabo rozwinięte, ponieważ państwa należące do Układu Warszawskiego i RWPG budowały głównie połączenia wschód-zachód, czyli do i ze Związku Radzieckiego. Przy ograniczonych środkach stawiano bowiem na połączenia konieczne do prowadzenia wojny z NATO na Zachodzie, a gospodarczo centrum systemu stanowiła Moskwa. Stąd też teraz zaproponowano liczne inicjatywy łączące północ z południem: Via Carpatia, linia kolejowa Rail Baltica, gazociąg Baltic Pipe, terminal LNG w Świnoujściu i projektowany w Polsce CPK, który miałby stać się – jak to się teraz popularnie mówi – hubem całej tej ekonomicznej konstrukcji. Słabą stroną projektu był brak większych funduszy inwestycyjnych, w związku z czym finansowanie projektów spoczywa głównie na poszczególnych państwach. Podobnie jak przy integracji Europy Zachodniej, także tutaj oficjalnie niewiele mówiono o integracji politycznej, zakładając, że ta pojawi się w efekcie integracji gospodarczej. Poza tym państwa Trójmorza należały do Unii Europejskiej, co czyniło integrację polityczną dość dwuznaczną: miała ona wspomagać integrację UE czy stanowić dla niej konkurencję?

No właśnie, trudno nie dojść do wniosku, że projekt Trójmorza opiera się na całej liście niedopowiedzeń i niewyrażonych wprost nadziei i oczekiwań. I to uznaję za jego najsłabszy punkt. Budowa połączeń drogowych i kolejowych północ-południe to cel sam w sobie i jest to sprawa poza dyskusją. Jednak każdy kolejny (niedopowiedziany głośno) cel zaczyna być coraz bardziej niepewny i kontrowersyjny.

CELE NIEDOPOWIEDZIANE

Po pierwsze, w Polsce nikt nie ukrywa, że istota projektu ma charakter geopolityczny i chodzi o stworzenie siły między Berlinem i Moskwą. Tak widzieli to Andrzej Duda i politycy PiS. Jednak tak nie widzą tego Donald Tusk i jego kamaryla, która nie chce budować czegokolwiek przeciw Berlinowi i Brukseli. Obecny rząd, kasując ostrze antyniemieckie projektu i jego powiązania ze Stanami Zjednoczonymi

eprasa.pl 14333fb3fb

(okrojenie CPK), przekształca projekt trójmorski w dobrze nam znany projekt Mitteleuropy, czyli wspólnoty państw znajdujących się pod protekcją Berlina. Nie jest to tylko stanowisko Tuska, gdyż podzielają je państwa tradycyjnie proniemieckie, a mianowicie Litwa, Łotwa i Estonia – wszystkie żyjące w cieniu rosyjskiego „niedźwiedzia", dla których Mitteleuropa to mniejsze zło od „ruskiego miru". Tradycyjnie proniemieckie są też Austria, Chorwacja i po części Węgry (proniemieckie, ale nie prounijne). Jeśli Warszawa osiągnęłaby swój cel i do Trójmorza jako oficjalnego członka wprowadziłaby dodatkowo Ukrainę i Mołdawię, to projekt stałby się w tym momencie turbomitteleuropejski, czyli przekształciłby się w całkowitą odwrotność, niż widzieli go jego polscy twórcy ze środowiska PiS. Zachowałby swoją twarz antyrosyjską, lecz zarazem stałby się narzędziem przyspieszonej federalizacji Unii Europejskiej, ze wspólną armią unijną i polityką zagraniczną!

„Pomiędzy Berlinem a Moskwą nic nie ma". Dlatego nasi sojusznicy to albo Berlin, albo Moskwa

Po drugie, nasi „trójmorzanie" chcieliby do tego projektu dołączyć inne państwa, aby wzmocnić ten blok przeciwko Rosji. Mowa szczególnie o Szwecji i Finlandii na północy i Turcji na południu. Pomijając to, że nie bardzo widzę Grecję i Turcję w jednym gremium bez groźby otwarcia ognia (i to dosłownie), to oczywiście nadałoby to temu blokowi znaczną siłę militarną, ale jego spoistość byłaby jeszcze mniejsza, a oblicze antyniemieckie jeszcze bardziej problematyczne. Mam też wątpliwość, czy Turcja jest państwem antyrosyjskim, ponieważ jej władze poruszają się na falach światowej polityki ze zręcznością Viktora Orbána, a nie ze słoniową wirtuozerią Radosława Sikorskiego buszującego w składzie porcelany. Trójmorze już dziś jest niesterowne, a po jego rozszerzeniu stałoby się klubem dyskusyjnym bez politycznej zdolności decyzyjnej.

Po trzecie, projekt oparty jest na amerykańskiej protekcji, aby Waszyngton miał w naszej części Europy swoją sferę wpływów, chroniąc ją militarnie i politycznie od zakusów hegemonicznych Berlina i Moskwy. Problem w tym, że takie protekcja i parasol dużo kosztują. Nikt nie ukrywa, że projekt CPK ma być hubem nie tylko dla polskich i zagranicznych podróżujących, lecz także dla amerykańskiego eksportu i dla amerykańskiej armii. Koszt CPK szacuje się na od 131 do 155 mld zł; koszt gazociągu Baltic Pipe i terminala LNG w Świnoujściu to kolejne 10 mld zł. Są to inwestycje skrajnie drogie i nie wiadomo, na ile opłacalne. W projektach gazowych oczywiście chodzi o uniezależnienie się od gazu rosyjskiego na korzyść norweskiego i amerykańskiego, przy czym trudno nie zauważyć, że z zależności rosyjskiej przechodzimy w zależność amerykańską, a do tego na własny koszt budujemy konieczną infrastrukturę. Podobnie jest z projektami cyfrowymi i zbierania danych, gdzie amerykańskie firmy mają korzystać z energii z naszej części Europy, często zresztą pochodzącej z amerykańskiego importu. Kolejną formą zależności od Waszyngtonu są zakupy drakońsko drogiego amerykańskiego sprzętu wojskowego i stacjonowanie, na koszt państw przyjmujących, amerykańskich żołnierzy. Wspomnijmy tutaj inicjatywę tzw. Fortu Trump.

Trudno nie odnieść wrażenia, że amerykańska protekcja dla Trójmorza ma być kupowana za pomocą zależności surowcowej, technologicznej i wojskowej. I tutaj jest podstawowa słabość tego projektu. Od czasu dojścia do władzy w Białym Domu Donalda Trumpa w USA nikt nie ukrywa, że Amerykanie mają zamiar wycofać się z Europy militarnie. W Strategii Bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych z ubiegłego roku jest to powiedziane expressis verbis. Dla Waszyngtonu obszar Trójmorza nie ma znaczenia strategicznego. Trump dąży do zakończenia „wojny zastępczej" z Rosją na Ukrainie, wycofania się z Europy i oddania nad nią kontroli Niemcom. Polska i część państw Trójmorza próbują go tutaj zatrzymać, dając mu różnego rodzaju „frukty" ekonomiczne i biznesowe. Osobiście wątpię, czy naszą część Europy fizycznie byłoby stać na zapłacenie za amerykańskie zaangażowanie w sytuacji, gdy Stanów Zjednoczonych nie stać na polityczno-militarną kontrolę nad światem. Gdyby zaś nawet było nas stać na regularne płacenie „haraczu" za amerykańską protekcję, to wcale nie oznacza, że armia USA będzie za nas walczyć i stanie w naszej obronie. Trump lub jego następca może uznać, że koszty takiej obrony są wyższe niż płacona składka ubezpieczeniowa. Prawdę mówiąc, wiele wskazuje na to, że w razie konfliktu z Rosją walczylibyśmy sami, a Amerykanie wsparliby nas sprzętem i logistycznie w zamian za połowę surowców znajdujących się w polskiej ziemi (jak Ukrainę). Może więc lepiej nie płacić Amerykanom, tylko pieniądze te mądrze wydać na polską armię?

Po czwarte, widzimy, że do przekształcenia Trójmorza z inicjatywy ekonomiczno-integracyjnej w polityczną dąży głównie Polska, a konkretnie środowisko PiS. Gdy zatem zaczną być otwarcie stawiane kwestie polityczne, to można oczekiwać sprzeciwu. Inicjatywa łatwo może zostać potraktowana jako przejaw „polskiego imperializmu" przez Litwinów czy Ukraińców. Inna sprawa, że udział tych ostatnich w tym projekcie jest wątpliwy. Gdy w lipcu 2017 r. Donald Trump przyleciał do Polski na jeden ze szczytów Trójmorza, to jego administracja zakazała zapraszać na ten szczyt delegację z Kijowa, co było dużym zgrzytem dla geopolityki rządzącego wówczas PiS.

NIEMIECKIE TRÓJMORZE

Jaki z tego wszystkiego wniosek? Ano taki, że Trójmorze to niezwykle popularny projekt polityczny na ul. Nowogrodzkiej w Warszawie, czyli w PiS. Jego politycznym aspektem nie jest zainteresowany ani Tusk, ani prawie nikt w państwach, których miałby dotyczyć, a mający nad nim roztoczyć protekcję Amerykanie popierają go, licząc na zysk bez zobowiązań. W sytuacji gdy prawie nikogo nie interesuje jego antyniemieckie ostrze, projekt ma naturalną skłonność do przeistoczenia się w niemiecką Mitteleuropę, potwierdzając smutne, ale jakże prawdziwe słowa, od których ten tekst zacząłem: „Pomiędzy Berlinem a Moskwą nic nie ma". Dlatego nasi sojusznicy to albo Berlin, albo Moskwa (a za nią Pekin), albo nie będziemy mieli żadnego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 14333fb3fb

Być kobietą... Albo nie



Krystian Kratiuk

W Stanach Zjednoczonych wielu ludzi, w tym bardzo wpływowych, wciąż nie wie, kim jest kobieta, a kim mężczyzna. Sprawa powraca jednak do debaty publicznej co kilka miesięcy, najczęściej za sprawą sportu

Jedna z najgłośniejszych scen amerykańskiej „debaty o płci" (sic!) rozegrała się cztery lata temu podczas przesłuchania Ketanji Brown Jackson, kandydatki Joe Bidena do Sądu Najwyższego. Zapytana przez jednego z republikańskich senatorów, czy potrafi zdefiniować słowo „kobieta", odpowiedziała, że nie może tego zrobić, bo nie jest biologiem. Tłumaczyła, że nie chce formułować abstrakcyjnej definicji bez... wskazania kontekstu. Tamta wymiana zdań przeszła do historii – oto bowiem kandydatka na jedno z najważniejszych stanowisk jednego z najważniejszych państw świata nie wie, kim jest kobieta, i nie potrafi jej zdefiniować. Polityczna poprawność w tym kraju nie pozwala już bowiem powiedzieć, że ktoś jest kobietą albo mężczyzną.

Kandydatka oczywiście została sędzią Sądu Najwyższego.

Donald Trump – wyniesiony do władzy m.in. dzięki sprzeciwowi części Amerykanów wobec takich absurdów – deklarował, że zakończy te idiotyczne spory zaraz po ponownym objęciu stanowiska. I rzeczywiście w rozporządzeniu wykonawczym z 20 stycznia 2025 r. administracja federalna zdefiniowała kobietę jako „dorosłą osobę płci żeńskiej". Płeć żeńską powiązała zaś z biologicznym układem takiej osoby, który „ukierunkowany jest na wytwarzanie komórki jajowej". Rozporządzenie to nakazywało urzędom federalnym odróżniać płeć biologiczną od tożsamości płciowej, ale nie jest to prawo wiążące dla wszystkich stanów i każdego obywatela. USA są bowiem federacją, a więc konkretne stany mogą mieć tu własne przepisy – przepisy Trumpa dotyczą urzędów i agencji federalnych.

ZDROWY ROZSĄDEK POD OSTRZAŁEM

Temat powrócił kilka tygodni temu za sprawą wypowiedzi koszykarki Sophie Cunningham, zawodniczki zespołu Indiana Fever. Jej słowa natychmiast nagłośniono, jedni ochoczo się pod nimi podpisywali, inni zaś nazywali je skandalicznymi i domagali się konsekwencji. Co takiego powiedziała Cunningham? Otóż stwierdziła, że osoby, które „przeszły męskie dojrzewanie", nie powinny rywalizować w sporcie kobiecym. Dodała, że chodzi jej zwłaszcza o ochronę młodych dziewcząt, które łatwo mogą przegrać rywalizację o miejsce w składzie z biologicznym mężczyzną. Podkreśliła, że swoje stanowisko uważa za „raczej zdroworozsądkowe" i że według niej większość ludzi myśli w tej sprawie tak jak ona, jednocześnie dodając, iż nie oznacza to jakiejkolwiek zachęty do wyrażania niechęci czy tym bardziej nienawiści do „osób transpłciowych".

Co ważne, koszykarka nie wskazała żadnej konkretnej transzawodniczki (w tym sezonie żadna „osoba transpłciowa" nie gra bowiem w amerykańskiej kobiecej lidze koszykarskiej – WNBA) i nie odnosiła się do żadnej konkretnej sytuacji. Wyraziła opinię – rzeczywiście całkowicie zdroworozsądkową – wedle której osobne ligi dla mężczyzn i kobiet istnieją po to, aby kobiety nie rywalizowały z mężczyznami i odwrotnie. Różnice między płciami, szczególnie w sporcie, mają bowiem kolosalne znaczenie – wystarczy popatrzeć na rekordy w jakichkolwiek dziedzinach sportu męskiego i porównać je z rekordami kobiet.

Mimo tego Cunningham z miejsca stała się bohaterką – czy też raczej antybohaterką – wielu liberalnych mediów. Doprowadziło to do tego, że była wygwizdywana, podczas meczów, na trybunach spotkań, w których brała udział, zaczęły pojawiać się flagi LGBT, a lewaccy aktywiści atakowali ją w social mediach.

Szybko zaczęły jednak pojawiać się również demonstracje poparcia dla koszykarki, a te z kolei wywołały organizację kontrmanifestacji – głównie pod halami sportowymi. Szczególnie głośny stał się incydent z Seattle, gdzie właścicielka tamtejszego klubu Seattle Storm zaczęła wyzywać siedzących na trybunach kibiców – konkretnie młode dziewczyny, które miały na sobie koszulki XX-XY Athletic. To firma odzieżowa, a jednocześnie organizacja społeczna promująca „uczciwość w kobiecym sporcie", a więc właśnie kategoryzowanie zawodników według płci biologicznej. Seattle Storm musiało ostatecznie przeprosić za zachowanie swojej właścicielki, a federacja WNBA nałożyła na nią karę grzywny i zakaz udziału w pięciu meczach. Wpływowi ludzie w WNBA zaczęli jednak intensywnie nalegać, by zawodniczki „przestały mieszać politykę do sportu".

Paradoksalnie w całej sprawie Cunningham to nie ona została ukarana. Ją spotkała „tylko" masa krytyki w mediach i z ust niektórych działaczy

eprasa.pl 14333fb3fb



sportowych. Nie sposób przy tym nie zauważyć, że zawodniczka stała się jednocześnie idolką prawej strony amerykańskiego sporu.

CO WOLNO WOJEWODZIE...

Dlaczego jednak sprawa stała się tak głośna, skoro w WNBA nie gra obecnie żadna transzawodniczka czy też żaden transzawodnik (wybaczą państwo, nie wiem, jak określić taką osobę, a nie chcę nikomu pomylić zaimków)?

Otóż koszykarki i inne osoby związane z WNBA – podobnie jak w lepiej nam znanym świecie piłki nożnej – od dawna zabierają głos w ważnych sprawach społecznych i politycznych, oczywiście głównie promując idee lewicowe. Nam w Polsce naprawdę trudno sobie wyobrazić, jak wpływowi są sportowcy w amerykańskiej kulturze masowej – badania wskazują, że są oni na drugim miejscu po rodzicach jako najwięksi idole tamtejszej młodzieży i młodych dorosłych. Ich wypowiedzi i postawy są więc bardzo uważnie śledzone.

Zawodniczki i kluby często angażują się w kampanie dotyczące rasizmu, a także kampanie wyborcze, promują postulaty ruchu LGBT, aborcję itp. Do tej pory polityczne hasła na koszulkach czy na konferencjach prasowych nie były uznawane za „mieszanie polityki do sportu". Kiedy jednak Cunningham wypowiedziała pogląd konserwatywny, medialne wilki natychmiast się na nią rzuciły, a jej słowa w samej lidze uznano za „niepotrzebną prowokację".

Znamy ten mechanizm aż za dobrze, nieprawdaż?

SPORTSMENKI NA BARYKADACH

Jednak Sophie Cunningham nie jest wcale pierwszą ani zapewne ostatnią kobietą sportowcem, która wypowiedziała się w tej sprawie i płaci za to cenę. Do tej pory najbardziej znaną sprawą w kontekście amerykańskich transsportowców była sprawa Riley Gaines – pływaczki uniwersytetu w Kentucky, która w 2022 r. na mistrzostwach pływackich zajęła piąte miejsce ex aequo z Lią Thomas. Problem w tym, że Thomas to biologiczny mężczyzna, który przed „zmianą płci" rywalizował w męskich drużynach. Gdy Gaines powiedziała, że została oszukana i że rywalizowanie z mężczyznami jest nie fair, wybuchła afera. Gdy zakończyła uniwersytecką karierę, zaczęła jeździć po USA z odczytami, spotykała się z masowymi protestami lewackich aktywistów.

Bardziej bezpośrednie konsekwencje sportowe poniosła za to Stephanie Turner uprawiająca szermierkę. W marcu 2025 r. uklękła bowiem na planszy szermierczej, odmawiając walki z przeciwniczką, Redmondą Sullivan, biologicznym mężczyzną. Turner została ukarana czarną kartką i usunięta z turnieju – według szermierczej federacji sankcja nie dotyczyła ukarania zawodniczki za poglądy, ale po prostu za walkower, a więc za nieprzystąpienie do rywalizacji. Z mężczyzną.

W siatkówce akademickiej głośna stała się z kolei sprawa Brooke Slusser z klubu San José State. W 2024 r. siatkarka wystąpiła ze sprzeciwem wobec udziału Blaire Fleming – transpłciowej zawodniczki – w tej samej drużynie. Co ciekawe, owa „osoba transpłciowa" grała w San José State, zanim do zespołu dołączyła Slusser. Mimo tego siatkarka zdecydowała się wystąpić przeciwko udziałowi „osoby transpłciowej" w tej samej drużynie, w której występują same biologiczne kobiety; uzasadniała to kwestiami bezpieczeństwa, prywatności i równości w rywalizacji o miejsce w składzie. Ostrzegała, że jeżeli drużyny będą mogły swobodnie zastępować kobiety osobami posiadającymi męskie warunki fizyczne, to pojawi się pytanie o to, co ma powstrzymać trenerów przed nierekrutowaniem kobiet do kobiecych zespołów. Wszak z silnymi, wysokimi, biologicznymi mężczyznami w składzie żeńskiej drużyny dużo łatwiej będzie wygrywać w kobiecej lidze.

Wojna w mediach trwała wiele miesięcy, Brooke Slusser została oskarżona o spowodowanie rozpadu więzi w drużynie. Jednak sprawa miała ciekawy ciąg dalszy – kilka drużyn odmówiło rozegra-

eprasa.pl 14333fb3fb



FOT. ADOBE STOCK

nia zaplanowanych meczów z San José State, protestując przeciwko udziałowi Blaire Fleming. O ironio, dzięki temu drużyna z San José… awansowała do finału, nie rozgrywając wielu meczów, w tym półfinału.

Najgłośniejszym przypadkiem była jednak stara sprawa Martiny Navrátilovej – jednej z bardziej uznanych tenisistek, a zarazem wieloletniej działaczki na rzecz LGBT. Już w 2019 r. ośmieliła się powiedzieć, że dopuszczenie osób „posiadających skutki męskiego dojrzewania" (czyli mężczyzn; taka nowomowa panuje w politpoprawnym języku w USA) do kobiecego sportu jest niesprawiedliwe. Wtedy wpływowa organizacja wspierająca osoby LGBT w sporcie – Athlete Ally – i działająca na rzecz bardziej inkluzywnych zasad w klubach, ligach i federacjach uznała jej wypowiedzi za transfobiczne. Navrátilovą usunięto z rady doradczej organizacji i zakończono z nią współpracę.

Jak więc widać, nawet dorobek ikony ruchu LGBT nie chroni przed wykluczeniem, jeśli zakwestionuje ona jeden z podstawowych dogmatów współczesnej „polityki tożsamości". Rewolucja zjada własne dzieci. Który to już raz w historii?

KOBIETA? NIE WIADOMO

Ktoś może jednak zapytać: Jak to wszystko jest możliwe, skoro pamiętamy, że Donald Trump na początku drugiej kadencji nie tylko ustalił definicję kobiety, lecz także zakazał uczestniczenia transosobom w kobiecym sporcie? Otóż nie do końca tak było – tak przedstawiały to niektóre media, ale to zbyt duży skrót myślowy.

W lutym 2025 r. Trump rzeczywiście podpisał rozporządzenie „Keeping Men Out of Women's Sports". Nakazał administracji federalnej interpretować przepisy tak, aby instytucje edukacyjne otrzymujące środki federalne chroniły kobiece drużyny przed udziałem osób płci męskiej. Rząd może prowadzić postępowania, wywierać presję finansową i podejmować działania przeciwko szkołom oraz uczelniom, które stosują odmienną politykę, ale rozporządzenie nie jest jednak ustawą obejmującą każdą prywatną ligę zawodową i nie oznacza, że Trump bezpośrednio ustalił przepisy dla WNBA, NWSL czy każdej lokalnej organizacji sportowej.

Skutek polityczny decyzji Trumpa był jednak znaczący. Już dzień po podpisaniu rozporządzenia NCAA (organizacja zarządzająca większością sportu akademickiego) zakazała biologicznym mężczyznom startowania w kobiecych drużynach akademickich, nawet jeśli przeszli terapię hormonalną i legitymują się „żeńskimi" dokumentami. Jeszcze większe znaczenie miało orzeczenie Sądu Najwyższego z 30 czerwca 2026 r., który uznał, że poszczególne stany mogą zastrzegać kobiece i dziewczęce drużyny wyłącznie dla osób płci żeńskiej. Znów jednak wyrok nie wprowadził jednego zakazu dla całego kraju, ale potwierdził legalność podobnych ograniczeń obowiązujących już w 27 stanach.

Wracając do sprawy Cunningham – liga koszykarska WNBA nadal formalnie dopuszcza do gry „wyłącznie kobiety", lecz nie definiuje tego pojęcia szczegółowo ani nie publikuje zasad dotyczących osób transpłciowych. Teoretycznie więc mężczyzna uznany prawnie za kobietę wciąż może grać w zawodach koszykarskich.

Skoro federacja musiała przyznawać dodatkowe medale, to sama pośrednio uznała, że udział Hernandez mógł odbierać biologicznym dziewczętom należne im miejsca na podium

CZTERY MIEJSCA NA PODIUM

Wszystko to wydaje się absurdalne, ale w USA tego typu debaty stały się już codziennością. Wciąż wzbudzają zainteresowanie prasy, ale nikogo już nie dziwią.

Tak jak nikogo nie zdziwiła sytuacja z 2025 r., gdy zrobiło się głośno o kalifornijskiej transuczennicy AB Hernandez, która podczas stanowych mistrzostw lekkoatletycznych wygrała konkurs skoku wzwyż i trójskoku dziewcząt, a w skoku w dal zajęła drugie miejsce. Hernandez urodziła się mężczyzną. Kalifornijska federacja lekkiej atletyki postanowiła więc wymyślić jeszcze inne rozwiązanie – wprowadziła specjalną zasadę, zgodnie z którą udział transpłciowej zawodniczki nie mógł pozbawić biologicznej dziewczyny awansu lub medalu, dlatego w razie potrzeby przyznawano dodatkowe miejsca. Mechanizm działał następująco: gdy Hernandez zajmowała pierwsze miejsce, zawodniczka z drugim najlepszym wynikiem również mogła zostać uznana za zdobywczynię złotego medalu, a kolejne zawodniczki otrzymywały odpowiednio dodatkowe srebro (za trzecie miejsce) i brąz (za czwarte).

Rozwiązanie miało uspokoić spór, ale przyniosło odwrotny skutek: skoro federacja musiała przyznawać dodatkowe medale, to sama pośrednio uznała, że udział Hernandez mógł odbierać biologicznym dziewczętom należne im miejsca na podium.

Czy problem z konsekwencjami absurdalnej ideologii dostrzegą jednak – w swej masie – sami Amerykanie?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 14333fb3fb

Prezent dla Niemców



Filip Memches

Można zrozumieć polityków niemieckich, gdy wymigują się od podejmowania tematu reparacji wojennych. Dbają o interes swojego kraju, więc liczą pieniądze – to naturalne i normalne. Natomiast problemem są ci Polacy, którzy bagatelizując okupacyjną przeszłość, stają się – chcąc nie chcąc – ich adwokatami



FOT. ŁUKASZ GDAK/EAST NEWS

Była druga sobota tegorocznego sierpnia, gdy wiceminister spraw zagranicznych Rzeczypospolitej Polskiej Marcin Bosacki opublikował w serwisie X wpis, który wywołał emocje internautów. To właściwie sprawozdanie z prywatnego spotkania.

Polityk zamieścił zdjęcie, na którym widzimy go z dwoma mężczyznami. Wpis zaczyna się od słów: „Puk, puk", a po nich czytamy: „Dziś do drzwi mojego domu pod Poznaniem zapukał mocno starszy pan z synem. Jak się okazało, 91-letni pan Leonard jest Niemcem. Gdy był dzieckiem, był tu »okupantem«. I mieszkał w moim obecnym domu".

Już sam ten wstęp zdradza ironiczny stosunek wiceszefa polskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych do spraw, które w sposób bolesny i trudny ciążą na pamięci wielu polskich rodzin. Tak właśnie należy interpretować wzięcie w cudzysłów wyrazu „okupant". Pójdźmy jednak dalej.

Jak pisze Bosacki, rodzina wiceszefa MSZ kupiła nieruchomość, w której on teraz mieszka, w latach 70. Przodkowie poprzednich właścicieli domu zbudowali go w 1895 r. i od tego czasu w nim mieszkali – z jedną („ważną" – zaznacza, skądinąd słusznie, polityk Koalicji Obywatelskiej) przerwą: w latach 1939–1945. Pod koniec 1939 r. zostali bowiem przez niemieckich okupantów przesiedleni na Zamojszczyznę (skądinąd do regionu, gdzie w latach 1942–1943 przeprowadzono wysiedlenia i pacyfikacje polskiej ludności pod kryptonimem Aktion Zamość). Wrócili do siebie w marcu 1945 r. Natomiast w podpoznańskiej nieruchomości zamieszkała rodzina Niemców bałtyckich przesiedlona z Łotwy. W ten sposób III Rzesza realizowała plan niemieckiej kolonizacji Wielkopolski.

Jak się okazuje, pan Leonard, który odwiedził Bosackiego, był wtedy mieszkańcem podpoznańskiego domu. Miał 10 lat, gdy jego rodzina musiała to miejsce opuścić, bo zbliżali się tam żołnierze Armii Czerwonej i berlingowcy. Z wpisu Bosackiego dowiadujemy się, że ojciec pana Leonarda „ledwo przeżył – podczas podróży furmanką do zachodnich Niemiec złamał biodro. Prawowici właściciele wrócili w marcu z Zamojszczyzny".

A dalej wiceszef polskiej dyplomacji relacjonuje, że zaprosił pana Leonarda z synem na kawę. Sędziwy Niemiec obejrzał dom i ogród. Pokazywał, gdzie spał on, gdzie jego siostry, a gdzie „polski parobek" Feliks. „Miał łzy w oczach" – dzieli się swoim spostrzeżeniem Bosacki. I dodaje: „Opowiedziałem mu, że cztery lata temu mieszkali tu kilka miesięcy uciekinierzy – kobiety ze wschodniej Ukrainy z dziećmi, uciekający przed Rosjanami". Wpis kończy się zdaniami: „Pożegnaliśmy się przyjaźnie. Wymieniłem z jego synem numery" oraz konkluzją: „Historia".

PO CO NAM MARTYROLOGIA?

Czytając wpis wiceministra spraw zagranicznych, w pierwszej chwili nie mogłem uwierzyć w to, że coś takiego wysmażył. Oczywiście Bosackiemu wolno w swoim domu przyjmować, kogo chce. I jego prywatną sprawą pozostaje to, jaki ma stosunek do swojego starszego gościa z Niemiec. Szkopuł w tym, że jest osobą publiczną, w dodatku zajmującą eksponowane stanowisko w strukturze władzy państwowej. W związku z tym zamieszczając wpis na X, powinien się liczyć z odczuciami wielu Polaków.

W opowieści Bosackiego intrygują dwie kwestie. Jedna dotyczy tupetu dwóch Niemców, którzy go odwiedzili. Rzecz jasna, podczas niemieckiej kolonizacji Wielkopolski pan Leonard

eprasa.pl 14333fb3fb

był dzieckiem. Nie odpowiada więc za politykę III Rzeszy. Niemniej nasuwa się myśl, że w złożeniu wizyty (jak się można domyślać, niezapowiedzianej) w domu, w którym jego rodzina mieszkała – chcąc nie chcąc – jako okupanci, nie zobaczył nic niestosownego. Mało tego, polityk KO sportretował go jako niewinną ofiarę wojny. Druga kwestia odnosi się do polskich gospodarzy podpoznańskiej nieruchomości, których w roku 1939 przesiedlono na Zamojszczyznę. Ciekawe, jaka byłaby reakcja potomków tych ludzi, gdyby dziś mieszkali w tym domu i w ich progach zagościł pan Leonard.

Przesłanie wpisu Bosackiego można odczytać następująco: patrzcie, nic się nie stało i nic się nie dzieje. Przecież ci Niemcy są tacy fajni i sympatyczni, jak ten starszy pan. Więc po co cała ta martyrologia, całe to grzanie tematu reparacji wojennych? Nie zajmujmy się przeszłością, lecz teraźniejszością. Dziś liczy się zagrożenie ze strony Rosji (stąd wątek uchodźców z Ukrainy we wpisie) – tego samego państwa (choć się wtedy inaczej nazywało), którego wojsko wypędziło pana Leonarda oraz jego rodzinę z podpoznańskiej posiadłości. Naród niemiecki zaś to obecnie nasz sojusznik, więc stoi po jasnej stronie mocy. Dajmy więc już Niemcom spokój.

ZAPROSIĆ ERIKĘ STEINBACH!

To prawda, że sytuacja jest teraz inna niż osiem dekad temu. A ludzie z prawicowej „bańki" w Polsce, szermując antyniemiecką retoryką, często popadają w kompromitującą ich przesadę. I towarzyszy temu nieznośny patos. To jest jak nadmuchiwanie balonów, które aż się prosi poprzekłuwać. I odnoszę wrażenie, że Bosacki postanowił to uczynić na X. Poprzekłuwał balony i zrobił się huk w komentarzach pod tym wpisem. A politycy KO są znani z takich zabiegów. Chodzi o przypisywaną Igorowi Ostachowiczowi – wiceministrowi w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, zajmującego się sprawami wizerunkowymi, gdy Donald Tusk po raz pierwszy i drugi był premierem – metodę komunikacji pod hasłem „przejechać prętem po klatce". Niegdyś prowokacje polityków KO (wtedy jeszcze pod szyldem Platformy Obywatelskiej) często przynosiły pożądany efekt. Na prawicy wywoływały one oburzenie, które w odbiorze społecznym jawiło się jako wyraz bezradności czy wręcz ofermowatości. Można się nawet zastanawiać, czy Bosacki swojego spotkania nie wyreżyserował na potrzebę zagrania na nosie wzmożonej antyniemiecko prawicowej „bańki". Tyle że jeśli nawet tak, to w tym przypadku wiceszefowi polskiej dyplomacji nie wyszło, ponieważ w efekcie stał się celem lawiny zjadliwych szyderstw.

Warto przytoczyć trochę uszczypliwości z komentarzy skierowanych pod jego adresem (wśród ich nadawców nie zabrakło też ludzi mediów): „No prawie się wzruszyłam. Prawie, bo ja już nie mogę pojechać do majątku pradziadków – zagrabionego i spalonego przez Niemców, a potem przejętego przez Ruskich. Tym bardziej wzrusz, że są jeszcze piękne zakończenia" (Agata Puścikowska); „Niech Pan mu zwróci swój dom, dokona się sprawiedliwość dziejowa" (Rafał Dudkiewicz); „Łzy wzruszenia płyną mi po plecach. Niech mu Pan zwróci dom. W ramach jakichś odwróconych reparacji. Coś wymyślicie na pewno" (Marcin Tulicki); „»Miał łzy w oczach«... A miał je też, kiedy myślał o Aktion Zamość?" (Anna Szczepańska z portalu DoRzeczy.pl); „Ale wzruszające! To może Pan zorganizuje wizytę Eriki Steinbach (obecnie AfD) do »rodzinnego« domu w Gdyni, gdzie się urodziła [faktycznie urodziła się w Rumi, ale w tym kontekście to pomyłka nieistotna – przyp. F.M.]. Wzruszenia będą podobne!" (Paweł Przychodzeń); „Proszę się tak nie roztkliwiać nad Leonardem. Republika Federalna znakomicie zadbała o jego finanse jako »wypędzonego«. O niebo lepiej niż o losy »polskiego parobka Feliksa«" (internauta o nicku Anonimowy Dyplomata).

Cóż, wciąż jest mnóstwo Polaków, którzy mają powody, by podjęty przez Marcina Bosackiego temat widzieć, rozumieć, odczuwać inaczej niż on. Chodzi o niezabliźnione rany, o straty ludzkie, których Niemcy nie zrekompensowali (bo i nie mogli tego zrobić, ludzkiego życia nikt nikomu nie zwróci), i o straty materialne, od których zrekompensowania państwo niemieckie się wymiguje, czego świadectwem jest spór dotyczący reparacji. Skądinąd zachowanie polityków niemieckich można zrozumieć. Dbają o interes swojego kraju, więc liczą pieniądze. To naturalne i normalne. Natomiast problemem są ci Polacy, którzy bagatelizując okupacyjną przeszłość, stają się – chcąc nie chcąc – ich adwokatami. A Bosacki zachował się tak, jakby do tego grona należał.

Nie ma się co dziwić, to nie tylko polityk KO, lecz także były dziennikarz „Gazety Wyborczej" (zaszedł daleko – najpierw był szefem jej działu zagranicznego, potem zaś został przez nią wysłany jako korespondent do USA). A w wielu obszarach – bo oczywiście nie we wszystkich – wizja świata lansowana przez to medium pokrywa się z linią polityczną obozu Donalda Tuska. Trudno zresztą, żeby było inaczej. Przykład Bosackiego pokazuje, że człowiek może opuścić „Wyborczą", ale „Wyborcza" jego nie opuszcza.

PRZESŁANIE PACYFISTYCZNE

Warto tu przypomnieć, że „GW" była zaangażowana w debatę o kształt programowy Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku. I popierała koncepcję tej placówki przygotowaną przez Pawła Machcewicza i Piotra M. Majewskiego – historyków, którzy otrzymali to zadanie od pierwszego rządu Tuska. Rezultat swoich przemyśleń przedstawili oni w roku 2008 w czasopiśmie „Przegląd Polityczny" (zresztą będącego tubą programową „gdańskich liberałów"). Oto fragment tekstu Machcewicza i Majewskiego: „Ukazanie wojny przez pryzmat losów żołnierzy, jeńców, więźniów obozów, robotników przymusowych czy ogółu ludności cywilnej stanowić będzie, jak sądzimy, najbardziej uniwersalny i zrozumiały dla wszystkich zwiedzających przekaz – niezależnie od ich narodowości. Taka perspektywa niesie też w sobie głęboko pacyfistyczne przesłanie, zgodnie z ideą Muzeum".

Z tego można wysnuć wniosek, że w drugiej wojnie światowej to nie Niemcy eksterminowali Polaków, lecz jacyś źli żołnierze zgotowali piekło jakimś dobrym cywilom – a przynależność narodowa i państwowa jednych i drugich okazała się kwestią drugoplanową. Jakże takie argumenty korespondują z kuriozalnym wpisem Marcina Bosackiego.

Tyle że mamy tu do czynienia – niezależnie od czyichś intencji – ze zmniejszaniem ciężaru odpowiedzialności państwa niemieckiego za zbrodnie III Rzeszy. To dla niemieckiej klasy politycznej prezent. Czy wiceszef MSZ zdaje sobie z tego sprawę?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 14333fb3fb



FOT. DAMIAN KLAMKA/EAST NEWS

Ziarnko piasku w machinie modernizmu



Wojciech Golonka

Jakkolwiek będzie i jakikolwiek byłby nasz stosunek do Bractwa św. Piusa X, trzeba przyznać, że jest ono tym ziarnkiem piasku, na którym skutecznie zacina się machina modernizmu

Choć zabrzmi to mało dyplomatycznie, to doszedłem do wniosku, że gdyby konsekracje biskupie w Bractwie św. Piusa X z 1 lipca w Ecône nie miały miejsca, warto by je było jednak wymyślić. Nieodparte wrażenie jest bowiem takie, że zarówno bezpośrednio przed, jak i po 1 lipca nie było tygodnia, aby słowa i dokonania hierarchów kościelnych nie wskazywały na podwójne standardy w Kościele, na jednoznacznie rewolucyjną orientację Kościoła synodalnego, na brak w ogóle rzetelnego omówienia meritum niezgody między Watykanem a Bractwem św. Piusa X. Na tym burzliwym tle kościelnej codzienności działalność Bractwa, wprawdzie pozbawionego właściwego statusu kanonicznego i obarczonego dziś najcięższymi epitetami ze schizmą i ekskomuniką włącznie, nie może jawić się jako anomalia, siła wywrotowa, a tym bardziej nie ma znamion najgorszego wroga Stolicy Apostolskiej, co publicystycznie przypisywano mu w dniach bezpośrednio po święceniach biskupich z 1 lipca.

Trzeba przyznać, że ta atmosfera „wyjęcia spod prawa" Bractwa św. Piusa X na skutek dekretu kard. Fernándeza była niesłychana i surrealistyczna, z akcentami komizmu włącznie. Nagłówek medialny za nagłówkiem powielały informację o zbiorczym wykluczeniu lefebrystów z Kościoła, kurie diecezjalne jedna po drugiej publikowały wytyczne, które przypominały instrukcję obchodzenia się z jakimś leprozorium, ku wielkiej uciesze zelantów kibicujących w mediach społecznościowych tym najsurowszym rozwiązaniom, dla których nawet trudno znaleźć ekwiwalent w historii Kościoła. A jednak: w synodalnym Kościele, gdzie – jak podkreślał to nie tak dawno sam kard. Fernández, wówczas biskup La Platy w Argentynie – nie powinno być żadnego etykietowania kogokolwiek ani sztywnego oceniania, kto i jak może przystępować do sakramentów, w tym nowoczesnym Kościele nieskończonej godności człowieka, który bardzo łatwo kaja się za swe rzekome przeszłe grzechy i surowości, wyciągnięto najcięższe działa dawnej dyscypliny kościelnej, aby potępić, wykluczyć, wskazać zdaje się największych wrogów Kościoła i, kto wie, być może wrogów samego rodzaju ludzkiego!

DOGMAT „ŻYWEJ TRADYCJI"

Co było zatem głównym przewinieniem tej „zakały świata", by użyć określenia uświęconego już przez tradycję apostolską? Czy rzeczywiście chodziło

eprasa.pl 14333fb3fb

o wypowiedzenie posłuszeństwa papieżowi, tak jak wszyscy na to wskazywali i na czym skupiała się wrzawa, w której, jak ongiś Efezjanie broniący swej Artemidy, wzburzone rzesze zdawały się wołać bez końca, ale i bez rozumu: „Wielki Sobór Watykański II!"? Paradoksalnie na inny powód niż rzeczywiste nieposłuszeństwo Ojcu Świętemu wskazał sam papież Leon, wtórował mu stojący na czele Dykasterii Nauki Wiary kard. Fernández, a nawet potwierdziło to samo Bractwo.

Otóż jeszcze przed konsekracjami biskupimi Leon stwierdził między wierszami – była to akurat swobodna, ale naprawdę wymowna wypowiedź dla dziennikarzy – że nie może pozwolić Bractwu na posiadanie biskupów, gdyż… Bractwo nie jest w jego oczach prawowierne; a chodziło mu wręcz o fundamentalne uchybienia doktrynalne. Bractwo odpowiedziało na ten zarzut, publikując przed czerwcowym konsystorzem bardzo obszerne wyznanie wiary wobec błędów współczesności, pod którym bez problemu podpisałby się każdy ortodoksyjny katolik, doceniając wartość tego dokumentu. Czego zabrakło zatem w tej profesji wiary, naprawdę pięknej na tle dzisiejszej atrofii doktrynalnej?

Odpowiedzi na to pytanie, choć pośrednio, udzielił z kolei wspomniany już kard. Fernández, ponieważ kierowana przez niego dykasteria, oprócz dekretu stwierdzającego zaciągnięcie ekskomuniki, opublikowała również wytyczne procedury powrotu do „pełnej łączności" z Kościołem synodalnym dla zainteresowanych kapłanów z Bractwa (o takich wprawdzie na razie ani widu, ani słychu). Otóż głównym elementem tej procedury jest przylgnięcie do magisterium soborowego i posoborowego, z naciskiem kładzionym na teraźniejsze (synodalne?) magisterium, interpretujące wiążąco ostatni Sobór i jego spuściznę. Zatem zarówno dla kard. Fernándeza, jak i najwyraźniej samego papieża, choćby wyznawało się integralnie całą wiarę katolicką, nie można cieszyć się mianem katolika i dziecka Ojca Świętego, jeśli w duchu posłuszeństwa i szacunku nie przejawia się przylgnięcia do nowości chwili obecnej – choćby nie miały one nic wspólnego z prawdami objawionymi!

Czytelników nieskorych do rozważań teologicznych proszę tu o krótką chwilę cierpliwości, obiecując nie zawijać tej kwestii, która skądinąd jest kapitalna, a naprawdę rzadko poruszana. Albowiem wedle tych kryteriów całe rzesze katolików, choćby i dość postępowych, ale nie wystarczająco postępowych, okazują się w istocie rzeczy kryptolefebrystami. Wspomniane kryterium nie jest wprawdzie nowe – tego typu przylgnięcia do „żywej tradycji" wymagał już przecież w 1988 r. Jan Paweł II. Był to jednak czas, kiedy można się było do pewnego stopnia łudzić, że nowości, które po soborze pojawiły się w Kościele, jakimś sposobem mogą pokojowo koegzystować z tym, co ponadczasowe. Ten mechanizm wyparcia, zwany technicznie hermeneutyką ciągłości, wynikał z prostego faktu, że wciąż wielu katolików pozostawało uformowanych w wierze na dawną modłę i trwało w tym tradycyjnym nastawieniu i pojmowaniu wiary mimo dokonujących się powszechnie przemian.

Wiadomo jednak, że nie tylko hermeneutyka ciągłości zakończyła się fiaskiem wraz z nagłym końcem pontyfikatu Benedykta XVI, lecz także w ogóle sam proces mutacji w Kościele ma charakter permanentny dopóty, dopóki obowiązuje soborowy paradygmat aggiornamento, dostosowania się do świata, który przecież zmienia się bez przerwy, niekoniecznie ku dobremu. Ten punkt odniesienia dla Kościoła, jeszcze dość spokojny w przypadku świata zachodniego w 1962 r., stał się przecież w 1968 r. społecznościami dotkniętymi rewolucją seksualną, które stopniowo wyniosły do rangi norm prawnych najróżniejsze grzechy wołające o pomstę do nieba. Z perspektywy historii nie ma wątpliwości, że kolejne posoborowe pontyfikaty nie tyle skupiły się na utwierdzaniu katolików w wierze w tych burzliwych czasach odstępstwa ongiś chrześcijańskiego Zachodu od religii Krzyża (mimo możliwych poszczególnych reakcji papieskich), ile na budowaniu kruchej, gdyż niestałej pozycji Kościoła w iluzorycznym porozumieniu z ponowoczesnym światem w permanentnej rewolucji – seksualnej, ekologicznej, transhumanistycznej, globalistycznej… I tu właśnie dochodzę do sedna sprawy: cokolwiek by sądzić o święceniach biskupich z Écône, dokonanych – jak wiadomo – wbrew Leonowi, okazuje się, że dzięki tym święceniom widzimy czarno na białym, że aby cieszyć się przywilejem łączności z papieżem, trzeba przejmować się lasami Amazonii, losem glonów i alg w oceanach, lodowcami, aprobować udzielanie Eucharystii cudzołożnikom oraz błogosławienie homoseksualnych konkubinatów – by przypomnieć najważniejsze zainteresowania Franciszkowego nauczania, którego to obecny pontyfikat jest wyraźną kontynuacją.

Nie można w tym kryterium przylgnięcia zatrzymać się arbitralnie na jakimś mniej rewolucyjnym etapie przemian posoborowych, być może do przełknięcia w konserwatywnym odczuciu. Jeśli raz przyjmuje się zasadę „żywej tradycji" – wedle której pontyfikat danej chwili może rzeczywiście stawiać się ponad Tradycją – to trzeba co bardziej tradycyjnie uformowanym katolikom (a tych zarówno w Polsce, jak i na świecie wciąż jest masa) wypić kielich goryczy aż do dna, nie ograniczając się zresztą do zwykłej akceptacji tych niedorzeczności przez milczenie, a przyjąć w umyśle te nowinki w sposób rzeczywisty, potulny i pełen posłuszeństwa – bo na tym właśnie polega niezakłamane, autentyczne przylgnięcie do kościelnego nauczania, którego od katolików się wymaga. Ma się rozumieć, na świecie jest całe mnóstwo wiernych, czasem nawet i biskupów, odrzucających podobne aberracje, jak błogosławienie związków przeciw naturze, stąd według kryteriów Dykasterii Nauki Wiary należałoby ich wszystkich uznać za lefebrystów, i być może są oni poniekąd „lefebrystami" jeśli rozumiemy przez to właśnie instynktowne lub świadome trwanie przy tym, co było powszechnie nauczane i wyznawane zawsze i wszędzie. Samo Bractwo nie ma bowiem problemu z zasadniczym przylgnięciem do nauczania kościelnego nawet w kwestiach prawd niezdefiniowanych – które rzeczywiście wiążą katolika w sumieniu, choć nie tak samo jak dogmaty – ale podkreśla, że takie przylgnięcie nie obowiązuje w kwestiach, które akurat przeczą temu, co było jasno nauczane przez ciągłe Magisterium Kościoła.

KOŚCIELNA PUSZKA PANDORY

Do tego momentu specjalnie pominąłem nieco wtórne aspekty kanoniczne, aby wskazać, że spór między Écône a Watykanem jest tak naprawdę sporem o właściwie pojmowaną regułę wiary, co podkreślił, chyba zresztą w swym ostatnim

eprasa.pl 14333fb3fb

wywiadzie przed śmiercią, ks. Brunero Gherardini, bardzo ceniony włoski teolog, zaznaczając, że cały dialog między Bractwem a Rzymem mógłby się sprowadzić do rozstrzygnięcia, kto ma rację w sporze o koncept „żywej tradycji" (dodając, że nie sądził on, aby słuszność w tej kwestii była po stronie Jana Pawła II). Ten punkt jest kapitalny, ponieważ wskazuje, że tak naprawdę wydarzenia z 1 lipca z Écône wynikają stricte, dla Bractwa, z autentycznego problemu sumienia, a nie braku posłuszeństwa. Bardzo mocno wybrzmiało to w prymicyjnym kazaniu bp. Michela de Sivry, który zaznaczył, że ponieważ katolik ma obowiązki w swym powołaniu do życia wiecznego, to ma i wynikające z nich niepodważalne prawa, a jednym z nich jest dostęp do nauczania nieskażonej wiary oraz do sakramentów i liturgii tę wiarę wyrażających i karmiących. Powtarzam: w całej tej wrzawie i wymachiwaniu kijem cenzur kościelnych w zasadzie nikt, mimo notorycznej empatii do rzeczywistych heretyków i schizmatyków wszelakich (czy trzeba przypominać, że Franciszek uczcił w Watykanie Marcina Lutra, a Leon nazywa prawosławnych czy protestantów jego drogimi braćmi?), jakoś w ogóle nie chciał podejść do tej kwestii właśnie od strony autentycznego problemu sumienia na gruncie wiary.

Czy wniesione, po dekrecie, przez Bractwo kanoniczne odwołanie coś tu zmieni? Zarówno w latach 1988, jak i w 2026 Bractwo argumentowało, że na podstawie obowiązującego prawa kanonicznego nie można orzekać o automatycznym zaciągnięciu ekskomuniki w przypadku okoliczności zwalniających z czynu zabronionego, którym jest udzielenie sakry biskupiej bez zgody papieża, jeśli zachodzi stan wyższej konieczności. Co istotne, to samo prawo kanoniczne zwalnia z automatycznej ekskomuniki nawet wówczas, gdy ktoś błędnie mylił się co do stanu konieczności, ale tak go rzeczywiście postrzegał. Przetestowanie tej interpretacji przed odwoławczymi instancjami watykańskimi nie było możliwe w 1988 r., ponieważ dekret stwierdzający automatyczne zaciągnięcie ekskomuniki podpisał sam Jan Paweł II. Tym razem jednak dekret kard. Fernándeza pozbawiony jest – z niewiadomych powodów – nawet standardowej w dokumentach kurii rzymskiej klauzuli, że jego treść przedstawiono do aprobaty Ojca Świętego i ją uzyskano (choć z pewnością tę sprawę z Leonem konsultowano), stąd, przynajmniej w teorii, takie odwołanie, zwane rekursem, jest możliwe, a nawet zalecane publicznie Bractwu przez doświadczonych kanonistów.

Komunistyczna partia Chin może kreować nowe diecezje i nadawać de facto jurysdykcję biskupom – Bractwo nie może mieć biskupów pomocniczych dla zapewnienia krzewienia czystości wiary i tradycyjnego rytu Mszy

Składa się ono z dwóch etapów: Dykasteria Nauki Wiary ma 30 dni na weryfikację swej decyzji na skutek rekursu wstępnego. Równie dobrze może ona pozostawić taki wniosek bez odpowiedzi, co z kolei otwiera zainteresowanym drogę do „rekursu hierarchicznego", czyli procesu przed Sygnaturą Apostolską, tj. sądem papieskim. Milczenie odnośnie do tego złożonego w lipcu odwołania – nie wiadomo nawet, czy zostało ono przyjęte jako takie – może sugerować, że Watykan ma zgryz z tym posunięciem Bractwa, spychającym kwestię z pola czysto dyscyplinarnego na pole sumienia, wiary i obyczajów. Oczywiście sama procedura, nawet jeśli wszczęta, umożliwia zduszenie rekursu w zarodku; wystarczy ku temu wola Ojca Świętego. Sygnatura Apostolska równie dobrze może ograniczyć się do stwierdzenia poprawności proceduralnej dekretu dykasterii, nie rozpoznając meritum. A to właśnie jego rozpoznanie, w rzeczywistości, stanowiłoby pożądane dla całego Kościoła otwarcie puszki Pandory: czy członkowie i biskupi Bractwa rzeczywiście byli subiektywnie przekonani o stanie konieczności i dlaczego.

EKUMENIZM (NIE) DLA KAŻDEGO

Jakkolwiek będzie i jakikolwiek byłby nasz stosunek do Bractwa, trzeba przyznać, że jest ono tym ziarnkiem piasku, na którym skutecznie zacina się machina modernizmu: Kościół nie widzi już w braciach odłączonych schizmatyków – chyba że chodzi o lefebrystów. Komunistyczna partia Chin może kreować nowe diecezje i nadawać de facto jurysdykcję biskupom – Bractwo nie może mieć biskupów pomocniczych dla zapewnienia krzewienia czystości wiary i tradycyjnego rytu Mszy. Można podważać w Kościele praktycznie wszystko, w tym 2000 lat Tradycji, ale nie można żądać korekty dwuznaczności, a nawet otwartych błędów nauczania ostatniego półwiecza. Aby być w Kościele, trzeba wyznawać pluralistyczną wolność dla wszystkich religii, która jednak w samym Kościele nie obowiązuje. W Kościele Chrystusowym trwają ponoć najróżniejsze religie rzekomo chciane przez Boga i prowadzące do zbawienia, piekło w zasadzie jest puste, ale Bractwo i jego wierni z pewnością są poza Kościołem i winni bardzo ciężkich przewinień przed Bogiem.

Na tym kabaretowym tle zaletami Bractwa są cierpliwość i wypróbowana jedność umożliwiająca trwanie w czasie. Dwoma prośbami warunkującymi podjęcie przez Bractwo rozmów mających uregulować jego status było uwolnienie tradycyjnej Mszy św. oraz wycofanie pierwszego dekretu o ekskomunice, które to prośby, mimo niesłychanych nacisków, zostały odważnie spełnione przez Benedykta XVI. Ponieważ papież ten uroczyście potwierdził prawo każdego kapłana i katolika do tego rytu, wszyscy uznający te skarby Tradycji mogą być Bractwu za tę pryncypialną postawę wdzięczni. Tym razem przełożony generalny Bractwa zapowiedział, że podstawą do przyszłych rozmów z Watykanem będzie wspomniane obszerne wyznanie wiary wobec błędów współczesności. Te rozmowy prędzej czy później nastąpią wobec prozaicznego faktu, że Bractwo pozostało po 1988 r. katolickie – co potwierdził sam Watykan – i takowe nadal pozostanie. Dobra wiadomość jest zatem taka, że w przyszłości możemy spodziewać się, tym razem, uwolnienia w Kościele nieskażonej ewolucjonizmem reguły wiary. To naprawdę nie będzie błaha przysługa dla Kościoła pochłoniętego w kolejnych odmętach synodalności i choćby z tego powodu należałoby te obrazoburcze konsekracje wymyślić.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 14333fb3fb

KSIĘGARNIA DO RZECZY



ZAPRASZAMY DO KSIĘGARNI DO RZECZY



KSIEGARNIADORZECZY.PL

eprasa.pl 14333fb3fb

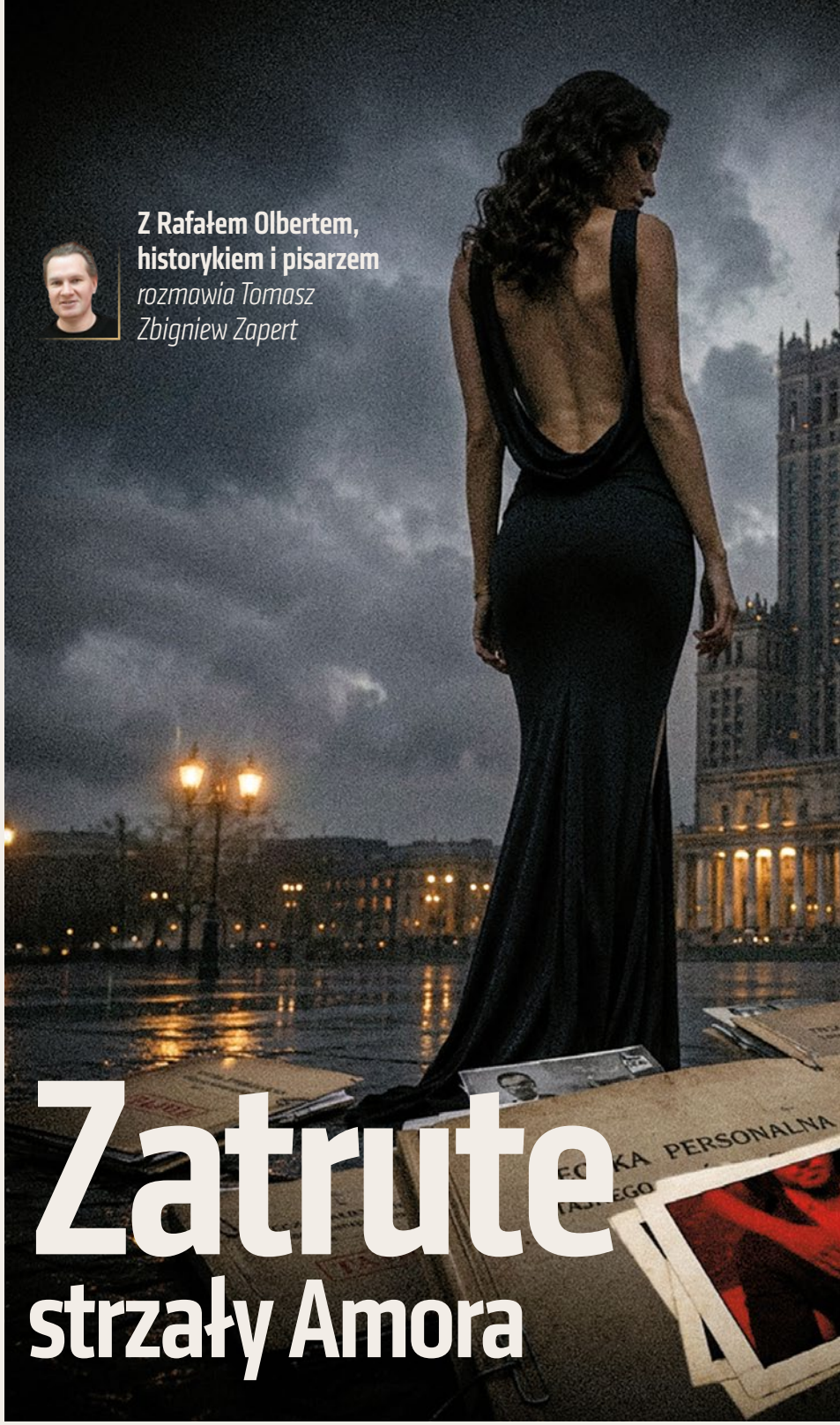

Zatrute strzały Amora

Z Rafałem Olbertem, historykiem i pisarzem
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Skąd rekrutowano w Polsce Ludowej seksagentki?

RAFAŁ OLBERT: Głównie ze środowiska ekskluzywnych prostytutek, otrzymujących od swoich zagranicznych klientów wynagrodzenie w zachodnich walutach – stąd potocznie określano je „dewizówkami". Były to kobiety cechujące się urodą, obyciem towarzyskim, znajomością języków obcych, a jednocześnie umiejące zachować dyskrecję. Wieloletni szef kontrwywiadu PRL, gen. Władysław Pożoga, nazwał je w swoich wspomnieniach „pogotowiem seksualnym" MSW. Oprócz dewizówek w zastawianiu pułapek miłosnych brały też niekiedy udział romansujące z dyplomatami kobiety, godzące się na współpracę z SB w zamian za różnorakie korzyści.

Czy – i ewentualnie jak – je szkolono? Czym wynagradzano?

Specjalistycznego szkolenia nie wymagały, doskonale potrafiły wykorzystać swoją atrakcyjność w celu uwiedzenia wyznaczonego mężczyzny. Czasami przygotowywano im odpowiednią legendę, co pozwalało dziewczynom wcielać się w różne role. Niekiedy też wysyłano je w parach, tak aby dyplomata mógł wybrać bardziej mu odpowiadającą. Profesjonalnemu instruktażowi wywiadowczemu poddawano kobiety wyjeżdżające z określonymi zadaniami za granicę, lecz takich przypadków było niewiele i zazwyczaj nic z takich działań nie wynikało. Pobierały wynagrodzenie za pomyślnie wykonane kombinacje operacyjne, czyli utrwalone na filmie lub na fotografiach pójście z cudzoziemcem do łóżka. Ale też nie wszystkie otrzymywały pieniądze – zarabiały tyle, że mogły czasem poświęcić się dla dobra Polski Ludowej. Najważniejsza dla seksagentek była swoboda w podróżowaniu za granicę. Ponadto współpraca z SB ułatwiała im wstęp do miejsc, w których mogły poznawać atrakcyjnych finansowo klientów, czyli do hoteli orbisowskich.

Miały za zadanie umożliwić PRL-owskim służbom specjalnym szantażowanie dyplomatów?

To była ich podstawowa rola, aczkolwiek trzeba podkreślić, że poza zastawieniem standardowej pułapki miłosnej często wymagano od dziewczyn dodatkowego zaangażowania. Szczególnie mile widziane przez SB było wplątanie dyplomatów w nielegalny handel dewizami, co wzmacniało siłę zgromadzonych materiałów kompromitujących. Znamy też przypadki szantażowania cudzoziemców rzekomymi ciążami ich kochanek – w razie potrzeby bezpieka potrafiła sporządzić metrykę chrztu nieistniejącego dziecka! Oprócz dyplomatów na ryzyko wpadnięcia w sekspułapkę byli narażeni inni obywatele państw zza żelaznej kurtyny, np. dziennikarze, naukowcy, biznesmeni…

eprasa.pl 14333fb3fb



FOT. ZDJĘCIE WYGENEROWANE ZA POMOCĄ SZTUCZNEJ INTELIGENCJI/12 KREDEK

Uwodziły jedynie reprezentantów państw – używając terminologii ancien régime'u – imperialistycznych?

Kontrwywiad PRL-owski koncentrował uwagę na nich, ale i przedstawiciele krajów komunistycznych skonfliktowanych z Moskwą na tle ideologicznym nie mogli czuć się w Polsce Ludowej bezpiecznie. Szczególnie dotyczyło to Albańczyków, wspierających działalność nielegalnej Komunistycznej Partii Polski pod przewodnictwem Kazimierza Mijala.

Korzystały z łóżek w lokalach operacyjnych i hotelach?

Hotele orbisowskie dysponowały pulą pokojów, gdzie umieszczano gości pozostających w szczególnym zainteresowaniu służb. Agentura ulokowana wśród personelu placówki dbała o to, by konkretnemu obcokrajowcowi przydzielono kwaterę wyposażoną w ukryty podgląd. Jednak do działań werbunkowych wykorzystywano głównie będące własnością SB mieszkania konspiracyjne. Starano się, żeby były one wyposażone tak jak standardowe lokale w tamtym czasie. Seksagentki zapraszały kochanków do tych mieszkań, przekonując, że nagłym zrządzeniem losu otrzymały klucze od koleżanki lub krewnej, która wyjechała za granicę. Gdy obcokrajowiec zdążył się już przyzwyczaić do nowego miejsca, przystępowano do działania. Kilku smutnych panów przerywało randkę, dyskretnie wyprowadzano dziewczynę za drzwi, po czym przystępowano do rozmowy werbunkowej. Oprócz autentycznych kompromatów w postaci zdjęć i filmów – ukazujących dyplomatę w sytuacjach intymnych z kochanką – wykorzystywano też materiały spreparowane. Klejnotem w koronie były w tym przypadku przedmioty przywiezione przez cudzoziemca z Zachodu, w których „ujawniano" przemyślnie schowane narkotyki.

Nieobce były im poufny handel – nierzadko dewizami – oraz kontrabanda?

Służba Bezpieczeństwa w odniesieniu do kompromatów działała według zasady: im więcej, tym lepiej. Dlatego też samo udokumentowanie romansu dyplomaty z agentką uznawano za niewystarczające do podjęcia próby werbunku. Starano się wzmocnić posiadane haki obyczajowe poprzez wplątanie cudzoziemca w przeprowadzanie transakcji walutowych na dużą skalę. Mieszkanie konspiracyjne, w którym spotykali się kochankowie, legendowano jako melinę przestępczą, w której handlowano narkotykami lub kradzionymi antykami. Bezpieka sporządzała fałszywe akta śledcze, mające przekonać obcokrajowca, w jak poważne sprawy się zaangażował. Wszystko to służyło zwiększeniu presji i wywarciu na potencjalnym współpracowniku wrażenia, że tylko udzielenie pomocy kontrwywiadowi PRL uratuje jego karierę dyplomatyczną.

Skuteczność PRL-owskich seksagentek zdaje się potwierdzać tytuł szlagieru z repertuaru Andrzeja Rosiewicza: „Najwięcej witaminy mają polskie dziewczyny"...

Niewątpliwie odgrywały kluczową rolę w niekiedy skomplikowanych operacjach wymierzonych w zagranicznych dyplomatów. Zdobyte dzięki nim kompromaty stanowiły dla kontrwywiadu PRL główny atut podczas prowadzonych z cudzoziemcami rozmów werbunkowych. Bezpieka zdawała sobie sprawę, że bardzo niewielu obcokrajowców zgodzi się na współpracę z powodu uwielbienia dla realnego socjalizmu. Argument finansowy też odpadał, bo objęci immunitetem dyplomaci mogli czerpać zyski z wymiany walut albo np. wywozu dzieł sztuki. Pozostawał szantaż obyczajowy. Na Zachodzie doskonale zdawano sobie sprawę z tego zagrożenia, przestrzegając wyjeżdżających do demoludów przed czyhającymi na nich pułapkami miłosnymi.

A zdarzyły się romanse oficerów prowadzących ze swymi podopiecznymi?

Niewykluczone, lecz nie oczekujmy, aby zachowały się jakiekolwiek relacje na ten temat. Janusz Głowacki w swojej autobiografii „Z głowy" pisał w dość obcesowy sposób o rzekomych intymnych relacjach esbeków z agentkami prostytutkami, lecz trudno zweryfikować te rewelacje. Natomiast zdarzyło się, że pewien oficer kontrwywiadu przystał na jednoznaczną propozycję zwerbowanej przez siebie sekretarki z ambasady RFN. Romansował z Niemką, skrupulatnie opisując relację w notatkach służbowych, aż w końcu – ku wyraźnemu niezadowoleniu kobiety – został odsunięty od kontaktów z nią. Inny esbek planował ucieczkę na Zachód ze swoją kochanką z ambasady Austrii. Gdy wyszło to na jaw, zwolniono go ze służby.

eprasa.pl 14333fb3fb

Istniała komórka szpiegowska zajmująca się mniejszościami seksualnymi?

Nie było oddzielnego wydziału, choć dyplomaci o skłonnościach homoseksualnych również byli narażeni na szantaż obyczajowy. Może tylko w nieco mniejszym stopniu niż ich heteroseksualni koledzy, gdyż służby specjalne PRL nie posiadały odpowiedniej liczby agentów ze środowiska gejowskiego, którzy byliby gotowi do uczestnictwa w prowokacji. Niemniej bezpieka przeprowadzała tego typu operacje wobec homoseksualistów, niekiedy zarzucając im utrzymywanie stosunków seksualnych z nieletnimi. Jeśli chodzi o lesbijki, to pola do popisu zabrakło – przypadek dyplomatki amerykańskiej podejrzewanej o skłonności homoseksualne nie znalazł potwierdzenia w rzeczywistości.

Przywołuje pan przypadki Zbigniewa Brzezińskiego, Jacka Kuronia i Jana Kułaja...

Pierwszy z nich gościł w PRL w 1966 r. jako pracownik Departamentu Stanu USA. Jedna z gwiazd „pogotowia seksualnego" MSW twierdziła po latach, że próbowała go wówczas bezskutecznie usidlić, niemniej zachowane materiały kontrwywiadu nic nie mówią o żadnej tego typu aktywności wobec Brzezińskiego. Inna z pań wykorzystywana do zastawiania pułapek miłosnych na cudzoziemców podjęła po latach pracę barmanki w Hotelu Polonia. Wówczas rzekomo nawiązała znajomość z Jackiem Kuroniem i zobowiązała się informować SB o każdym z nim spotkaniu, ale nie wydaje się, by złożyła na ten temat chociaż jeden donos. Natomiast dawnemu przywódcy rolniczej Solidarności rzeczywiście planowano podstawić seksagentkę, gdy w czasie stanu wojennego przyjechał do jednego z podwarszawskich hoteli. SB zaangażowała wówczas dwie panie. Bez powodzenia, Kułaj nie chciał zawrzeć bliższej znajomości z żadną z nich. Były jednak na niego inne haki, m.in. związane z pobieraniem pieniędzy od oficerów bezpieki, toteż jego ewentualne zaangażowanie opozycyjne skutecznie zneutralizowano.

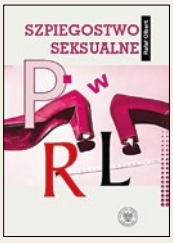

RAFAŁ OLBERT „SZPIEGOSTWO SEKSUALNE W PRL" IPN 2026

Współpracę delatorską proponowano też aktorkom, choćby Elżbiecie Czyżewskiej, Bożenie Dykiel i Beacie Tyszkiewicz. Z jakim skutkiem?

Czyżewska w polu zainteresowania kontrwywiadu znalazła się poprzez znajomość z pewnym amerykańskim dyplomatą. Przedstawioną propozycję współpracy z SB stanowczo odrzuciła. Mniej asertywna okazała się Bożena Dykiel, niemniej jej kontakty z bezpieką zakończyły się po upływie roku, kiedy została uznana za „uciążliwą jednostkę agenturalną". Zdecydowanie odmówiła udziału w jednej z operacji kontrwywiadu wymierzonej w znanego jej dyplomatę z RFN. Z kolei Beata Tyszkiewicz przez kilka lat udzielała bezpiece informacji o znanych jej zagranicznych dyplomatach, choć oficer prowadzący narzekał, że kontakt z obciążoną licznymi obowiązkami zawodowymi aktorką często był utrudniony.

Na czym polegała tajna działalność żony reżysera Jerzego Hoffmana?

Walentyna Hoffman była jedną z nielicznych, mówiąc dzisiejszym językiem, celebrytek, wykorzystywaną z powodzeniem w zastawianiu pułapek miłosnych na cudzoziemców. W latach 60. zdobyto dzięki niej materiały kompromitujące pewnego Francuza i pewnego Turka. W późniejszym czasie kontakty z TW „Basią" były dość chaotyczne. Prawdopodobnie bezpieka zrezygnowała z udziału osób z kręgu socjety w zbieraniu kompromatów na obcokrajowców. Agentki ze środowiska prostytutek były mniej kłopotliwe we współpracy.

Jedna z opisanych stała się „Żoną dla Australijczyka", że przypomnę tytuł komedii Stanisława Barei?

Strażnicy zachodnich ambasad od lat znajdowali się na celowniku kontrwywiadu. Ich werbunek umożliwiał rozpoznanie systemów zabezpieczenia i wgląd w przechowywaną w placówce dokumentację. W latach 70. jedna z pań sprzątających w ambasadzie australijskiej nawiązała romans z szefem jej ochrony. Bezpieka wykorzystała tę okazję do wykonania kochankom zdjęć i filmów w mieszkaniu konspiracyjnym. Pozyskane w ten sposób kompromaty posłużyły do werbunku strażnika, który przyjął pseudonim Rafa. Współpraca jednak nie trwała długo. Jego żona dowiedziała się o romansie i zgłosiła ten fakt Australijczykom. „Rafa" wkrótce został odwołany do ojczyzny, po czym przeszedł na emeryturę. Planował przyjazd do PRL, lecz nie wiadomo, czy doszło do jego ślubu z Polką.

Inna z postaci z pańskiej książki zapisała się w annałach sportu.

Lelio Lattari spędził w PRL niemal dwie dekady. Na początku lat 60. próbował odnieść sukces w roli piosenkarza, ostatecznie poszedł w ślady ojca i znalazł pracę w ambasadzie włoskiej. Dorabiał do pensji poprzez obrót dewizami, uzyskując milionowe dochody. Pieniądze wydawał na kobiety, które zmieniał niczym rękawiczki, oraz samochody sportowe. Jego kariera kierowcy rajdowego i wyścigowego obfitowała w sukcesy z tytułami mistrza Polski na czele.

Bezpieka prowadziła na niego sprawę o kryptonimie Fircyk, ale przez długi czas nie mogła znaleźć punktu zaczepienia pozwalającego nawiązać poufne kontakty z Lattarim. Okazja nadarzyła się, gdy podczas prywatki, w której uczestniczył, zmarł – w wyniku nieszczęśliwego wypadku – niejaki „Słoń", czołowa postać warszawskiego półświatka. Przesłuchujący Włocha na tę okoliczność oficer kontrwywiadu próbował zachęcić go do współpracy agenturalnej, lecz kandydat odmówił. Ostatecznie pod koniec lat 70. został wydalony z Polski, SB przestała tolerować jego nieobyczajne zachowanie.

Znaczna część seksagentek opuściła kraj?

Opisywane przeze mnie mogły bez trudu wyjechać z PRL, bezpieka nie stawiała im w tym względzie żadnych przeszkód. Wiele z nich znalazło mężów pochodzących z Zachodu i postanowiło rozpocząć nowe życie, pozostawiając za sobą balast niechlubnej przeszłości.

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone



Rafał Olbert – historyk, pracownik wrocławskiego oddziału Instytutu Pamięci Narodowej, autor licznych publikacji, m.in. najnowszej pt. „Szpiegostwo seksualne w PRL".

eprasa.pl 14333fb3fb



KOMUCHOŻERCA

Ubek z „Wyborczej”

LESZEK ŻEBROWSKI

Wiktor Herer był typowym ubekiem z komunistyczną przeszłością. Przed wojną działał w nielegalnej młodzieżówce (KZMP ZU) we Lwowie. Z racji powiązań towarzysko-rodzinnych był członkiem tajnej komórki pod opieką Julii Brystiger, wraz z jej synem Michałem, Adamem Schaffem, i innymi. Podczas okupacji Lwowa przez Sowietów był oczywiście kolaborantem. W „ludowym” WP był politrukiem. Już w 1945 r. trafił do Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego pod czułą opiekę Brystigerowej („Krwawej Luny”), bardzo szybko się piął. Jego „zasługi” są oczywiste – zajmował się m.in. żołnierzami Batalionu „Zośka”, ale też innymi środowiskami niepodległościowymi. To w jego ręce w śledztwie trafił legendarny por. Jan Rodowicz „Anoda”, który po dwóch tygodniach intensywnych przesłuchań już nie żył. Bezpieka szybko spreparowała wersję o jego samobójstwie. Herer dosłużył się stopnia podpułkownika UB, został szefem jednej z najważniejszych komórek śledczych. Sam podobno w śledztwach nie bił. Ale od czego miał podległy mu aparat?

Równolegle ze służbą w resorcie studiował ekonomię (w trybie ubeckim?) w Szkole Głównej Handlowej. W 1952 r. został przeniesiony do aparatu gospodarczego i Instytutu Kształcenia Kadr Naukowych przy KC PZPR. Specjalizował się w ekonomice rolnictwa. Czyżby dlatego, że bardzo wiele ofiar jego resortu trafiło do ziemi?

W 1968 r., podczas kampanii marcowej, stracił wiele stanowisk, ale w wiadomym stylu. Karierę naukową kontynuował bowiem bez przeszkód, szybko zostając profesorem. Ale to wszystko nic. Wybuch jego ciekawej kariery nastąpił wraz z powstaniem Solidarności.

Z rekomendacji samego Jacka Kuronia został bowiem doradcą Komisji Krajowej! Publikował już nie w prasie resortowej, ale w „Tygodniku Solidarność”, pod opieką Tadeusza Mazowieckiego. Rozpoznany został podczas obrad Komisji Krajowej przez Wiesława Chrzanowskiego (którego Herer przesłuchiwał osobiście), posady nie stracił. Parasol nad sobą miał mocno rozpięty. Osławił się przede wszystkim poniższym powiedzeniem. Na pytanie więźnia: „Dlaczego nas tak prześladujecie i robicie z nas zdrajców?” odpowiedział: „Zadaniem naszym jest nie tylko zniszczyć was fizycznie, ale my musimy zniszczyć was moralnie w oczach społeczeństwa”. Okazało się to niezwykle skuteczne i trwa do dziś, choćby w postawie marszałka Sejmu Włodzimierza Czarzastego, który z Żołnierzy Wyklętych robił „złodziei, morderców, gwałcicieli i świnie”.

Koniec kariery Herera był znamienny – został publicystą… „Gazety Wyborczej”. Czy to dziwne? Przecież nie on jeden. ©℗



HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Armia Ludowa w powstaniu

SŁAWOMIR KOPER

Siły komunistów w czasie sierpniowego zrywu były niewielkie. Z zachowanych dokumentów wynika, że przed wybuchem insurekcji w szeregach AL w stolicy znajdowało się niespełna 400 osób, których uzbrojenie było jeszcze słabsze niż żołnierzy AK. Funkcjonował jednak elitarny batalion „Czwartaków” (w liczbie niepełnej kompanii) dowodzony przez Lecha Kobylińskiego („Konrada”). Jego członkowie mieli już pewne doświadczenie bojowe, choć zajmowali się również wymuszeniami rozbójniczymi w stolicy.

Wybuch powstania spowodował skokowy wzrost liczebności AL. Trafiali tam bowiem ludzie, którzy nie orientowali się w ideologii, a chcieli walczyć. Ponadto przyjęto też rozbitków z Żydowskiej Organizacji Bojowej, co nie zmienia sytuacji, że większość członków AK w ogóle nie zdawała sobie sprawy z istnienia Armii Ludowej. Dodatkowym problemem w obliczeniu liczby czerwonych powstańców było rozdrobnienie środowisk lewicowych. Z tego powodu zdarzyło się, że zaliczono do AL kilku członków prawicowej organizacji Miecz i Pług, których ze względu na nazwę wzięto pomyłkowo za komunistów. Podobny błąd uczynił zresztą po wojnie młody Ryszard Kukliński chcący się wykazać kombatancką przeszłością. Pomyłka omal nie kosztowała go kariery wojskowej.

Teoretycznie w połowie września doszło do konsolidacji z AL kilku innych lewicowych organizacji (w tym Polskiej Armii Ludowej) i do kuriozalnej sytuacji. Większość tzw. Połączonych Sił Zbrojnych pod względem wojskowym uznawała zwierzchnictwo AK, ale w sprawach politycznych popierała komunistów z PKWN.

Zdarzało się jednak, że członkowie PSZ walczyli w kompaniach Armii Krajowej, a zresztą w kolejnych tygodniach powstania panował coraz większy zamęt. 26 sierpnia 1944 r. została zburzona bombami lotniczymi kamienica przy Freta 16, gdzie zginął cały sztab AL. Po tym wydarzeniu część komunistycznych oddziałów (ok. 300 osób) zeszła ze stanowisk i „rzuciła się do kanałów”, przechodząc na Żoliborz. Odizolowano tam ich, traktując jak dezerterów, a kilkudziesięciu innych przebiło się do Puszczy Kampinoskiej.

Bez wątpienia rola członków AL walczących w powstaniu była marginalna, a najlepiej to podsumował Stanisław Likiernik („Staszek”), który przeszedł cały szlak powstańczy i po latach wyrażał zdziwienie, że żołnierzy AL miało być aż kilkuset: „Moim zdaniem zdecydowanie mniej, kilkudziesięciu, może stu. Ja ich nie spotkałem ani razu. Po powstaniu rzeczywiście o nich czytałem, ale w trakcie walk nie miałem z nimi kontaktu.

[…] Dajcie mi spokój z tymi komunistami. Zawracanie głowy!”. ©℗

eprasa.pl 14333fb3fb



Z Julią Mendel, byłą rzecznik prasową prezydenta Ukrainy Wołodymyra Zełenskiego
rozmawia Maciej Pieczyński

Zełenski zrobił z Ukrainy małą Rosję



MACIEJ PIECZYŃSKI: Pani zdaniem większość Ukraińców nie popiera kultu Bandery i Szuchewycza. Jednocześnie twierdzi pani, że Wołodymyr Zełenski nazwał jeden z oddziałów wojskowych imieniem „Bohaterów UPA", ponieważ uznał, że będzie to dobry chwyt PR-owski...

JULIA MENDEL: Gloryfikacja UPA to jeden z dowodów na to, jak bardzo Zełenski i jego ludzie są oderwani od rzeczywistości. Władza zajmuje się sobą, a tymczasem naród ledwo wiąże koniec z końcem. Zełenski pochodzi z Krzywego Rogu [czyli z rosyjskojęzycznego południowego wschodu Ukrainy – przyp. red.] i jestem przekonana, że banderowcy nigdy nie byli dla niego bohaterami. Ich kult jest większości Ukraińcom narzucany.

To po co Zełenskiemu kult UPA, skoro ten kult – jak pani przekonuje – nie cieszy się popularnością na Ukrainie?

Ukraińcy jako społeczeństwo nie są radykalni, wyznają raczej centroprawicowe poglądy. Problem w tym, że nacjonalizm jest ideologią ukraińskiej elity politycznej. Zełenski zaczął naśladować swojego poprzednika – Petra Poroszenkę. Wtedy po raz pierwszy w jego ustach wybrzmiało hasło „Sława Ukrainie". Ten sam Zełenski, który szedł do wyborów z hasłem pokoju, obrał kurs na radykalizm. Dziś popiera kult UPA, ponieważ z nacjonalizmem na sztandarach łatwiej prowadzi się wojnę. A tylko wojna pozwala Zełenskiemu trwać u władzy. Na zachodzie Ukrainy są ludzie, dla których Bandera i Szuchewycz to bohaterowie. Jednak większość Ukraińców żyje w centrum, na północy, południu i wschodzie kraju, gdzie nacjonalizm postrzegany jest albo neutralnie, albo negatywnie.

Ukraina cierpi z powodu samobójczej polityki Zełenskiego, który zepsuł nasze relacje z Polską. Od momentu odzyskania niepodległości nasze kraje zrobiły wiele, by znaleźć wspólny język. Efektywny dialog prowadzili Łeonid Kuczma i Aleksander Kwaśniewski. Warszawa uznała wielki głód na Ukrainie za ludobójstwo. Polacy przyjmowali ukraińskich uchodźców – w 2014 r. i podczas obecnej wojny...

Czy pani zdaniem Ukraina powinna uznać zbrodnię wołyńską za ludobójstwo?

Bez przyznania się do błędów przeszłości nie da się budować przyszłości. Ukraińska klasa polityczna w obecnym kształcie, zdegenerowanym przez wojnę, nie jest zdolna do takiej autorefleksji. Kijów powinien zrobić wszystko, co w jego politycznej mocy, aby polepszyć relacje z Polską. To dla mojego kraju sprawa życia i śmierci.

Czy według pani Wołyń to ludobójstwo?

To jest trudna historia. Z jednej strony banderowcy walczyli z reżimem stalinowskim i w tym celu tymczasowo kolaborowali z niemieckimi nazistami.

eprasa.pl 14333fb3fb



FOT. MATEUSZ GROCHOCKI/DDTVN/EAST NEWS

Tylko wojna pozwala Zełenskiemu trwać u władzy

Z drugiej strony, dokonali zbrodni na Polakach. Dlatego heroizacja UPA jest dla mnie niedopuszczalna.

W wywiadzie dla Tuckera Carlsona opowiadała pani, że Zełenski powtarza frazy: „Ukraina nie jest gotowa na demokrację" oraz „dyktatura oznacza porządek". Początkowo Zełenski był uważany za dyletanta i marionetkę oligarchy Ihora Kołomojskiego. Jeśli przyjąć, że dziś jest dyktatorem, to znaczy, że wbrew prognozom okazał się zdolnym i skutecznym politykiem?

Polityk jest skuteczny wtedy, kiedy jego polityka jest wdrażana. Tymczasem na Ukrainie panuje absolutny chaos. Zełenski nie ma programu, poza trzymaniem się kurczowo przy władzy. Na pewno dobrze się nauczył wypraszać od zachodnich partnerów pieniądze, które potem są inwestowane w biznesy jego przyjaciół. Ma talent nie tyle polityczny, ile aktorski. Świetnie gra lidera, którym nie jest. Cała jego polityka ogranicza się do sprawnego PR. Rzeczywiście, Kołomojskiego pokonał. Zdradzę panu tajemnicę: nie tylko jego. Pierwsze większe pieniądze, jako szef kabaretu Kwartał 95, wyprosił od inwestorów. W tym od prorosyjskiego oligarchy Wiktora Medwedczuka. Bez jego pomocy na początku lat 2000. nigdy nie zostałby gwiazdą telewizji. W żadnym razie nie bronię ani Kołomojskiego, ani Medwedczuka. Jednak historie współpracy Zełenskiego z tymi oligarchami pokazują, jak on traktuje ludzi [obaj za jego prezydentury zostali aresztowani – przyp. red.]. Nie ma znaczenia, czy to przyjaciele czy partnerzy biznesowi. Zełenski wykorzystuje ludzi, wysysa z nich to, co mogą mu dać, a potem porzuca.

Zełenski w kampanii wyborczej obiecywał, że zaprowadzi pokój. Ostatecznie, jak to ujął publicysta Ołeksij Panycz, szermujący hasłem wojny i patriotyczną retoryką Poroszenko okazał się prezydentem pokoju, a obiecujący pokój Zełenski został prezydentem wojny, bo zaczął zwalczać prorosyjskie środowiska, wskutek czego Putin stracił nadzieję na polityczny podbój Ukrainy, więc postawił na militarny. Co poszło nie tak? Dlaczego Zełenski zrezygnował z prób porozumienia z Rosją?

Nie będę usprawiedliwiać Putina. To szaleństwo wysyłać czołgi na stolicę sąsiedniego państwa w XXI w. Putinowskie drony urządzają polowania na ludzi. Putinowskie bomby spadają na nasze domy. Żołnierze Putina wtargnęli na ukraińską ziemię. To naprawdę bardzo okrutna, krwawa wojna. Gdy krytykuję Zełenskiego, często słyszę, że w ten sposób staję po stronie Rosji…

Na Ukrainie przez wielu postrzegana jest pani jako „prorosyjska propagandystka". Ale rozumiem, że podpisuje się pani pod stwierdzeniem: „Rosja napadła na Ukrainę, Rosja to agresor, nie odwrotnie"?

Oczywiście! To Putin rozpętał tę wojnę. Inna sprawa, że władze Ukrainy, podobnie jak niektóre siły na Zachodzie, tę wojnę chcą kontynuować. Tymczasem naród ukraiński modli się o pokój. Zełenski popełnił mnóstwo błędów. Nie miał żadnego doświadczenia. Zdradzę panu kolejny sekret: kiedy latem 2019 r. Zełenski doszedł do władzy, początkowo nawet nie wiedział, że Stany Zjednoczone dostarczają Ukrainie pomoc wojskową. Pewien jego przyjaciel powiedział mi wtedy: „Julia, my byliśmy zwykłymi producentami [z branży rozrywkowej – przyp. red.], nie mieliśmy pojęcia, jak rządzić". Zełenski po prostu obiecał Ukraińcom, że spełni ich życzenia. Chcieli pokoju, więc obiecał pokój. A wtedy, w 2019 r., miał naprawdę doskonałe wyczucie nastrojów społecznych. Grał na scenie przez 20 lat. Potrafił mówić ludziom to, co chcą usłyszeć. Dlatego wygrał. Wydawało mu się, że spełnienie obietnicy jest możliwe. A potem, gdy okazało się, że doprowadzenie do pokoju jest trudniejsze, niż myślał, znów postanowił sprostać oczekiwaniom społecznym. Zobaczył, że nacjonaliści protestują przeciwko jego planom porozumienia z Moskwą. Zrobiło mu się przykro. Bał się, że straci popularność. Wszedł więc w buty nacjonalisty.

Podczas szczytu normandzkiego obiecał Putinowi, że Ukraina nie wejdzie do NATO. A jak Joe Biden został prezydentem USA, Zełenski nagle zmienił zdanie i zaczął ostentacyjnie pchać Ukrainę do NATO. Więcej w tym było PR niż realnej polityki. Chodziło o to, by obiecywać wejście do NATO, choć było oczywiste, że – po pierwsze – to rozdrażni Rosję, po drugie, sam sojusz nie jest chętny, by nas przyjąć. A po trzecie, Zełenski nie robił nic, aby Ukrainę zreformować i dostosować do wymogów stawianych kandydatom. Zamiast tego tylko krzyczał na cały świat, że „chce do NATO". A tymczasem na krajowym podwórku zajmował się pielęgnowaniem schematów korupcyjnych, co stoi w jawnej sprzeczności z zachodnimi standardami.

O tym, jak Zełenski obiecał Putinowi, że Ukraina nie wejdzie do NATO, też mówiła pani u Carlsona. Tymczasem doradca Zełenskiego do spraw komunikacji Dmytro Łytwyn odniósł się do tych pani rewelacji następująco: „Ta dama nie brała bezpośredniego udziału w negocjacjach, nie uczestniczyła w podejmowaniu decyzji. Ona już dawno nie jest sobą, a kto jej tam coś opowiada i czy to w ogóle wydarzyło się naprawdę – nie ma sensu tego komentować".

Za to Łytwyn w negocjacjach z Putinem w 2019 r. nie tylko nie uczestniczył

eprasa.pl 14333fb3fb

– on wtedy jeszcze nawet nie pracował u Zełenskiego. Dima robi zawrotną karierę, zuch z niego! Szkoda, że zarabia na krwi Ukraińców – przykładając rękę do kontynuacji wojny. Dobrze by było, gdyby się ocknął i zrozumiał, co robi. A tak w ogóle to do pracy w Biurze Prezydenta Łytwyn dostał się dzięki mojej rekomendacji. Doradca głowy państwa, który krytyków swojego szefa nazywa wariatami, nie wystawia sobie najlepszego świadectwa. Na tej wojnie korzysta tylko niewielka grupa ludzi. Dima Łytwyn należy do tej grupy. Jest beneficjentem wojny, ponieważ jest głównym PR-owcem Zełenskiego. Czyli człowieka, który kontynuuje tę wojnę, żeby dłużej pozostać u władzy, żeby strumienie pieniędzy płynęły do firm, które on wskaże.

W 2019 r. i Zełenski, i Łytwyn występowali po stronie pokoju. A teraz im wygodnie mówić, że całą winę za tragedię Ukrainy ponosi Putin. A ja powiem tak: winą Putina jest, że rozpętał wojnę, ale ukraińskim władzom wygodnie jest ten konflikt dalej prowadzić. Podobnie jak niektórym siłom na Zachodzie. 24 sierpnia będziemy świętować 35. rocznicę niepodległości Ukrainy. Jako Ukrainka wątpię, czy mój kraj przetrwa kolejne 35 lat, jeśli wojna będzie kontynuowana. W 1991 r. było nas 52 mln. Dziś, według najbardziej optymistycznych szacunków, od 20 mln do 25 mln. W 35 lat Ukraina straciła połowę ludności. Spośród tych, którzy zostali w kraju i przeżyli, ok. 12 mln to emeryci lub inwalidzi. Jeśli od tego odjąć jeszcze dzieci przed 18. rokiem życia, to zostanie niewielu zdolnych do pracy lub walki. Powiedzmy: 4 mln mężczyzn, z których część już jest na froncie. A w Rosji mężczyzn między 18. a 60. rokiem życia jest 38–42 mln. Już na poziomie matematyki widać wyraźnie, że nie damy rady pokonać agresora. Wysłać 4 mln mężczyzn do walki z 40 mln to samobójcza polityka. Na domiar złego Zełenski przekształcił Ukrainę w małą Rosję, depcząc demokrację. A skoro tutaj mamy dyktaturę i tam mamy dyktaturę, to w imię czego ludzie mają ginąć na froncie?

Jest mi przykro. Często płaczę z tego powodu. Uważam, że kontynuowanie tej nieludzkiej wojny to potworność, za którą odpowiada również Zachód, bo nie chce jej zakończyć. Tymczasem Ukraińcy nie chcą ginąć za kraj, który nie daje im ani ideowej motywacji (bo zdławił demokrację), ani finansowej motywacji (bo żołnierze słabo zarabiają). W 2022 r. sama błagałam Zachód: „Pomóżcie Ukrainie! Musimy walczyć". Ale jest 2026 r. Dziś na Ukrainie trudno żyć nie tylko z powodu Putina, lecz także z powodu Zełenskiego. To nie Putin winien jest korupcji, zamykania granic czy przymusowej mobilizacji…

Gdyby Putin nie napadł na Ukrainę, nie byłoby przymusowej mobilizacji.

Można było przeprowadzić mobilizację w mniej brutalny sposób, stworzyć finansową motywację do zaciągania się do wojska. Tak jak to zrobiła Rosja. Według ukraińskiego rzecznika praw obywatelskich 93 proc. schronów przeciwlotniczych nie spełnia podstawowych standardów. W piątym roku wojny ludzie nie mają dokąd uciekać! Kładą się spać, nie wiedząc, czy się obudzą. Jeden z wielu skandali korupcyjnych na Ukrainie polegał na tym, że skradziono 120 mln dol. – sumę przeznaczoną na obronę infrastruktury energetycznej. W czasie gdy żołnierze walczą na froncie w obronie swoich rodzin, ich rodziny pozostają bezbronne wobec rosyjskich ataków.

Zełenski nie ma programu, poza trzymaniem się kurczowo przy władzy. Na pewno dobrze się nauczył wypraszać od zachodnich partnerów pieniądze, które potem są inwestowane w biznesy jego przyjaciół

Pani zdaniem Ukraina powinna wziąć przykład z Finlandii, która oddała terytorium, ale zachowała niepodległość. Jednak według wielu ekspertów ewentualne przerwanie ognia będzie jedynie pauzą. Rosja prędzej czy później znów zaatakuje.

To tak, jakby powiedzieć ludziom: „Umrzyjcie teraz, żeby nie umrzeć potem, gdy Rosja znowu was napadnie, o ile napadnie". Jestem przekonana, że ponowna inwazja Rosji będzie zależeć od tego, jaką politykę będzie prowadzić następca Zełenskiego.

A jaką politykę Ukraina powinna prowadzić, by uniknąć agresji? Uległą wobec Rosji?

Dyplomatyczną. Sam pan powiedział, że Poroszenko, wbrew swojej retoryce, był prezydentem pokoju. Potrafił utrzymywać balans, zachowując suwerenność kraju i nie drażniąc Putina. Jestem wobec Poroszenki bardzo krytyczna, ale to trzeba mu oddać. Jeśli przyszły prezydent będzie rozumiał dyplomację, gospodarkę i geopolitykę, a przy tym będzie pokojowo nastawiony, to nie dojdzie do kolejnej wojny.

Według pani relacji przed kamerami Zełenski gra pluszowego misia, podczas gdy w rzeczywistości to agresywny niedźwiedź grizzly, który niszczy ludzi. Jakim jest człowiekiem w kontakcie osobistym?

Cały wizerunek Zełenskiego jest grą. Jego emocje przed kamerami są udawane. Polityka jest dla niego sceną. Gdy na nią wychodzi, mówi to, co powinien. A po wyłączeniu kamer o tym zapomina. Jest hedonistą. Zawsze rozkoszował się życiem. Nie jest empatyczny. Wojna to dla niego praca. Nie wczuwa się w nią, nie współczuje ludziom. Jest bardzo nerwowy. Wiele rzeczy go drażni. Jego nastrój czasem zmienia się kilka razy w ciągu godziny. Podejmuje decyzje, a potem o nich zapomina. Jest chaotyczny i drażliwy. Współpracownicy się go boją, bo łatwo traci cierpliwość.

Kiedyś chwaliła pani Zełenskiego, nazywając go chociażby wielkim marzycielem albo jednym z najbardziej wpływowych ludzi na świecie, a teraz ostro go pani krytykuje. Skąd ta zmiana?

Odpowiem pytaniem: A jak bardzo zmieniła się wojna? Jak bardzo się przeciągnęła? Jak ewoluowały nastroje społeczne? Jak bardzo zmienił się sam Zełenski? Jak można było nie zmienić stosunku do niego? Przez dwa lata byłam jego rzecznikiem prasowym. W tym czasie nie istniała Julia Mendel. Rzecznik zawsze jest głosem swojego szefa. Owszem, po zakończeniu współpracy wciąż pozytywnie się o nim wypowiadałam. Ale wszystko zmieniła wojna i to, w jaki sposób ją prowadzi. Jest jej beneficjentem. Doskonale rozumie, że nie wygrałby wyborów. Dopóki trwa wojna, dopóty nie musi podejmować z góry przegranej walki o reelekcję.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 14333fb3fb



FOT. KHAOSDOENGLISH.COM

WYWRÓCONY SKUTER

Francuska rodzina została uratowana po 16 godzinach przebywania na morzu u wybrzeży Tajlandii. Pięćdziesięcioletni mężczyzna z dwoma synami w wieku siedmiu i pięciu lat wynajął skuter wodny na Koh Samui. Po kwadransie płynięcia nim pojazd się przewrócił. Trzech Francuzów dryfowało ponad 16 godzin, trzymając się wywróconego skutera. Wreszcie ich znaleziono. Zostali przewiezieni do szpitala, a następnie z niego wypisani. Trwa dochodzenie, czy nie wypłynęli poza dozwoloną strefę.

AI RATUJE ŻYCIE

Czy sztuczna inteligencja może zapobiec morderstwu i samobójstwu? Okazuje się, że tak. W Brazylii rozmowy z ChatGPT doprowadziły do aresztowania mężczyzny podejrzanego o planowanie zabójstwa ośmioletniego syna i samego siebie. Niedoszły morderca i samobójca chciał uniknąć płacenia alimentów i nie miał relacji z synem. Pytania, które zadawał AI, spowodowały, że ChatGPT uruchomił alarm i powiadomił policję o zagrożeniu. Mężczyzna został aresztowany dzień przed planowaną zbrodnią.

LALKA ZAMIAST TRUPA

Jakiś czas temu policja australijska dokonała odkrycia, które początkowo zakrawało na makabrę. Znaleziono walizkę, a w niej – jak przypuszczano – ludzkie zwłoki. Okazało się jednak, że zawartość bagażu nie była ludzkiego pochodzenia. Do walizki włożono... do złudzenia przypominającą człowieka lalkę. Policja poinformowała, że lalka była ubrana i miała sztuczne włosy oraz kolczyk w nosie. Dodano również, że „przedmiot nosił ślady przypominające siniaki i otarcia".

LEPIEJ PÓŹNO

Do biblioteki w Kiama (Australia) wróciła książka o klasycznej greckiej architekturze, która została wypożyczona... 150 lat temu. Przez dziesięciolecia była przechowywana w skrzyni na herbatę, ukrytej za zabitym deskami kominkiem. Książkę znalazł potomek człowieka, który ją wypożyczył. Pracownicy biblioteki obliczyli, że grzywna za tak długie jej przetrzymanie wynosi równowartość 20 tys. dol. Kara została jednak umorzona.

DRZWI AWARYJNE

Mężczyzna lecący samolotem z Malezji do Indii próbował otworzyć drzwi awaryjne maszyny na wysokości ok. 9 tys. metrów. Załoga i pasażerowie zdołali go obezwładnić i związać opaskami kablowymi, a następnie przekazać policji. Swoje zachowanie motywował tym, że „tak mu się zachciało". Jednocześnie twierdził, że spieszył się, by zobaczyć swoje nowo narodzone dziecko. Mężczyznę aresztowano pod zarzutem usiłowania zabójstwa. ©℗

Filip Memches



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Nowy etap cyberwojny

Tajwan od lat służy za poligon w cyberwojnie (w 2025 r. dochodziło tam do średnio 2,6 mln cyberataków dziennie). Jeden z ostatnich incydentów ma jednak ogromne znaczenie.

Według dziennika „Financial Times" w ciągu zaledwie czterech dni ośmiu samodzielnych agentów AI zdołało zmapować 21 systemów instytucji rządowych, włamać się na 85 kont użytkowników administracji publicznej oraz wykraść dane osobowe 2,5 tys. pracowników.

Sztuczna inteligencja zaatakowała też agencję bezpieczeństwa jądrowego, kilka kluczowych firm z branży energetycznej oraz zewnętrznych dostawców usług IT dla sektora publicznego.

Incydent wyróżnia fakt, że jest to pierwsza ujawniona publicznie operacja na świecie, w której AI samodzielnie planowała atak i modyfikowała strategię, w czasie rzeczywistym zmieniając technikę działania.

Tymczasem w Polsce minister cyfryzacji Krzysztof Gawkowski – to ten wybitny specjalista, który nie wie, ile bitów ma bajt, bo ma od tego informatyków – po kradzieży danych 19 mln Polaków ogłosił, że „państwo reaguje zdecydowanie i stanowczo". Nasz mistrz do spraw cyfryzacji ujawnił też, że „pierwsza osoba, której dane zostały wykradzione, jest ważnym politykiem w Polsce, i została już poinformowana". A co mają zrobić miliony, które nie mają znajomych w rządzie? Rząd rozważa odgórne zastrzeganie numerów PESEL, żeby wspomóc osoby cyfrowo wykluczone. No brawo! A może by tak rząd rozważył przyjęcie prawa, zgodnie z którym ofiary wyłudzeń nie musiałyby się w ogóle obawiać użycia wykradzionych danych? ©℗

eprasa.pl 14333fb3fb

Islandii
drugie podejście do Unii



Czy wejście do Unii jest Islandii potrzebne? Sytuacja się zmienia, a wraz z nią cele i argumenty FOT. ADOBE STOCK



Teresa Stylińska

Czy Unia Europejska może zaszkodzić sprawie, na której jej samej bardzo zależy? Tak. Jak to bywa, nadmiarem gorliwości i nieprzemyślanymi wypowiedziami mniej i bardziej prominentnych eurokratów, wiedzionych chęcią pokazania, że trzymają rękę na pulsie i mają wpływ. Dlatego rząd Islandii, któremu na tej samej sprawie również bardzo zależy, zwrócił się do Komisji Europejskiej, by przestała się wtrącać

Taką informację europejski magazyn „Euractiv" podał na początku sierpnia, trzy tygodnie przed referendum, w którym Islandczycy zadecydują, czy chcą wznowienia negocjacji o przystąpieniu Islandii do Unii. To właśnie owa sprawa, na tyle delikatna, że rząd Islandii uznał za wskazane interweniować w Brukseli. Przedstawiciele Unii istotnie poczynali sobie tak, jakby to od nich wszystko zależało. Marta Kos, komisarz do spraw poszerzenia, ogłosiła, że Unia jest gotowa na przyjęcie Islandii, a Valérie Hayer, szefowa grupy Renew Europe w Parlamencie Europejskim, osobiście pofatygowała się do Reykjavíku, by stamtąd apelować do Brukseli o szybką ścieżkę dla Islandii.

To jednak nic w porównaniu z wysoce niezręczną wypowiedzią pewnego niewymienionego z nazwiska eurokraty, który w rozmowie z portalem Politico zwracał uwagę na korzyści płynące z jednoczesnej akcesji Islandii i Czarnogóry (są takie pomysły). Przedstawił to jasno: wejście zamożnej Islandii, która będzie płatnikiem netto, umożliwiłoby pokrycie kosztów związanych z przyjęciem biednej Czarnogóry, potrzebującej unijnego wsparcia. Nie ma takiego kraju, którego obywatele chcieliby pełnić funkcję kasy dla innych, i Islandczycy nie stanowią tu wyjątku, nawet jeśli jak wszyscy wiedzą, jakie są zasady funkcjonowania Unii.

RYBY NIE DO NEGOCJACJI

Islandia wniosek o przyjęcie do Unii złożyła w 2009 r. UE wydawała się wówczas ostatnią deską ratunku dla kraju, który po bankructwie trzech banków zmagał się z kryzysem finansowym i załamaniem gospodarczym. Już rok później rozpoczęto negocjacje, zawieszone po trzech latach, gdy z jednej strony stan gospodarki się poprawił, a z drugiej strony było widać, że myśl o wejściu do Unii nie budzi w ludziach entuzjazmu.

Teraz, po kilkunastu latach, idea akcesji niespodziewanie wróciła, acz z innych niż gospodarcze powodów (o czym dalej). Zawieszone negocjacje można po prostu wznowić, zależy to jednak nie od rządu ani nawet parlamentu, lecz od społeczeństwa, które wypowie się w referendum 29 sierpnia.

Tydzień przed głosowaniem wynik jest jednak nie do przewidzenia. Siły zwolenników i przeciwników akcesji są wyrównane, przeważnie z niewielką przewagą tych ostatnich. Z sondażu Gallupa wynika, że wznowieniu negocjacji sprzeciwia się 54 proc. Islandczyków, „za" jest 46 proc. Ale są i takie badania, które przynoszą wyniki dokładnie odwrotne. Dodajmy, że nie jest to głosowanie ostateczne: za członkostwem lub przeciwko członkostwu. Pytanie dotyczy wyłącznie kwestii

eprasa.pl 14333fb3fb

przystąpienia do rozmów. Jeśli odpowiedź będzie pozytywna, a rozmowy skończą się zawarciem umowy akcesyjnej, to Islandczyków czeka kolejne referendum.

Islandia należy do Europejskiego Obszaru Gospodarczego (EEA) i strefy Schengen, a w handlu z Unią stosuje się do większości unijnych regulacji. Nie dotyczy to jednak najważniejszej dziedziny: rybołówstwa. To nie tylko podstawa islandzkiej gospodarki (w 2023 r. przyniosła w przeliczeniu 7,3 mld euro), lecz także ważny element tradycji, a poniekąd również dumy narodowej. Islandczycy, podobnie jak Norwegowie, szczycą się tym, że wiedzą, jak eksploatować łowiska, by nie zniszczyć zasobów. W tej kwestii mają poczucie wyższości wobec unijnych partnerów i nie zamierzają spełniać ich oczekiwań, dla Unii oczywistych: Islandia jako członek Unii powinna otworzyć przed nimi swoje ogromne – 700 tys. km kw. – łowiska.

Sprawa jednak nie przedstawia się prosto. Islandia kategorycznie wyklucza możliwość oddania rybołówstwa pod unijną kontrolę. Minister spraw zagranicznych Thorgerdur Katrin Gunnarsdottir, choć popiera przystąpienie do Unii, w wywiadzie dla dziennika „Financial Times" powiedziała wprost: „Ta kwestia nie podlega negocjacjom".

To prawdziwa czerwona linia i Bruksela o tym wie. Dlatego już teraz deklaruje gotowość do ustępstw, obiecując, że Islandia będzie mogła skorzystać z wyłączenia ze wspólnej polityki rybołówczej. Jak bardzo poważnie można tę deklarację traktować? Nie wiadomo.

W CIENIU GRENLANDII

Czy wejście do Unii jest w ogóle Islandii potrzebne? Przeciwnicy wznowienia rozmów i zasadniczo akcesji uważają, że dobrze jest tak, jak jest. Nie trzeba być członkiem Unii, by móc korzystać z możliwości, jakie daje bliska współpraca. Islandii to w zupełności wystarcza.

Sytuacja się jednak zmienia, a wraz z nią cele i argumenty. O ile kilkanaście lat temu czynnikiem, który skłonił władze Islandii do zabiegania o członkostwo, była gospodarka, o tyle dziś ciężar argumentacji przesunął się ku polityce. W bardzo niestabilnym świecie kraj taki jak Islandia – niewielki, z małą liczbą ludności, izolowany geograficznie, bo bardzo odległy od reszty Europy – potrzebuje czegoś w rodzaju gwarancji bezpieczeństwa. Taką gwarancję miałby stanowić udział w Unii.

Czy trzeba dodawać, że w roli potencjalnego zagrożenia występuje nie kto inny, jak sam Donald Trump? Na razie domaga się jedynie Grenlandii, ale – jak mówią zaniepokojeni jego retoryką – kto wie, co może wymyślić w przyszłości. W ten sposób Islandia zupełnie nieoczekiwanie znalazła się w długim cieniu ogromnej sąsiedniej wyspy. Nie od rzeczy jest przy tym pytanie, czy niecne zamiary, o które bywa podejrzewany prezydent USA, stanowią prawdziwą przyczynę zainteresowania kwestią bezpieczeństwa Islandii czy też raczej pretekst, z którego skwapliwie korzystają zwolennicy wciągnięcia jej do Unii.

Niezależnie jednak od tego, kto i jakie ma w tej sprawie intencje, sam ten fakt wprowadził do dyskusji nowy istotny element: kwestię suwerenności. To prawda, że jest ona obecna zawsze, gdy pojawia się pytanie, jak bardzo można na rzecz Unii uszczuplić własną suwerenność. Przypadek Islandii jest jednak szczególny. Jak to zwięźle ujęła przywódczyni Partii Niepodległości, Gudrun Hafsteinsdottir, „kwestię niepodległości Islandczycy traktują bardzo emocjonalnie. Bo chociaż mamy za sobą 1200 lat historii, to niepodlegli jesteśmy od zaledwie 100 lat". I ona sama, i partia są przeciwne akcesji do Unii.

Paradoksalnie bowiem Islandia – kraj o długich, sięgających średniowiecza tradycjach, które dzisiaj można by określić mianem demokratycznych, z Althingiem, najstarszym w Europie parlamentem – jako suwerenne państwo istnieje bardzo krótko. Przez wieki była pod władzą innych – najpierw Norwegii, później Danii. W 1918 r. uzyskała niepodległość, niepełną jednak, bo do 1944 r. pozostawała z Danią w unii personalnej. Islandia, dodajmy, nie ma armii; obronę, zgodnie z układem zawartym w 1951 r., mają jej zapewnić Amerykanie.

Nic dziwnego, że suwerenność sama w sobie jest dla Islandczyków wartością cenną i wartą obrony, choć różnie rozumianą. Zwolennicy wejścia do Unii uważają, że tylko obecność w dużym i silnym bloku zapewni Islandii bezpieczeństwo. Przeciwnicy akcesji z kolei ostrzegają: suwerenność, tak świeża i tak dla Islandczyków cenna, w Unii się rozpłynie.

CO Z NORWEGIĄ?

Przymiarki Islandii do członkostwa w Unii siłą rzeczy rodzą pytania o sytuację Norwegii. Gdyby Islandia znalazła się w Unii, Norwegia jako jedyne państwo nordyckie pozostałaby na uboczu.

Nie tylko z tego powodu Norwegia to przypadek szczególny. To jedyny kraj, który dwukrotnie starał się o przyjęcie do Unii – czy też ściślej – Wspólnoty Europejskiej i który mimo to w niej nie jest. Po raz pierwszy Norwegowie podjęli starania na początku lat 70., wraz z Wielką Brytanią, Irlandią i Danią, po raz drugi w latach 90., wraz ze Szwecją, z Finlandią i Austrią. Z powodzeniem – bo za każdym razem podpisano porozumienie o akcesji. I bez powodzenia – bo dwukrotnie – w latach 1972 i 1994 – zostało odrzucone. Członkostwo w Unii, jak widać, marzy się raczej politykom niż społeczeństwu.

Przez ostatnich 30 lat temat był właściwie zamknięty. Nie wracano do niego, bo kwestia akcesji, jak prawie wszędzie, budziła gorące emocje, a w ślad za nimi szły podziały. Nie chciano tego podsycać. Dystans wobec Unii doskonale jednak oddaje żart, który przed laty tam usłyszałam: Norwegia będzie ostatnim krajem, który wejdzie do Unii. Kiedy to nastąpi? Za przewodnictwa Albanii.

Nawet jeśli Norwegowie właściwie wykreślili akcesję z programu na najbliższe – może nawet bardzo długie – lata, to wcale nie wiadomo, czy broń na pewno złożyła sama Unia. W tej sprawie ciekawą czy wręcz intrygującą tezę stawia Hannes Hólmstein Gissurarson, politolog, emerytowany profesor Uniwersytetu Islandzkiego. Bruksela jego zdaniem tak bardzo chce wejścia Islandii wcale nie dlatego, że zależy jej na islandzkich łowiskach czy na wkładzie Islandii do unijnego budżetu (udział tak małego kraju, nawet bardzo zamożnego, nie może być przecież znaczący). Na celowniku eurokratów jest nie Islandia, lecz bogata Norwegia, nabytek o wiele cenniejszy z uwagi na złoża ropy naftowej, które ma, i zyski, jakie z nich czerpie. Gdyby Islandia weszła do Unii, Norwegia, osamotniona, być może zdecydowałaby się na trzecie podejście. Jeszcze przed przewodnictwem Albanii.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 14333fb3fb



Jacek Przybylski



Era drogiego

Koszty rządowych pożyczek osiągnęły w Niemczech najwyższy poziom od 15 lat, czyli od czasów kryzysu zadłużenia strefy euro. Rząd Japonii musi płacić najwyższe odsetki od długu od 30 lat. Inwestorzy żądają również coraz wyższej premii za ryzyko w USA, gdzie dług publiczny przekroczył już 40 bln dol. i rośnie w tempie 91 tys. dol. na sekundę. W przypadku Polski rekordowo lawinowo rosną zaś zarówno zadłużenie, jak i – horrendalne na tle innych państw UE – koszty obsługi długu

Tegoroczną końcówkę lata na globalnych rynkach finansowych trudno zaliczyć do spokojnych. Co prawda, zawrotne tempo zaciągania pożyczek na krótki czas w wakacje zwolniło, ale w ubiegłym tygodniu znów na całym świecie zaczęła się zacięta walka o kapitał.

Szybciej niż zwykle z rajskich plaż i luksusowych kurortów bankierzy i inwestorzy musieli w tym roku wracać m.in. za sprawą Niemiec. Rząd w Berlinie sprzedał wszystkie oferowane papiery dłużne, co przyniosło budżetowi aż 4 mld euro. Obiecał jednak wypłatę bardzo wysokich odsetek. Rentowność 30-letnich niemieckich obligacji wzrosła bowiem w ubiegłym tygodniu do 3,783 proc. Tak drogo nie było od 2011 r., gdy w krajach strefy euro wybuchł gigantyczny kryzys fiskalny, a Grecja została w praktyce odcięta od rynków finansowych. Dla porównania: jeszcze w lipcu 2026 r. rentowność 30-letnich niemieckich obligacji wynosiła bowiem 3,64 proc.

Władze w Berlinie chętnym do zakupu ich słynnych bundów muszą płacić coraz więcej, bo zadłużają się na gigantyczną skalę, aby sfinansować szybko rosnące wydatki na zbrojenia i inwestycje w infrastrukturę. Tylko w przyszłym roku projekt budżetu przewiduje zapotrzebowanie na finansowanie netto w wysokości 204 mld euro (dla porównania: w 2026 r. prognozowana kwota wynosi 137 mld euro). W latach 2027–2030 niemiecki rząd planuje zaś zaciągnąć pożyczki warte łącznie ok. 838 mld euro.

Inwestorzy doskonale znają te plany. Żądają więc coraz wyższej premii. Zwłaszcza że ryzyko rośnie, bo Niemcy wciąż mają potwornie drogą energię i zbyt wysoką inflację. Do tego dochodzą problemy globalne. Coraz bardziej prawdopodobny powrót do gorącej wojny w Zatoce Perskiej, trwająca blokada cieśniny Ormuz i związane z zagrożeniem na Bliskim Wschodzie rosnące ceny ropy – to mieszanka wybuchowa, która może doprowadzić do silnie proinflacyjnego scenariusza.

SYGNAŁ OSTRZEGAWCZY

Napięta sytuacja geopolityczna sprawiła, że w ostatnich miesiącach mocno wzrosły rentowności długoterminowych papierów skarbowych również w takich krajach jak Francja czy Wielka Brytania. Jeśli ten trend się utrzyma, to droższe będą zapewne również obligacje emitowane w imieniu Unii Europejskiej przez Komisję Europejską. To zaś może oznaczać, że obsługa przez polski rząd kontrowersyjnego kredytu SAFE będzie kosztowała nie 3,2 proc., lecz np. 3,7 proc. lub nawet znacząco powyżej 4 proc. Ministerstwo Finansów tłuma-

eprasa.pl 14333fb3fb



Rosnące zadłużenie oznacza, że rządy będą musiały płacić coraz więcej za finansowanie długu. Na zdjęciu: licznik zadłużenia amerykańskiego rządu

FOT. MANDEL NGAN/AFP/EAST NEWS

pieniądza

ok. 120 mld zł

TYLE W 2027 R. MOŻE KOSZTOWAĆ POLSKI RZĄD OBSŁUGA ZADŁUŻENIA

czyło bowiem jasno, że koszt pożyczki w ramach programu SAFE jest bezpośrednią pochodną rentowności obligacji emitowanych przez Komisję Europejską.

A przecież trzeba jeszcze pokryć pozostałe koszty finansowania państwa. Tak bardzo jak obecnie Polska nie była zadłużona jeszcze nigdy w swojej historii. Tymczasem za rządów Donalda Tuska państwowe długi rosną w zatrważającym tempie. W 2024 r. deficyt budżetu państwa wynosił 237 mld zł, w 2025 r. 284 mld zł, a w roku obecnym jest prognozowany na 271 mld zł. A to przecież tylko dziura w centralnej kasie. Według GUS w 2025 r. deficyt sektora instytucji rządowych i samorządowych wyniósł 7,2 proc. PKB. Według oficjalnych, rządowych danych państwowy dług publiczny (PDP) na koniec pierwszego kwartału 2026 r. wyniósł 2,0082 bln zł. To historyczny rekord. A przecież PDP nie obejmuje m.in. długu emitowanego przez Bank Gospodarstwa Krajowego, Polski Fundusz Rozwoju czy Fundusz Wsparcia Sił Zbrojnych. Dług sektora instytucji rządowych i samorządowych (dług EDP) na koniec pierwszego kwartału 2026 r. wyniósł aż 2444,3 mld zł. Relacja długu EDP do PKB na koniec pierwszego kwartału 2026 r. wyniosła aż 61,6 proc. Niestety, konstytucyjny limit 60 proc. PKB dotyczy długu PDP (gdyby dotyczył EDP, rząd musiałby już teraz przygotować budżet bez deficytu). Z tego powodu różnica między PDP a EDP jest tak duża, choć jeszcze przed pandemią COVID-19 wynosiła ok. 50 mld zł.

Za rosnącym zadłużeniem idą wyższe koszty obsługi długu. Jeszcze w 2021 r. wynosiły one ok. 30 mld zł. W 2025 r. wzrosły do ok. 72,8 mld zł. Z danych Eurostatu wynika, że już teraz Polska należy do krajów o najwyższym koszcie obsługi długu publicznego w całej Unii Europejskiej. W 2025 r. rząd wydał na ten cel równowartość 4,5 proc. PKB. Gorszy wskaźnik odnotowano jedynie w Rumunii (5,2 proc.). Dla porównania: w przypadku Irlandii było to 1,4 proc., Niemiec – 1,8 proc., a Czech – 3,1 proc. W sytuacji gdy rentowności polskich obligacji skarbowych rosną szybciej niż bazowych instrumentów europejskich, rosnące rentowności w strefie euro mogą oznaczać wzrost kosztów obsługi polskiego długu o kolejne miliardy złotych. Zwłaszcza że zarówno prognozowany deficyt budżetowy, jak i ogromne potrzeby pożyczkowe Polski w przyszłym roku mogą budzić obawy wśród zagranicznych inwestorów. W przyszłym roku sama tylko obsługa długu może kosztować ok. 120 mld zł. To niemal dwukrotnie więcej niż rocznie kosztuje nas program „800+”.

AKCJE CZY OBLIGACJE?

Z punktu widzenia statystycznego Kowalskiego, który szuka obecnie sposobu, aby jak najlepiej pomnożyć swoje oszczędności, dobra wiadomość jest taka, że na polskich obligacjach da się już przyzwoicie zarobić (choć te osoby, które długoterminowe papiery nabyły wcześniej, obserwują, że wraz ze wzrostem rentowności spada rynkowa wycena ich obligacji).

Lokując pieniądze w bezpieczne – przynajmniej w teorii – 10-letnie obligacje, można zyskać 5,35 proc. w pierwszym rocznym okresie odsetkowym, a w kolejnych otrzymywać 2 proc. marży ponad inflację. Niewykluczone, że niedługo oferta ministra finansów będzie musiała być jeszcze bardziej atrakcyjna. Rentowności polskich obligacji skarbowych na rynku ponownie wróciły

eprasa.pl 14333fb3fb

bowiem niedawno w okolice psychologicznej bariery 6 proc.

Ministerstwu Finansów w ubiegłym tygodniu udało się sprzedać obligacje skarbowe za ponad 13,4 mld zł. Zgodnie z komunikatem resortu na środowym przetargu udało się sprzedać sześć serii obligacji za 12 mld zł (przy popycie na poziomie 16,425 mld zł), a na akcji dodatkowej cztery serie obligacji za 1,416 mld zł. Dzięki temu – jak podał resort w komunikacie – stopień sfinansowania potrzeb pożyczkowych brutto w 2026 r. według ustawy budżetowej wynosi ok. 73 proc.

Trzeba więc będzie znaleźć kolejnych chętnych na polskie papiery skarbowe. Tymczasem jeśli znów dojdzie do globalnego wzrostu awersji do ryzyka, to nasze obligacje mogą błyskawicznie stracić na wartości w oczach zagranicznych inwestorów. Możliwa jest wówczas gwałtowna wyprzedaż polskich papierów skarbowych, choć ta może być ograniczona przez to, że od ponad dekady wyraźnie maleje udział inwestorów zagranicznych w polskim rynku długu.

Przy tak wysokim oprocentowaniu polski inwestor stoi jednak przed nie lada dylematem: czy nadal podejmować ryzyko i kupować rekordowo drogie polskie akcje czy może się już skusić na gwarantowany przez państwo zysk z obligacji.

40 BILIONÓW DŁUGU

Aby próbować zarobić na obligacjach, nie trzeba się ograniczać do polskich papierów skarbowych. W Stanach Zjednoczonych o kapitał zabiega nie tylko potwornie zadłużony rząd, lecz także gigantyczne korporacje szukające setek miliardów dolarów na inwestycje związane ze sztuczną inteligencją. Pół roku temu Biuro Budżetowe Kongresu (CBO) prognozowało, że całkowite zadłużenie USA w tym roku fiskalnym osiągnie kwotę 39,4 bln dol. Wiadomo jednak, że nigdy nie jest tak źle, aby nie mogło być gorzej. Dług publiczny USA już na początku sierpnia przekroczył rekordowy poziom 39,83 bln dol. W ubiegły poniedziałek oficjalnie pokonał wartość 39,9 bln dol., a w środę przekroczył niewyobrażalną dla zwykłego śmiertelnika kwotę 40 bln dol. (słownie: czterdziestu bilionów dolarów). Wartość zadłużenia podwoiła się pod rządami Donalda Trumpa i jego poprzednika Joe Bidena.

Gdyby ktoś z czytelników chciał sobie ten dług jednak wyobrazić, to podpowiem, że dziura w amerykańskim skarbcu jest tak potwornie głęboka, że jeśli by wartość długu publicznego Stanów Zjednoczonych wypłacić w jednodolarowych banknotach i ułożyć jeden na drugim, to zielona wieża sięgałaby już dużo, dużo wyżej, niż wynosi odległość z Ziemi na Księżyc. Filmowy amerykański sen w końcu może więc się przemienić w koszmar na jawie, gdyż dług publiczny w przeliczeniu na jednego obywatela USA wynosi już niemal 120 tys. dol. Porażająco wysokie są już nawet koszty obsługi takiego długu. Wspomniane wyżej CBO prognozuje, że tylko w tym roku same odsetki wyniosą ponad 1 bln (!) dol., czyli mniej więcej tyle, ile wynosi roczny budżet Pentagonu.

Władze w Waszyngtonie nie tylko nie zwolniły, lecz także zwiększyły tempo zaciągania pożyczek, co jest częściowo spowodowane utratą planowanych dochodów z powodu unieważnionych przez sąd ceł. Kolejna walka o limit zadłużenia, czyli polityczny cyrk, w którym kongresmeni niby kłócą się o limit zadłużenia, ale w końcu i tak go zwiększają, czeka nas więc jeszcze szybciej, niż planowano. W zeszłym roku Kongres ustalił bowiem limit zadłużenia na 41,1 bln dol.

W sierpniu rentowność 30-letnich obligacji amerykańskich wybiła się górą z trzyletniego zakresu. W ubiegły wtorek inwestorzy skłonni kupić 30-letnie amerykańskie obligacje skarbowe żądali zaś najwyższych odsetek od 19 lat. Bardzo wysoka była też rentowność 10-letnich papierów (ok. 4,75 proc.). Departament Skarbu ogłosił więc, że będzie wykupywał obligacje długoterminowe USA za dwa razy większą kwotę, niż wcześniej zapowiadał (ma na ten cel przeznaczyć co najmniej 4 mld dol., choć wcześniej twierdził, że wyda 2 mld dol.). Dzięki temu rentowność obligacji zaczęła lekko spadać. „Rynek długoterminowych papierów skarbowych stanął nad przepaścią, ale zrobił wczoraj krok wstecz" – napisali analitycy Banku Pekao, zauważając jednocześnie, że „rentowności obligacji są wciąż wysokie, a trendy wzrostowe bardzo mocne".

KRAJ PŁACZĄCEJ WIŚNI?

Cena kapitału rośnie nie tylko na Starym Kontynencie czy w Stanach Zjednoczonych. To samo zjawisko doskonale widać także w Azji. W Japonii rentowność 10-latek wzrosła w ubiegłym tygodniu do poziomu 2,945 proc., niewidzianego od września 1996 r., a rentowność obligacji 30-letnich do 4,1 proc. Dla porównania: we wrześniu ubiegłego roku rentowność 10-letnich papierów skarbowych wynosiła ok. 1,6 proc. W Kraju Kwitnącej Wiśni, który długo się zmagał z deflacją i przez dekady był symbolem niemal zerowych stóp procentowych, tak wysokie rentowności to wyjątkowo bolesny rachunek za lata rekordowo taniego pieniądza. 16 czerwca 2026 r. Rada Banku Japonii zakończyła jednak erę darmowego kredytu i podniosła stopę procentową do 1 proc. (czyli najwyższego od ponad 30 lat).

Dla rządu w Tokio oznacza to, że droższe są nie tylko nowe emisje, lecz także refinansowanie potężnego długu zaciągniętego wcześniej. Japonia ma zaś największy dług publiczny wśród państw rozwiniętych, który wynosi ok. 250 proc. PKB. Ryzyko niewypłacalności pozostaje jednak bardzo niskie, ponieważ większość tego potężnego długu jest w rękach samych Japończyków (największym wierzycielem rządu w Tokio jest Bank Japonii). Rosnące rentowności japońskich obligacji mogą więc przyciągać inwestorów z innych rynków, co jeszcze bardziej zaostrzy warunki rywalizacji o kapitał na finansowanie długu.

Co zmiany na globalnych rynkach obligacji oznaczają dla przeciętnego inwestora? W ostatnich tygodniach równolegle w górę szły zarówno rentowności papierów skarbowych, jak i wyceny akcji na światowych giełdach. W teorii nie powinno to być trwałe zjawisko. Jeśli więc obligacje nadal będą z miesiąca na miesiąc stawały się coraz bardziej atrakcyjne dla inwestorów, to trend ten może istotnie zaszkodzić rekordowo napompowanym po kilku latach hossy rynkom akcji. Nawet na tak zwariowanym rynku jak obecnie nie można bowiem w nieskończoność ignorować rosnących rentowności oraz wpływu rosnącego kosztu pieniądza na wyceny poszczególnych spółek. Chyba że hurraoptymizm przeważy nad faktami i nadal będziemy świadkami pompowania globalnej giełdowej bańki…

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 14333fb3fb



PROSTO ZYGZAKIEM

Wreszcie i nareszcie?

PIOTR GABRYEL

Wreszcie i nareszcie pośród polityków, którzy mają szansę przejąć w Polsce władzę, znów pojawił się ktoś, kto rozumie, dokąd prowadzi samolubna polityka „rozdawaczy" pieniędzy polskich podatników i zarazem „zadłużaczy" polskich podatników, czyli polityka bezceremonialnego korumpowania wyborców dla własnego interesu; pojawił się i w dodatku ma odwagę publicznie tego poglądu bronić. A może nawet takich „ktosiów" pojawiło się kilku?

„Prędzej mi ręka uschnie" – tak bowiem odpowiedział Sławomir Mentzen na kolejny niedorzeczny pomysł Mateusza Morawieckiego – tym razem ten, że jak tylko znów uda mu się objąć stery władzy, to rodzicom wszystkich dzieci od urodzenia do ukończenia trzeciego roku życia rozdawać będzie co miesiąc nie po 800 zł z pieniędzy polskich podatników, ale aż po 3600 zł, a dopiero po ukończeniu przez nie trzeciego roku życia – po 800 zł. Rzecz jasna, pomysł ten Morawiecki zgłosił z czystej i bezinteresownej miłości do rodziców (i dzieci), a nie dlatego, żeby przekonać ich, by znów pozwolili mu zasiąść na fotelu szefa rządu.

Cała odpowiedź Sławomira Mentzena, zamieszczona na X, brzmiała: „Prędzej mi ręka uschnie, niż poprę kolejne programy socjalne. Prędzej zrezygnuję z polityki, niż dołączę się do tej bandy prowadzącej Polskę do katastrofy. Tusk, Kaczyński, Morawiecki, Czarzasty, jeden pies. Dla nich wszystkich słupki sondażowe są ważniejsze od przyszłości Polski. Wydatki, dług, a potem podatki trzeba ciąć, a nie rozwijać!".

Gdzie dziś Morawiecki może próbować szukać sojuszników dla realizacji swoich pomysłów? Być może jeszcze wśród niektórych polityków PiS, z którymi do 2023 r. uprawiał taką właśnie politykę – kupowania sympatii wyborców za prezenty robione im z pieniędzy podatników, choć tym razem zdobywający wpływy polityk PiS Jacek Sasin, jak się zdaje, zgasił na to jego nadzieję, oznajmiając: „Zawsze mogą się podobać tego typu projekty, które polegają na tym, że państwo rozdaje pieniądze. Tylko jaki cel chcemy przez to osiągnąć?". Bo na pewno nie wśród polityków Platformy, czy jak się teraz ich partia nazywa, nie wspominając o politykach Konfederacji Mentzena i Bosaka czy Korony Brauna.

W tej sytuacji pozostaliby więc Morawieckiemu i jego Rozwojowi Plus już tylko politycy PSL i partii lewicy, które zawsze żyły z robienia swoim wyborcom dobrze za pieniądze zabrane wcześniej innym Polakom. Wszelako, na szczęście, dziś nie jest to już siła, która mogłaby przejąć władzę i dalej łupić polskich podatników. Czyżby więc Morawiecki ze swoimi fatalnie kosztownymi dla Polaków pomysłami został – wreszcie i nareszcie – niemal sam? ©℗



NOTATNIK MALKONTENTA

Oszustwo Tuska

ŁUKASZ WARZECHA

Jak obniżyć podatki przez ich podwyższenie? Pokazał to właśnie pan premier, zapowiadając fiskalne ulżenie klasie średniej. Jest to jednak ulżenie bardzo osobliwe.

Jak wiadomo, jedną z naczelnych zapowiedzi obecnej władzy było podwyższenie kwoty wolnej od podatku do 60 tys. zł. Jeszcze w lipcu wicepremier Władysław Kosiniak-Kamysz oznajmiał, że ta zmiana zostanie na pewno wprowadzona przed końcem kadencji i „pracuje nad tym minister Domański".

Najwyraźniej szef MON miał, by tak rzec, nie do końca precyzyjne informacje, bo ogłaszając „wielki podatkowy przełom", premier zarazem wyraźnie zaznaczył, że wspomnianą obietnicę możemy sobie wsadzić w… buty.

Program rzekomej obniżki podatków jest pułapką zastawioną na prezydenta Nawrockiego

Będzie za to podwyższenie granicy drugiego progu podatkowego, ale dość specyficzne. Mamy dzisiaj dwa progi PIT: pierwszy to 12 proc. przy kwocie wolnej 30 tys. zł, drugi zaczyna się od 120 tys. zł, wynosi 32 proc. i wpada w niego coraz większa grupa Polaków, bo nie jest regularnie waloryzowany, a nominalne wynagrodzenia rosną. Jest to więc ukryta podwyżka podatków. Prawdziwa ich obniżka polegałaby na wyraźnym podwyższeniu granicy drugiego progu. Tymczasem rząd zaproponował, aby stawka 12 proc. objęła dodatkowo raptem 10 tys. zł – do 130 tys. – a potem na przestrzeni kolejnych 20 tys. zł chce wprowadzenia pośredniego progu, objętego stawką 24 proc.

Zarazem ma zostać podwyższona danina solidarnościowa, czyli „podatek od bogaczy", wprowadzony przez Mateusza Morawieckiego, a także CIT od firm uzyskujących – uwaga – przychody ponad 200 mln zł. To ostatnie już budzi słuszną złość przedsiębiorców, którzy wskazują, że przychód na tym poziomie, będący przecież czymś całkiem innym niż dochód firmy, nie oznacza, iż mamy do czynienia z wielką korporacją i gigantem. Zresztą podwyżka CIT i tak zostałaby przerzucona na klientów. Cały ten program rzekomej obniżki podatków jest po prostu kolejną pułapką zastawioną na prezydenta Nawrockiego. Do jednej ustawy zostaną wrzucone bolesna dla części podatników podwyżka CIT i symboliczna obniżka podatków dla małej grupki.

Rząd PiS był niemiłosiernie rozliczany – i słusznie! – z obietnicy podwyższenia kwoty wolnej, którą spełnił, choć ze sporym opóźnieniem. Nie ma powodu, aby pozwalać temu rządowi się wykpić jakimś erzacem. ©℗

eprasa.pl 14333fb3fb

Odwieczny Bałtyk



FOT. NAC

Joanna Bojańczyk

Zimny, wietrzny, nieprzewidywalny. Nie ma kabin do przebierania, nie ma koszy, leżaków, łóżek. Są tylko Bałtyk – najpiękniejsze z mórz – i jego plaże

W filmie Jerzego Kawalerowicza „Pociąg" (z roku 1959 z przepiękną wokalizą Wandy Warskiej) jest scena, w której pociąg zatrzymuje się na Półwyspie Helskim. Nawet nie ma tam budynku stacyjki, jest przystanek pośród niczego. Nie ma domów, wokół pustka.

Tak to mniej więcej wtedy wyglądało. Jeździłam tam, od kiedy pamiętam, a to już dużo lat. Na czarno-białej fotografii z ząbkowanymi brzegami stoi zakłopotana, na oko trzyletnia dziewczynka, z idiotycznym loczkiem na głowie. W ręku trzyma piłkę. W tle morze, z piłką nie wiadomo, co zrobić, ale dali do zdjęcia, trzeba wytrzymać.

Co rok w lipcu jeździliśmy na Hel – tak się mówiło w skrócie. Ale każdy wiedział, że chodzi o Półwysep Helski, bo miasto Hel było dla turystów zamknięte – teren wojskowy. Z rodzicami jako dziecko, potem z własnymi dziećmi, teraz z wnukami.

Bałtyk jaki jest, wie każdy. Zimny, wietrzny, czasem groźny. Wieje albo od zatoki, albo od morza. Gdy wieje od zachodu, idzie się w kierunku wschodnim, zapierając się przed podmuchami, pilnując czapki i bacząc, żeby mocniejsza fala nie zamoczyła nogawek zawiniętych do samej góry. Słońce w nieregularnej dostawie.

W Jastarni wynajmowało się pokój w kaszubskim domku z czerwonej cegły, z sufitem, którego mój 20-letni brat dosięgał czubkiem głowy. Oczywiście bez łazienki, o takich luksusach w latach 60. i 70. nikt nie marzył. Po plaży były obiady domowe u Kaszubów, po południu dla dzieci zabawa wśród domków z czerwonej cegły. Dla rodziców przywilej, którego 11-letnie dziewczynki zazdrościły: five w domu zdrojowym.

To, co dzisiaj się nazywa domem zdrojowym i jest stugwiazdkowym obiektem dla snobów i bogaczy, w latach 60. było stosunkowo nowym, na owe czasy eleganckim obiektem. W sumie skromnym, nikt wtedy nie epatował luksusami. Parę stolików, na środku parkiet. Wirowały na nim mamy: panie z tapirem na głowie, w spódnicach à la Dior, w szpilkach. Panowie wygarniturowani. Orkiestra grała na żywo, kelnerzy w białych smokingach obsługiwali elegancką klientelę.

Być może w zamyśle twórców jastarniański dom zdrojowy przeznaczony był ku rozrywce mas pracujących. W końcu zbudowano go w czasach, kiedy klasa dziś zwana ludową była priorytetem.

Ale masy pracujące nie jeździły do Jastarni. Powojenny Półwysep Helski pozostał przyczółkiem inteligencji, która ceniła wiatr przewiewający wąski pasek lądu, bliskość plaży i obecność zatoki. Nie bez znaczenia było, że tego spłachetka ziemi Niemiec nie zdołał capnąć.

Ojciec bardzo się wakacjami męczył: nie znosił plaży, piasku, urlopu, a nade wszystko nienawidził tańców. Na plażę ostatecznie się godził, zabierał tam swoje „prace zlecone" – był redaktorem w wydawnictwie. Praca na plaży – tak, ale dansing to byłoby dla starszego pana za dużo.

CZUĆ NIEMCZYZNĘ

W naszym domu nie było mowy, żeby pojechać na Wybrzeże Zachodnie. Głęboki uraz do Niemców tkwił mocno w pokoleniu, które przeżyło wojnę.

– Ustka piękna – mówiła mama – ale daleko i czuć tam niemczyznę. Więc jeździliśmy na Hel. I ja przy tym zostałam. Nie do szpanerskiej Juraty ani zatłoczonej Jastarni, nie do „impreziarskich" Chałup. Do Kuźnicy na Helu, najskromniejszej miejscowości na półwyspie. Albo do Jastarni, gdzie jeździli przyjaciele z Milanówka, państwo Mickiewiczowie.

O tym, że Kuźnica była kiedyś wioską rybacką, świadczą kutry zacumowane nad zatoką. Dziś połowy to przeszłość. Kutry stały się rekwizytami w porcie, Bałtyk przełowiony, ryby przysyłają z innych akwenów.

Masowa turystyka do Kuźnicy nie dotarła. Matki z dziećmi i surferzy – widać, dobrze tu wieje. Jest jakoś kameralnie. Układ urbanistyczny nie dopuszcza wysokiej zabudowy, domki upychają się ciasno na malutkich działkach. Przeważają nowe domy, nieładne, ale w sezonie wszystko wynajęte. O wolny pokój trudno. Ale kto raz tu przyjechał, wraca.

eprasa.pl 14333fb3fb

Nie ma domów wczasowych ani hoteli. Wstyd się przyznać, ale my, letnicy „prywatni", w czasach słusznie minionych odnosiliśmy się z (brzydką) wyższością do wczasowiczów z FWP. W latach 80. i jeszcze długo w 90. nad polskim morzem „wynajmowało się pokój". Nie było hoteli, apartamentowców, byli tylko miejscowi, którym wynajmowanie pokoi w sezonie letnim pozwalało związać koniec z końcem. Oddawali część swego domu letnikom. Kiedy opowiadałam o tym francuskim kuzynom, nie mogli zrozumieć. Dlaczego mieszkamy kątem u obcych ludzi, nie w hotelu. – Jak to? Nie ma hotelu? – dziwili się. Oni nigdy nie mieli socjalistycznej instytucji FWP, która za półdarmo wysyłała na wczasy robotników, pracowników PGR-ów, ludzi, którzy na wczasy nigdy wcześniej nie jeździli.

PIZZA, KEBAB, LODY

Teraz nie ma FWP ani wczasów z zakładu pracy. Wszyscy są prywatni. Kurort zachował swoje prawa, a te zrównują wszystkich. Pizza, kebab, lody – to musi być. Postój przy budce oferującej te dobra to rytuał popołudniowego spaceru albo porannego szwendania się, gdy pada deszcz. Wędzona ryba jeszcze się ostała, smażonej nie zauważyłam. Ceny nie są niskie, ale bez przesady. „Paragonów grozy" nie ma. Gdy chce się zjeść coś lepszego, kilka lokali ambitniejszych pozwala oderwać się od tekturowej tacki i plastikowego widelca.

Czasy się zmieniły, ale rytuał plażowy jest odwieczny. Nie zmienił się od kilkudziesięciu lat i nie przypomina żadnego innego. Nie mamy kabin do przebierania jak we Francji, nie ma koszy, leżaków, łóżek. Nie ma szczotek do obmiatania stóp z piasku, jak w Ostendzie.

Polski nadmorski wczasowicz jest bytem autonomicznym – radzi sobie sam. Instalacje potrzebne do plażowania przynosi ze sobą i ze sobą zabiera.

Na plażę przychodzi się późno, dźwigając rynsztunek, prowadząc za rękę dzieci, na smyczy psy. Niektórzy niosą półnamiociki chroniące przed wiatrem, przypinane do ziemi aluminiowymi śledziami. Można tam wsadzić dorosłą głowę albo roczne dziecko w całości, z nadzieją, że zaśnie i da chwilę spokoju.

Rozpoczyna się rytuał kopania grajdołu, wbijania śledzi, rozkładania gratów, przebierania się, wzajemnego namaszczania kremami. Panie smarują panów, czemu ci poddają się niechętnie i z rezygnacją, panowie (czasem) smarują panie. Robią to z ukrywanym obrzydzeniem, gdyż rytuał uważają za barbarzyński.

Niezwracające na to wszystko uwagi dzieci ruszają do wód, za nimi lecą ostrzeżenia „tylko nie wchodź za daleko".

Młodzi zabierają się do siatkówki albo, gdy wieje, do paletek.

Czas mija. Grajdoł na jakiś czas nieruchomieje, nieustępliwy w łowieniu każdego promienia słońca. Jesteśmy przecież nad Bałtykiem, w każdej chwili może zacząć padać.

Co jakiś czas nadciągają nowi plażowicze. Ci już osiedleni spoglądają na nich niechętnie, śledząc każdy krok, bo a nuż przyjdzie im do głowy rozbić obóz w pobliżu naszego. Na szczęście na plażach Półwyspu Helskiego panuje niepisany regulamin, który nakazuje szanować przestrzeń wokół już zajętych grajdołów. Tylko podejrzani i niewychowani wczasowicze tego nie wiedzą.

CHŁÓD, WIATR, KRZYWE SOSNY

Czasy się zmieniły, ja między Jastarnią, Kuźnicą oraz postojem w Białogórze kilka lat życia spędziłam na quasiemigracji, na dwóch półkulach, nad różnymi morzami. Atlantyk, Pacyfik, Morze Karaibskie, które wcale nie jest szmaragdowe, Zatoka Meksykańska, brzydkie plaże Zatoki Perskiej. Żadne z tych ciepłych, pięknych mórz, żadna z plaż nie dorównała bałtyckim plażom z jego chłodem, wiatrem, chmurnym niebem, krzywymi sosnami na wydmach i swojskim klimatem rodzinnych wakacji.

Białogóra, przelotny, ale intensywny romans lat 80., gdzie zaciągnęli nas przyjaciele i gdzie przez jakiś czas staliśmy się członkiem tamtejszej lokalnej wspólnoty. Cafe Regent, borówki, wyprawy rowerowe, spacery plażą do Dębek. Kto był, ten wie.

Przyszły nowe czasy. Od białogórskiej wspólnoty zaczęli odrywać się jej starzy członkowie. Na początek ci, którzy wybrali greckie słońce, zamiast w kurtce tkwić na plaży, wpatrując się w niebo z nadzieją na prześwit błękitu. Potem ci, którzy mieli dość fatalnych warunków i wysokich cen.

Zostali wierni polskiemu Wybrzeżu, wietrznemu, bez infrastruktury, marnym pokojom z używalnością łazienki. Gdy była mowa o Grecji, Toskanii czy Hiszpanii, wzruszali ramionami. Białogóra jest fajniejsza.

PAŃSTWO TU NIE STALI

W latach 80. i jeszcze 90. na obiad trzeba było stawić się punktualnie, gdyż w stołówkach obowiązywał ścisły grafik godzinowy. Pierwsza tura o 13, druga o 13.30, ostatnia o 14. Mowy nie było, żeby zasady złamać. Rozkład dnia dzielił go na dwie części: przed obiadem i po nim. Nie było to proste, gdy chciało się dzień spędzić na plaży – była do niej godzina drogi.

W odsieczy gastronomicznej i nieco bliżej mieliśmy budkę, gdzie w porach pozaregulaminowych można było przy krzywych metalowych stolikach na papierowej tacce zjeść rybę z surówką. Świeżą i smaczną; przyjeżdżali nawet z Dębek. Popularność budki z jej dwoma nieuprzejmymi sprzedawczyniami/kelnerkami sprawiała, że aby zdobyć jakieś danie, trzeba było odstać w długiej kolejce. Jednak ryby były zawsze świeże i smaczne, a ceny niewysokie. Należało przyjść wcześnie, bo ok. godz. 15 można było liczyć już tylko na zimnego śledzia.

Ze wstydem przyznaję, że nasza grupa plażowych znajomych dopuszczała się paskudnego nadużycia. Delegowano z plaży jedną osobę, która „zajmowała kolejkę". Te słowa wyrażają w jakimś sensie istotę systemu funkcjonowania PRL. Zajmowanie kolejki, skutkujące wpuszczeniem do niej na miejsce jednej osoby, kilku lub (jak w naszym przypadku) nawet kilkunastu było popularnym zabiegiem, przeciw któremu nikt się nie buntował. Do zajęcia kolejki puszczano nawet dziecko, starszą panią, po jakimś czasie na ich miejsce przybywała mniejsza lub większa grupa osób.

Tak było i u nas. W pewnym momencie na czekającą spokojnie kilkuosobową kolejkę do smażonej rybki spadała, jak grom z jasnego nieba, ludzka chmara pretendująca bezczelnie, że jest prawomocną kolejką. „Państwo tu nie stali" – bronili się uczciwi stacze, którym nagle czas dojścia do okienka przedłużał się wielokrotnie...

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 14333fb3fb



Gauchos, pasterze bydła wypasający stada na rozległych pampach

FOT. SHUTTERSTOCK

Podróż sześciogwiazdkowa



Jacek Pałkiewicz

W dzieciństwie długo wpatrywałem się w atlas. Nie był dla mnie szkolną pomocą, lecz księgą obietnic. Birma, Wyspy Komandorskie, Kamerun, Indochiny – same nazwy wystarczały, by uruchomić wyobraźnię chłopca wychowanego w świecie zamkniętych granic. Najbardziej przykuwała jednak moją uwagę Patagonia

Już samo brzmienie słowa „Patagonia” miało w sobie coś odległego, surowego i niepokojącego. Nie oznaczało zwykłego miejsca na mapie, lecz kres drogi, ostatni skrawek stałego lądu przed oceaniczną pustką i Antarktydą. Przed ponad ćwierćwieczem po raz pierwszy zmierzyłem się z owym Fin del Mundo, końcem świata, który dla wielu podróżników stał się metaforą absolutnej mety. Po latach wróciłem tam ponownie, być może dlatego, że – jak głosi miejscowa legenda – kto raz spróbuje jagód berberysu bukszpanolistnego, ten już zawsze będzie tęsknił za Patagonią.

NAJWIĘKSZY SKARB

Nie jest to kraina, którą łatwo opisać. Nie ma jednej administracyjnej granicy, jednego miasta symbolu ani pojedynczej budowli, z którą można ją utożsamić. Przyjmuje się, że rozciąga się od Río Negro aż po Ziemię Ognistą, obejmując południowe obszary Argentyny i Chile. Andy dzielą ją na dwa odmienne światy. Po stronie argentyńskiej dominuje suchy, niemal bezdrzewny step; po chilijskiej – fiordy, wilgotne lasy, góry i poszarpane wybrzeże Pacyfiku. Patagonia jest większa od kilku europejskich krajów razem wziętych, a jednocześnie miejscami niemal pusta. Człowiek jedzie godzinami, widząc przed sobą tylko prostą drogę, wypłowiałe trawy i niebo zajmujące większą część świata.

Być może właśnie ta pustka stanowi jej największy skarb. W epoce, w której każda wolna przestrzeń zostaje natychmiast zabudowana, opisana, sprzedana i oznaczona tablicą reklamową, Patagonia nadal potrafi sprawić, że człowiek czuje się niepotrzebny. Nie ma tu scenografii przygotowanej specjalnie dla turysty. Przyroda nie zabiega o jego uwagę, nie próbuje mu się podobać i nie gwarantuje dobrej pogody. Może przez kilka dni ukrywać góry w chmurach, zamknąć drogę śniegiem albo przywitać przybysza deszczem uderzającym poziomo. Właśnie dlatego wizyta tutaj pozostaje prawdziwą podróżą, a nie tylko zmianą hotelu i strefy czasowej.

Najważniejszym mieszkańcem Patagonii jest wiatr. Tutejszy „el viento” ma własną osobowość. Hula przez większą część roku, pędzi po stepie bez żadnej przeszkody, wznieca kurz, szarpie ubraniem i zmusza człowieka do chodzenia z pochyloną głową. Czasami trudno otworzyć drzwi samochodu, a jeszcze trudniej je utrzymać. Miejscowi mówią, że kto nie poznał wiatru Patagonii, ten nie wie, czym jest wiatr. Po kilku dniach przestaje się go traktować jako zjawisko atmosferyczne. Staje się partnerem, przeciwnikiem, a czasami prześladowcą.

Patagonia nie posiada jednej twarzy. Jest raczej kolażem następujących po sobie obrazów: posępnych pejzaży o odcieniach brązu i popielatości, samotnych owczych farm, jezior wielkich jak morze, skalnych iglic, lodowców, pustych osad i niekończących się dróg. W swoim moleskinie zanotowałem kiedyś: „Ruta 40, tysiące kilometrów asfaltu i szutru, królestwo gauchos, bezwzględna w swojej okazałości przyroda, jedno wielkie nic”. To „nic” nie było jednak pustką pozbawioną znaczenia. Przeciwnie – kryło więcej treści niż niejeden zatłoczony pejzaż pełen zabytków.

eprasa.pl 14333fb3fb

Jorge Luis Borges miał powiedzieć: „W Patagonii nie ma nic". Charles Darwin uważał jej równiny za ponure i niepotrzebne, a przyrodnik William Henry Hudson pisał o monotonii i absolutnej szarości wszystkiego. Dziś te słowa brzmią jak niezamierzony komplement. Patagonia nie jest miejscem dla człowieka szukającego kolejnych atrakcji podawanych według rozkładu jazdy. Jej siła ukrywa się w powtarzalności pejzażu, w odległościach, w ciszy i w poczuciu, że za następnym wzgórzem nie musi znajdować się nic, co należałoby natychmiast sfotografować.

Podobne uczucie przeżywałem na Syberii. Tam również obca i nieprzychylna natura stworzyła ludzi twardych, uczciwych i odpornych na przeciwności. W Patagonii spotkałem ten sam rodzaj charakteru: szorstkość niepozbawioną szlachetności, dumę, brak skłonności do skarg oraz przywiązanie do ziemi, której przybysz często nie potrafi zrozumieć. Dawni osadnicy musieli zaakceptować izolację, gwałtowną pogodę i ubóstwo gleby. Swoje rozczarowanie zapisali w nazwach: Wyspa Zawiedzenia, Port Głodowy, Zatoka Ostatniej Nadziei, Kanał Dezerterów czy Zatoka Daremna. Trudno o bardziej wymowną geografię ludzkiego doświadczenia.

GWIAZDY TUŻ NAD GŁOWĄ

Na jednej z estancji gościli mnie Aquilino i Muñoz Olivares, potomkowie rodziny gospodarującej tam od trzech pokoleń. Domostwo otaczał zwarty szpaler włoskich topól, sadzonych nie dla ozdoby, ale jako osłona przed wiatrem. Najbliżsi sąsiedzi mieszkali 40 km dalej. Pomiędzy nimi rozciągały się tylko szczeciniaste trawy, cierniste krzewy i małe stada guanako – smukłych, eleganckich krewniaków lamy. W takich warunkach słowo „sąsiedztwo" nabiera innego znaczenia. Człowiek oddalony o godzinę jazdy może być jedyną osobą, na którą można liczyć podczas choroby, awarii albo zamieci.

Kiedyś owce oznaczały bogactwo. Europa potrzebowała wełny, a patagońskie stepy wydawały się stworzone do ich hodowli. Dziś zysk jest mniejszy, lecz zwierzęta nadal pozwalają rodzinom przetrwać. Olivaresowie nie uważali się za pustelników. Mieli radiostację, Internet i telefon, ale nie oczekiwali wiele od państwa. Chcieli tylko, by nikt nie odebrał im ziemi, będącej ich największym skarbem. Słuchając ich, pomyślałem, jak różne może być znaczenie własności. Dla człowieka z miasta ziemia jest lokatą kapitału. Dla nich była pamięcią przodków, miejscem pracy, schronieniem i warunkiem zachowania niezależności.

Spędziłem na estancji dwie doby, dostosowując się do rytmu gospodarstwa. Z gauchos przepędzałem bydło przez pampę, przyglądałem się strzyżeniu owiec i wypalaniu znaków właściciela. Uczestniczyłem także w poszukiwaniu pumy, która poprzedniej nocy zaatakowała trzodę. Nie było w tym nic z turystycznego przedstawienia. Drapieżnik oznaczał dla hodowców realną stratę, choć jednocześnie wszyscy wiedzieli, że to człowiek wkroczył na teren zwierzęcia, a nie odwrotnie. Wieczorem usiedliśmy przy ogniu. Rozcięte wzdłuż jagnię piekło się przez kilka godzin na ruszcie, a czas oczekiwania wypełniał gęsty, ciemny Malbec. Nad nami znajdowało się niebo tak czyste, że można było odnieść wrażenie, iż gwiazdy zaczynają się tuż nad głową. Noc była przeszywająco zimna. W takich chwilach człowiek nie potrzebuje luksusu. Wystarczają ciepło ogniska, kawałek mięsa, kieliszek wina i świadomość, że dzień zakończył się bez nieszczęścia.

Najbardziej znanym symbolem argentyńskiej Patagonii pozostaje lodowiec Perito Moreno. Widziałem w swoim życiu wiele wybitnych dzieł natury, ale nawet człowiek przyzwyczajony do niezwykłości staje przed nim w milczeniu. Lodowiec przypomina zamarznięte miasto. Jego czoło ma wysokość wielopiętrowej kamienicy, a ponad wodą wyrastają błękitne wieże, ostre iglice i spękane mury. Lód cały czas się porusza, choć ludzkie oko nie jest w stanie tego dostrzec. Słychać jednak jego pracę: trzaski, głuche pomruki i nagłe eksplozje.

W absolutnej ciszy ściana wielka jak dom odrywa się nagle z suchym hukiem i wpada do pastelowej wody. Powstaje gejzer, jezioro faluje, a echo przetacza się po górach. Człowiek czeka na kolejne oberwanie, ale lodowiec nie podporządkowuje się oczekiwaniom publiczności. Może milczeć przez godzinę, a potem ponownie przypomnieć o swojej potędze. Góry lodowe odpływają powoli, osiadają na brzegu i topnieją w słońcu. To widowisko piękne, ale także niepokojące, ponieważ uświadamia, jak dynamiczna i krucha jest pozornie nieruchoma materia.

Patagonia to nie tylko góry i lód. Na półwyspie Valdés obserwowałem wieloryby pojawiające się niemal przy burcie katamaranu. Potężne zwierzę wynurzało się nagle, wyrzucało fontannę pary, pokazywało grzbiet, a po chwili znikało, unosząc nad wodą ogonową płetwę. Wokół żyły słonie morskie, otarie, pingwiny i orki. Tym razem mogłem przyglądać się im z bezpiecznego pokładu. Przed laty, podczas samotnego rejsu szalupą ratunkową przez Atlantyk, spotkanie z wielorybami nie miało nic wspólnego z turystyczną atrakcją. Kiedy za plecami usłyszałem gwałtowny plusk i zobaczyłem wyskakującą z wody orkę większą od mojej łodzi, poczułem prawdziwy lęk. Było ich kilka. Wiedziałem, że jeden cios mógłby posłać szalupę na dno. Na oceanie człowiek nie ogląda natury – znajduje się całkowicie w jej władzy.

PRZEKRACZANIE WŁASNYCH GRANIC

Współczesna Patagonia zmienia się szybko. El Calafate, które kiedyś było senną osadą na pustkowiu, stało się jednym z najważniejszych ośrodków turystycznych regionu. W sklepie z pamiątkami znalazłem kiedyś pluszową owieczkę, patagoński symbol. Na metce widniało „made in China", a na jej boku ktoś wyhaftował słowo „Zakopane". Młoda sprzedawczyni nie miała pojęcia, co ono oznacza. Ten drobny absurd mówił więcej o globalizacji niż długi wykład ekonomisty. Nawet na końcu świata pamiątki produkuje się tysiące kilometrów od miejsca, które mają przypominać.

Bruce Chatwin w 1974 r. porzucił pracę w londyńskim „Sunday Times Magazine" i wysłał do redakcji krótki telegram: „Wyjechałem do Patagonii". Miał 34 lata i postanowił zacząć życie od nowa. Jego książka stworzyła literacki monument tej krainy, choć zarzucano mu nadmiar fantazji i brak ścisłości. Nie zmienia to faktu, że rozbudził w tysiącach ludzi pragnienie podróży innej niż wakacyjny pakiet. Przypomniał, że droga może być ryzykiem, spotkaniem z obcością i przekraczaniem własnych granic, a nie jedynie starannie zorganizowaną konsumpcją atrakcji.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest odkrywcą źródeł Amazonki, survivalowym guru. Uczył kosmonautów i jednostki antyterrorystyczne strategii przetrwania w nieprzyjaznych środowiskach.

eprasa.pl 14333fb3fb

POCZET POLSKICH WODZÓW

Marek Sobieski, harcerz kanclerza i króla



JACEK KOMUDA

Marek Sobieski starszy, urodzony ok. 1550 r., dziadek króla Jana III, to jeden z najsławniejszych polskich harcerzy. Pierwotne znaczenie tego słowa jest dziś nieco zapomniane i kojarzy się przede wszystkim z harcerstwem. Mało kto wie jednak, że powstające przed pierwszą wojną światową drużyny, wzorowane na angielskim ruchu skautów, przyjęły nazwę od harcowników, zwanych harcerzami. W dawnej Polsce określano tak najlepszych wojowników, którzy w czasie wojny, przed rozpoczęciem bitwy lub oblężenia, wyjeżdżali w pole, wyzywając na pojedynek najznamienitszych przeciwników. Od ich waleczności zależał często wynik walki, gdyż porażkę własnych harcerzy brano za złą wróżbę dla przyszłego starcia.

Marek Sobieski był takim właśnie harcerzem, karierę zaś zaczynał na dworze króla Stefana Batorego, gdzie 17 lipca 1576 r. został przyjęty jako dworzanin służący w sześć koni. Należał do najbardziej dzielnych i wiernych sług, chociaż od najmłodszych lat okazywał typową dla ludzi tamtej epoki skłonność do awantur i zwad. Wykazywał jednak tak wielkie męstwo w czasie turniejów i walk, że – jak pisał Bartosz Paprocki – znany był jako „mąż wyborny i prawy dworzanin, jaki żadnego harcu ani potrzeby nie opuścił". Sam król miał kiedyś powiedzieć, że gdyby los całego królestwa zależał od jednego harcu, powierzyłby go właśnie Markowi Sobieskiemu.

W czasie wojny z Gdańskiem bohater walczył razem z pocztem w chorągwi dworskiej, został ranny w nogę w bitwie nad Jeziorem Lubieszowskim, a w czasie pościgu wpadł do Wisły. Później uczestniczył w wojnach moskiewskich, odznaczając się w bitwie pod Toropcem. Jego zasługi były tak znaczące, że w czasie wyprawy na Psków został mianowany chorążym nadwornym. Jednocześnie Sobieski związał się blisko z kanclerzem Janem Zamoyskim i dzięki niemu zrobił karierę. Zapewne dlatego na elekcji 1587 r. poparł Zygmunta Wazę, a później bronił Krakowa przed wojskami księcia Maksymiliana. W przełomowym dniu oblężenia, 24 listopada 1587 r., szarża husarzy Sobieskiego rozbiła piechotę arcyksięcia i zadała jego wojskom spore straty. Dwa miesiące później bohater wziął udział w bitwie pod Byczyną na Śląsku. Sobieski cieszył się takim zaufaniem Zamoyskiego, że ten powierzył mu straż nad uwięzionym w Krasnymstawie arcyksięciem Maksymilianem Habsburgiem, który dostał się do niewoli po wspomnianej bitwie pod Byczyną. Zasłużył się też dla Rzeczypospolitej, kiedy w 1589 r., po uwolnieniu więźnia, wymusił na nim poręczenie, że złoży przysięgę, w której wyrzeknie się przyszłych starań o tron polski, co likwidowało przyszłe zagrożenie ze strony cesarza i jego rodziny.

W późniejszych latach Marek Sobieski zaangażował się mocno w politykę, był posłem na sejm w 1592 r., natomiast ciekawostką jest to, że od urodzenia był kalwinem. Jednak przed 1598 r. przeszedł na katolicyzm, początkowo sekretnie, dopiero we wspomnianym roku ujawnił konwersję. W 1599 r. został wojewodą lubelskim.

W 1600 r. bohater brał udział w wyprawie Jana Zamoyskiego do Mołdawii i na Wołoszczyznę, przeciwko hospodarowi Michałowi Walecznemu, wspierającej jego przeciwnika Jeremiego Mohyłę. W bitwie pod Bukowem walczył na prawym skrzydle wojsk polskich, dowodząc także własnym pułkiem jazdy. Później dowodził na Ukrainie wojskiem kwarcianym w zastępstwie Stanisława Żółkiewskiego. W 1602 r. na kolejną wyprawę mołdawską wystawił własne oddziały 900 jazdy i 100 piechoty.

Marek Sobieski był człowiekiem, który położył podwaliny pod potęgę rodu, zabiegając o powiększenie rodowych włości. W 1581 r. otrzymał wieś Pilaszkowice, w której później jego wnuk, Jan Sobieski, romansował z Marysieńką; pod koniec XVI w. nabył dobra złoczowskie na Rusi obejmujące ponad 60 wsi. Miał też pomniejsze majątki na Podolu i w ziemi chełmskiej, a także kamienicę w Lublinie. Od króla Stefana otrzymał w dożywotnią dzierżawę starostwo świniuskie na Wołyniu składające się z miasteczka i siedmiu wsi.

Sobieski zmarł 10 listopada w Pilaszkowicach. Pozostawił ośmioro dzieci z dwóch żon – Jadwigi Snopkowskiej i Katarzyny Tęczyńskiej. Jego syn, Jakub, był ojcem Marka i Jana Sobieskich, z których starszy został zamordowany przez Tatarów po bitwie pod Batohem, a młodszy stał się sławnym wodzem i został wybrany na króla Polski jako Jan III Sobieski. Marek Sobieski pochowany został w Lublinie, w Kościele oo. Bernardynów. ©℗



FOT. DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl 14333fb3fb

CUPRA FORMENTOR TRIBE EDITION 204 KM



FOT. JAP

Limitowana wersja popularnego sportowego crossovera z hiszpańskim temperamentem została zaprojektowana tak, aby przyciągać wzrok przechodniów i innych kierowców. I rzeczywiście skutecznie pozwala wyróżnić się w tłumie innych suvopodobnych. Muskularną sylwetkę testowanego egzemplarza zdobił matowy lakier Manganese Matt, który wpadał w elegancką, ciemną zieleń. Aby całość z zewnątrz robiła dobre wrażenie, auto zostało doposażone w 19-calowe felgi aluminiowe w wariancie Tribe Edition.

Pod maską pracuje dynamiczny czterocylindrowy silnik 2.0 TSI o mocy 204 KM (spotkać go można również w takich autach koncernu, jak VW Golf R czy Audi S3). Benzynowa jednostka sprawnie współpracuje z siedmiobiegową skrzynią automatyczną (DSG). Maksymalny moment obrotowy: 320 Nm. Napęd: na cztery koła. Taka konfiguracja pozwala na sprint od zera do 100 km/h w 6,7 s. Prędkość maksymalna wynosi zaś 225 km/h.

W trybie komfortowym Formentor prowadzi się spokojnie niczym krążownik szos, ale po przełączeniu na tryby Cupra układ kierowniczy staje się sztywniejszy, a auto potrafi dać sporo frajdy z jazdy (jak na crossovera). Apetyt na paliwo zależy od tego, jak ciężką nogę ma kierowca. W cyklu mieszanym podczas naszego testu spalanie wyniosło średnio 7,8 l/100 km, ale sądzę, że przy spokojniejszej jeździe dałoby się zejść poniżej 7,5 l/100 km.

W kabinie hiszpańscy projektanci zastosowali tapicerkę ekologiczną Tribe Edition. Na pochwałę zasługują też wyjątkowo wygodne fotele. Cechą charakterystyczną Formentora jest też połączenie SUV-a z niską, przypominającą hatchback pozycją za kierownicą (to taki crossover dla ludzi, którzy tak naprawdę nie chcą crossovera). Jakość wykończenia jest niezła. Nie zabrakło też charakterystycznych dla hiszpańskiej marki miedzianych akcentów. Miejsca z przodu jest mnóstwo. Z tyłu również dorośli mają przyzwoicie dużo przestrzeni na nogi. Jakość obrazu z kamery cofania jest przyzwoita, ale konkurenci z innych kontynentów mogą pochwalić się lepszą. Bagażnik ma 420 l pojemności.

Za Formentora w bazowym wariancie wyposażenia z silnikiem o mocy 150 KM i manualną skrzynią biegów trzeba zapłacić 145,2 tys. zł. Ceny wersji Tribe Edition zaczynają się od 163,3 tys. zł.

Cupra Formentor może się pochwalić pięcioma gwiazdkami w testach zderzeniowych Euro NCAP. Auto uzbrojone jest również w liczne systemy bezpieczeństwa, w tym bardzo sprawnie działający Front Assist z funkcją awaryjnego hamowania i ochrony pieszych oraz rowerzystów.

Testowany egzemplarz wyposażony był m.in. w dodatkowe poduszki powietrzne, nawigację satelitarną, kilka pakietów ulepszających (m.in. Intelligent Drive i Pure Performance) oraz wspomniany na początku lakier Manganese Matt (tylko on wymaga dopłaty 7168 zł). Łącznie ze wszystkimi dodatkami auto zostało wycenione na 230 196 zł.

KAMERA REOLINK FLOODLIGHT F850W



Jasne reflektory LED, wyraźny obraz z obu obiektywów, brak martwych stref, prosta instalacja i obsługa – to największe zalety inteligentnej zewnętrznej kamery IP chińskiej marki Reolink.

To nie jest pierwsza lepsza kamera do domowego monitoringu. Reolink Floodlight F850W jest wyposażona w ruchomą głowicę (z funkcją obrotu o 355 stopni w poziomie i pochylenia o 110 stopni w pionie). Uzbrojono ją w podwójny obiektyw o jasności f/1.6 z sześciokrotnym hybrydowym zoomem. Rozdzielczość 8 MP (3840 x 2160 pikseli) sprawia, że obraz jest wyraźny i pełen szczegółów. Nad kamerą zamocowano również dwa reflektory o jasności 3000 lumenów, które dobrze doświetlają monitorowany obszar (pozwala to na rejestrowanie obrazu nocą w kolorze i z wieloma detalami na odległość do 30 m). Wbudowane reflektory mogą też pomóc w odstraszeniu potencjalnego złodzieja.

Dodatkowo dzięki trzem czujnikom podczerwieni testowane urządzenie potrafi wykryć intruza, nawet jeśli obiektywy zwrócone są akurat w innym kierunku. Po wykryciu postaci kamera namierza ją i może automatycznie za nią podążać. Bardzo dobrze działają też algorytmy AI służące do rozpoznawania ludzi, zwierząt oraz samochodów. Można też ustawić wykrywanie przekroczenia linii czy wejścia do strefy. Powiadomienia przychodzą błyskawicznie, a w razie potrzeby można włączyć syrenę o głośności 110 dB.

Kamera może rejestrować obraz przez całą dobę, zgodnie z harmonogramem, lub jedynie po wykryciu sylwetki człowieka lub zwierzęcia. Zdarzenia można zapisywać lokalnie na karcie microSD (do 512 GB). Wbudowany mikrofon i głośnik pozwalają na prowadzenie krótkich rozmów, np. z kurierem.

Zarówno instalacja, jak i późniejsza obsługa tej kamery są proste. Aplikacja – na systemy iOS, Android, Windows oraz macOS – jest darmowa. Nie ma tu też żadnych opłat miesięcznych za korzystanie z domowego monitoringu.

Klasa odporności to IP66, co oznacza, że kamera jest całkowicie pyłoszczelna oraz odporna na silne strumienie wody płynące z każdego kierunku.

Minusy? Po pierwsze, brakuje możliwości podłączenia Internetu przez kabel (na szczęście łącze Wi-Fi 6 działa stabilnie i szybko). Po drugie, w zestawie nie ma nawet najtańszej karty microSD (trzeba ją dokupić osobno). Po trzecie, wystarczy rzut oka na komunikat „wykryto dzikie zwierzę", gdy akurat pod kamerą przechadza się niewielki kundelek, aby dojść do wniosku, że tłumaczenie na polski w aplikacji można by w paru miejscach poprawić. Cena: 849,99 zł.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl 14333fb3fb



MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK I ANNA POPEK Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Smak lata

Carpaccio nie zawsze oznacza cieniutko pokrojone kawałki wołowiny. To szybkie danie możemy przygotować również ze świeżych, dojrzałych pomidorów. Najlepiej sprawdzą się pomidory malinowe albo bawole serca, najważniejsze, aby były dojrzałe i soczyste. A takie właśnie są nasze polskie sierpniowe pomidory, obłędnie pachną, mają wspaniały kolor i smak, który pozostaje na bardzo długo. Kuchnia wakacyjna, sierpniowa, powinna być szybka, oparta na wakacyjnych zbiorach, bo latem możemy sobie pozwolić na lekkie dania na zimno albo na jednogarnkowe, których przygotowanie nie zajmuje nam dużo czasu. To takie dania idealnie pasujące do włoskiego „dolce far niente", czyli słodkiego nicnierobienia albo „miłego próżnowania", bo przy przygotowaniu za bardzo się nie napracujemy.

Aby przygotować carpaccio, potrzebujemy najlepszych pomidorów, ale przede wszystkim dobrej jakości oliwy z oliwek, bogatej w polifenole, czyli związki, które działają jak silne przeciwutleniacze, chronią nasze komórki przed starzeniem, zmniejszają stany zapalne i wspomagają pracę serca. Taką oliwą obficie polewamy talerz, delikatnie posypujemy go solą, ale nie zwykłą, najlepsza będzie sól Maldon, która zmienia w kuchni wszystko, a przede wszystkim dodaje chrupkości, a także lekkiego słonego posmaku. Charakteryzuje się ciekawym kształtem kryształków przypominających małe piramidki. Dobrze jest w kuchni eksperymentować i zmieniać nieco tradycyjne przepisy, bo carpaccio to przecież danie przypominające nasze polskie pomidory posypane pokrojoną w piórka cebulą i grubo posypane solą – niegdyś żadne przyjęcie nie mogło się bez tego odbyć.

Carpaccio z letnich pomidorów

• 3 dojrzałe pomidory malinowe, bawole • 6 łyżek dobrej oliwy z oliwek • sól • ½ opakowania tartego parmezanu – 75 g • opcjonalnie możemy dodać 3 łyżki pesto bazyliowego • świeże liście bazylii

Talerz obficie polewamy oliwą z oliwek, pomidory kroimy najcieniej, jak tylko umiemy, układamy równomiernie na talerzu, posypujemy solą i tartym parmezanem. Na wierzchu możemy położyć pesto bazyliowe i posypać świeżą bazylią. Koniecznie podawać z grzankami. ©℗

FOT. ADOBE STOCK





JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Człowiek znikąd

Razem z panem Bojańczykiem lubimy czasem w letni wieczór obejrzeć coś na Netflixie. Nie fabułę – to byłaby przesada. Ale, jako że jedynie prawda jest ciekawa (cytując Mackiewicza), wolimy kategorię „dokumenty".

Poznać kawałek Ameryki od środka, choćby w ujęciu netflixowym, jest nie do pogardzenia, a historie tu opowiedziane są rzeczywiście prawdziwe. Nie mówię o dokumentach historycznych, o wojnach, mężach stanu, choć i te są ciekawe. Oglądamy rozrywkowo, nie edukacyjnie sfilmowane opowieści o rzeczywistości amerykańskiej. Na użytek serialu są odpowiednio sformatowane, jednak w każdym odcinku występują prawdziwi uczestnicy opowieści. Czasem dołożona jest bardzo dobra animacja.

Cykl „Koszmarni eks": love story bez happy endu. Nie spojleruję, bo sam tytuł zapowiada niezbyt szczęśliwe zakończenie. Miła dziewczyna poznaje miłego faceta. Wybucha miłość, odbywa się „randkowanie", wszystko zmierza w szczęśliwą stronę. Zamieszkują razem i wszystko wydaje się idylliczne, gdyby nie to, że po pewnym czasie, krok po kroku, książę małżonek, o którym niewiele do tej pory wiedzieliśmy, zaczyna odsłaniać nieznane wcześniej oblicze, raczej nieprzyjemne. Różne bywają objawy metamorfozy: chorobliwa zazdrość, upodobanie do bitki (w języku współczesnej psychologii – zachowań przemocowych), ujawnienie ponurych sekretów poprzedniego życia i ich skutków, długi itp. Koniec bywa różny, chociaż na ogół sprawa kończy się wyrokiem sądowym. W Ameryce prawo działa przyzwoicie. Ale gdzieżby Netflix zostawiał widza z poczuciem niespełnienia? Taki widz mógłby nie wrócić.

Każda z tych godzinnych historii jest inna, ale jedną rzecz mają wspólną. Bohaterowie poznają się przez Internet. Tinder, czaty, Facebook, Instagram... Taki człowiek wyłania się z sieciowych czeluści incognito, pozbawiony rzeczywistego otoczenia. Nie ma przy nim rodziny, szkoły, uczelni, znajomych – jest pojedynczy człowiek ze swoją autoprezentacją, z wybranymi przez siebie faktami z życia i zdjęciami, które mają ilustrować jego historie. Poznajemy kogoś tylko z faktów, które sam o sobie przedstawia. Że czasem są to same kłamstwa, bohaterki przekonują się zazwyczaj, gdy jest za późno, gdy urzekający brunet okazał się kłamcą i oprawcą.

W rzeczywistości analogowej ludzie poznawali się w szkole, na podwórku, przez sąsiadów, przez znajomych. W Internecie, gdzie rzekomo jest cały świat, tego wszystkiego nie ma. Każdy może sam skonfigurować własną wersję, tak żeby jak najlepiej sprzedawała się w sklepie internetowym oferującym miłość.

Co za ulga, że nie muszę nikogo poznawać na Tinderze. ©℗

eprasa.pl 14333fb3fb



PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Dla podtrzymania rozmowy

Kardynalna zasada żurnalizmu publicystycznego brzmi: jeśli zajmujesz się jakimś kontrowersyjnym tematem, to musisz przedstawić racje wszystkich stron. Praktycznie oznacza to, że na dyskusje do studia w radiu czy telewizji trzeba zaprosić reprezentantów wszystkich stron konfliktu, słowem – tych „za", tych „przeciw", a jeśli są, to i tych „pomiędzy". W Italii dzięki temu ogromną karierę medialną zrobił proruski profesorek historii i filozofii Angelo d'Orsi. Jako miłośnik Putina, a przysięgły wróg zachodniego imperializmu występuje kilka razy w tygodniu – czy to w publicznej RTV RAI, Mediasecie Berlusconich, czy ultrapostępowej telewizji La7. Opowiada niestworzone brednie, ale jest potrzebny dla „poddierżki razgawora".

Równie często w telewizji pojawia się powszechnie znany postępowiec Marco Travaglio, naczelny dziennika „Il Fatto Quotidiano". Jest ekspertem od spraw wszelkich, ale przede wszystkim występuje jako arcyjadowity krytykant premier Giorgii Meloni. Fenomen Travaglia polega na tym, że wszędzie go pełno, choć niemal wszystkie jego ekspertyzy i prognozy były żałośnie chybione, a co więcej – złapano go wielokrotnie na kłamstwie.

W lutym 2022 r., zaledwie dzień przed ruskim atakiem na Ukrainę, breszył, że zagrożenie militarne ze strony Rosji to kolejny amerykański fake news. Następnego dnia perorował, że Ruscy pojawią się w Kijowie najdalej za tydzień. W 2013 r., przed wyborami, wspierał i przewidywał sukces partii Rewolucja Obywatelska. Ta otrzymała 2,25 proc. głosów. Jeszcze gorzej było dziewięć lat później. Postawił na Unię Ludową. Dostała 1,43 proc. głosów. Co więcej, Travaglio nie stroni od kłamstwa.

Niedawno puścił w obieg łgarstwo o tym, że minister sprawiedliwości Carlo Nordio w Urugwaju korzystał z usług domu rozkoszy. Przed marcowym referendum w sprawie przecięcia pępowiny między sędziami a prokuraturą Travaglio opublikował fragmenty dwóch wywiadów sędziów Paula Borsellino i Giovanniego Falcone sprzed lat (1991), zamordowanych potem przez mafię. Obaj sędziowie, cieszący się ogromnym szacunkiem Włochów, mieli w nich przestrzegać przed rozdziałem sądownictwa od prokuratury. Okazało się, że te wywiady (rzekomo udzielone „La Repubblica" i „Samarcanda") Travaglio po prostu zmyślił. Włoskie Stowarzyszenie Dziennikarzy, zawieszające żurnalistów z powodu poglądów politycznie niepoprawnych, nawet się nie zająknęło w sprawie Travaglia, mimo że popełnił największe dziennikarskie grzechy z możliwych: łgał, zmyślał i oczerniał. Ma immunitet, bo wyznaje właściwe poglądy. ©℗



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Okradanie powodzian

Kiedy przyszły pierwsze wieści, że ukraińscy oligarchowie okradają z zagranicznej pomocy swój naród, a ten pokornie to znosi, podczas gdy jego synowie walczą po okopach tej dziwnej wojny, odkryłem w sobie pewne ziarnko pogardy. Nie jestem człowiekiem, który jest w stanie myśleć z pogardą nawet o innych, nie tylko o narodach, lecz także pojedynczych ludziach, dlatego ze zdziwieniem skonstatowałem swój niezwykły stan. Polegał on na tym, że nie mogłem zrozumieć takiej wręcz niewolniczej uległości. Myślałem o mentalności pogodzenia się z sytuacją, gdzie w kraju ci, którzy cię wysyłają na front, ograbiają cię jednocześnie ze środków, które pozwalają ci nie tyle wygrać, ile przetrwać, a ty jako naród się z tym godzisz. Myślałem o tym, może nie z wyższością, ale z pewnością, że ten numer by u nas nie przeszedł. Myliłem się.

Przy zachowaniu proporcji numer z przewaleniem kasy z przeznaczeniem na pomoc powodzianom różni się tylko tym od ukraińskiego, że u nas nie ma wojny. Jak mówi premier – jeszcze. Tragedie, które widzieliśmy na ekranach, utrata całego ciężko gromadzonego przez lata majątku, bezradność państwa pt. „Ja wam wójta nie wybierałem" to były obrazki, które wyzwalały narodowe poczucie solidarności i chęć pomocy. Okazały się dla władz jedynie PR-owskim wyzwaniem, które trzeba było obejść, kiedy bezwład władzy miano przykryć hojnością pomocy publicznej. I poszły miliardy. Jedne, nie wiadomo dlaczego, do Jurasa, który – bagatela! – kupił wodę dla powodzian. Drugie – przez agencje, takie jak ta Karkonoska Agencja Rozwoju Regionalnego, które miały się zająć selekcją wniosków o pomoc i dystrybuować środki.

I mamy przykład jak ze Szpitalem Południowym. Okazuje się, że Polska obrosła takimi patologiami, które rozprzestrzeniły się na wszelkie rodzaje publicznej aktywności za państwowe pieniądze. To tam siedzą politycy, w każdej gminie, regionie czy miasteczku. Rozrzuceni po Polsce wedle mapy dystrybucji publicznego grosza. Partia, która poszła do wyborów z hasłem, że PiS kradnie, że to wszystko rozliczy, obecnie będzie się tłumaczyć, iż to wyizolowane przypadki, które będzie się wypalać gorącym żelazem. Losy Szpitala Południowego, tego chowania wszystkiego pod dywan, pokazują, że jest to układ już systemowy i wszechobecny, którego uśmiechnięta władza będzie bronić jak przynależności do Unii, a więc bardziej niż niepodległości.

I co? I nic. Partia Tuska i po aferze w szpitalu, i po aferze powodziowej wciąż jest najpopularniejszą partią w Polsce. A ja się ze smutkiem pochylałem nad Ukraińcami i ich niewolniczą biernością… ©℗

eprasa.pl 14333fb3fb

SPODE ŁBA

Kto zachwalał Andrzeja Dudę?



DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

Ożywione dyskusje towarzyszyły minionej niedawno pierwszej rocznicy objęcia przez Karola Nawrockiego urzędu Prezydenta Rzeczypospolitej. Przedstawiciele licznych sił politycznych i partii przekonywali nas na wyścigi, że to właśnie ich wsparciu zawdzięczał prezydent Nawrocki wyborcze zwycięstwo. „Karol Nawrocki wygrał wybory prezydenckie dzięki połączeniu poparcia Prawa i Sprawiedliwości, szerokiego ruchu obywatelskiego oraz własnych cech charakteru" – podsumował te rozważania prof. Andrzej Nowak podczas debaty zorganizowanej w pierwszą rocznicę zaprzysiężenia prezydenta Nawrockiego.

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA



„Sukces ma wielu ojców" – głosi popularne przysłowie. Tym bardziej dziwić może gęstniejąca zasłona milczenia, otaczająca zakończoną przed rokiem, dwukadencyjną prezydenturę Andrzeja Dudy. Choć okrągłe rocznice łączy ze sobą tak wiele, to poprzednik Karola Nawrockiego traktowany jest w naszej polityce na podobieństwo podrzuconej w Krakowie sierotki. Nie widać także chętnych do wzięcia na siebie współodpowiedzialności za rządy byłego prezydenta, jeszcze niedawno reklamowanego Polakom jako postać opatrznościowa, o „historycznym" znaczeniu i epokowych dokonaniach. „Komitety poparcia" Andrzeja Dudy składały się w końcu z tych samych „autorytetów prawicy", które w roku 2025 pomogły wynieść do władzy Karola Nawrockiego. Trudno więc zrozumieć, dlaczego o cechach charakteru aktualnie rządzącego prezydenta debatować chcą profesorowie i dziennikarze, a osobowość jego poprzednika przestała być tematem uczonych rozważań.

Świeżo opublikowany sondaż wskazuje, że aż 61,5 proc. Polaków nie życzy sobie powrotu Andrzeja Dudy do czynnej polityki. Przeciwnego zdania jest 18,8 proc. ankietowanych, podczas gdy 19,7 proc. nie ma w tej sprawie żadnego zdania. W innym, przeprowadzonym przez IBRiS sondażu za najlepszą głowę państwa w historii III RP uznało Andrzeja Dudę tylko 2,1 proc. ankietowanych. Mniejszą liczbę zwolenników mają jedynie Lech Wałęsa i Wojciech Jaruzelski.

Równie bolesne jak niewdzięczność wyborców musiały być dla Andrzeja Dudy wypowiedziane niedawno słowa Donalda Trumpa. Wspominając ubiegłoroczne wybory prezydenckie w Polsce i swoje poparcie dla Karola Nawrockiego, amerykański przywódca oznajmił: „Nie podobał mi się człowiek, który był prezydentem. Więc Nawrockiego poparłem". Chociaż sam Andrzej Duda przechwalał się publicznie sympatią Donalda Trumpa, to wypowiedź amerykańskiego przywódcy zdaje się temu przeczyć. Zdążył on już zapomnieć o rządzącym w Polsce koledze albo pomylił go z jakimś innym potakiwaczem? Donald Trump ma wokół siebie gorliwych pochlebców bez liku, łatwo mu więc zapomnieć mniej wyraziste postaci.

Po opuszczeniu Pałacu Prezydenckiego Andrzej Duda znalazł pracę w radzie nadzorczej spółki technologicznej ZEN.com. W towarzystwie założyciela tej spółki odwiedził ostatnio, z niezobowiązującą wizytą, szefa podległej MON Agencji Uzbrojenia. „Wizyta w Instytucji podległej rządowi RP nie jest przestępstwem ani niczym niestosownym" – pouczył były prezydent podejrzewających go o zbrojeniowy lobbing dziennikarzy. Nie jest jeszcze jasne, jakie zadania wyznaczył Andrzejowi Dudzie jego kolejny pracodawca – amerykańska Heritage Foundation. Na terenie USA wyróżniła się ona zwalczaniem organizacji i osób, których poglądy uznała, w sposób całkowicie arbitralny, za antysemickie. W ramach kontrowersyjnego Projektu Esther fundacja Heritage zorganizowała w ostatnich latach akcję usuwania z amerykańskich uniwersytetów (a w wypadku obcokrajowców – deportacji) studentów okazujących solidarność mordowanym w Gazie Palestyńczykom. Czy były polski prezydent mógłby sobie poradzić z przeniesieniem Projektu Esther na grunt naszych wyższych uczelni? Nie wróżę mu sukcesu. Kupiony ostatnio przez Andrzeja Dudę czarny kabriolet Porsche Boxster nie umywa się, pod względem wywieranego wrażenia, do legendarnej „czarnej wołgi", straszącej niegrzeczne dzieci w epoce PRL. ©℗

eprasa.pl 14333fb3fb



KRYSTIAN KRATIUK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Tylko w Polsce

Sporo mówiło się ostatnio o grillu u Mateusza Morawieckiego. Choć tego typu wydarzenia organizowane są w wielu miejscach świata, to partyjny grill byłego premiera różnił się tym, czym mógł się różnić tylko w Polsce. Otóż tylko w pięknym kraju nad Wisłą możliwe jest, aby tego dnia lider prorozwojowej formacji wystarał się u biskupa miejsca o dyspensę od piątkowego postu od pokarmów mięsnych. Wszystko po to, by katolicy, którzy będą uczestniczyć w grillowym party organizowanym w piątek, nie mieli dylematu sumienia. Zupełnie abstrahując od sympatii lub braku sympatii wobec Morawieckiego – ten gest wzbudza mój głęboki szacunek. Abstrahując też od decyzji biskupa i tego, czy godzi się taką dyspensę wydawać czy też z takiej okazji może wywołać wyłącznie salwy śmiechu i oburzenie co bardziej restrykcyjnych – to naprawdę mogło wydarzyć się tylko w Polsce. I tylko w Polsce mogło wywołać zainteresowanie mediów.

Zresztą tylko w Polsce ten pobożny zwyczaj utrzymuje się jeszcze na taką skalę. Tylko w Polsce wszystkie portale katolickie i zupełnie spora część portali mainstreamowych co któryś piątek podają informacje na ten temat. I tylko w Polsce mogli znaleźć się kapłani, którzy nie mogą powściągnąć postępowych poglądów tak bardzo, aby zmusić się, by raz na jakiś czas zamknąć buzię i nie pośmiać się z ludzi praktykujących piątkowy post. Serio, tylko w Polsce.

Tylko w Polsce może też działać i pisać człowiek o pięknym polskim imieniu Ziemowit, któremu tak bardzo nie pasuje nasza pobożność, że decyduje się wyrzygać z siebie tweeta o za głośnym według jaśnie pana „nadupcaniu przez polski kler mszy" w Ostrej Bramie. Tylko w Polsce taki typ może napisać o Mszy w wileńskim sanktuarium, że „tylko Rosjanie jeszcze potrafią być tak prostacko bezczelni i małostkowi, wulgarnie imperialistyczni" (sic!). Tylko w Polsce poważany w tak wielu środowiskach może być człowiek reprezentujący sobą tak kretyński poziom ojkofobii. Tylko w Polsce może sam siebie uważać za „człowieka z klasą" (cytat z tego samego tweeta) gość, który nie wie, że Ostra Brama pomyślana została jako miejsce modlitw na ulicy właśnie i że wszystkie Msze są na tej ulicy słyszalne. I tylko w Polsce oklaskiwany na salonach jako autorytet może być człowiek, który chcąc uchodzić za tolerancyjnego, wyśmiewa swoich rodaków za granicą, gdy stanowią tam mniejszość narodową i modlą się w swoim języku. Serio, tylko w Polsce im się to nie kłóci.

Ale też tylko w Polsce publiczny wymiot takiego pisarza zrobi karierę w mediach i tylko w Polsce znajdą się ludzie, którzy będą potrafili z klasą mu odpowiedzieć. I bez klasy też, jak ja.

Tylko w Polsce w tych samych dniach jeden z katolickich publicystów też może publicznie pisać, prawdopodobnie zainspirowany słynniejszym kolegą pisarzem, że Polacy za głośno modlą się na różańcu w innym zagranicznym sanktuarium. No wstyd na cały świat.

Wreszcie tylko w Polsce ludzie tak szeroko komentować będą wydawanie własnych pieniędzy przez prywatnego inwestora, stawiającego monumentalny pomnik Matki Bożej na własnej ziemi. Tylko w Polsce zaglądać mu mogą w kieszeń (nie oddając przy tym na cele dobroczynne żadnych swoich pieniędzy) i wyliczać, co on dobrego mógłby zrobić za takie pieniądze. I oczywiście w żaden sposób nie sprawdzając, ile charytatywnych inicjatyw człowiek ten już w życiu wsparł, ilu ludziom dał pracę i ile rodzin ma na chleb dzięki temu właśnie człowiekowi. Nie wspomną też, że mógł te pieniądze wydać na jacht albo przelać na konto w raju finansowym, nieprawdaż?

Tylko w Polsce do tego chóru dołączyć może ksiądz celebryta, który w iście klaunowskim stylu o figurze Matki Bożej powie „King Kong w środku pola" i nie spotka się to z reakcją jego przełożonych.

Ale też tylko w Polsce mógł stanąć taki pomnik. Tylko w Polsce zamożni ludzie mogli chcieć tak widowiskowo dziękować za swoje życie Matce Chrystusa i starać się przyciągnąć innych do Jej miłosiernych ramion. Serio, tylko w Polsce.

Polsko, trwaj! Jesteś najpiękniejsza na świecie. ©℗

Tylko w Polsce ludzie tak szeroko komentować będą wydawanie własnych pieniędzy przez prywatnego inwestora, stawiającego monumentalny pomnik Matki Bożej na własnej ziemi

eprasa.pl 14333fb3fb

I KOMU?



FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Mam kumpla, który jest mocno wyluzowany. Poznaliśmy się lata temu – był ze mną na warsztatach fotograficznych w Amazonii. Inni uczestnicy zabrali wypasione aparaty, a on w ostatniej chwili kupił w markecie jakieś puzdereczko wielkości paczki papierosów, bo sobie przypomniał, że to warsztaty FOTOGRAFICZNE, a nie tylko „w Amazonii". On jechał do Amazonii – reszta grupy na warsztaty. I taki był wyluzowany, że robił tym puzdereczkiem bardzo dobre zdjęcia, które potem omawialiśmy na warsztatach.

Teraz spotykamy się przy ognisku i gadamy o zjawiskach. On ma taką luzacką frazę, którą wtrąca do rozmowy: I komu to przeszkadzało? Potem obaj ryczymy ze śmiechu. Obecnie jest cała masa rzeczy, które komuś przeszkadzają. Jest też cała masa rzeczy, które komuś przeszkadzały i zostały zlikwidowane lub wytępione.

Przykład: dowcipy o Murzynach, Żydach, Niemcach… są tępione, bo „stereotypy rasowe i etniczne są złe". Jak to złe? – pytam jako antropolog. Stereotypy są kluczowe dla rozumienia innej kultury i rasy. Aby zrozumieć, jak działa auto, trzeba najpierw opisać auto stereotypowe. Aby nauczyć patriotyzmu, trzeba się posłużyć stereotypami na temat polskości.

Stereotypy są też kluczowe, aby dało się zbudować komedię. W podstawówce przerabialiśmy „Satyrę na leniwych chłopów" – klasyk oparty na… STEREOTYPIE leniwego chłopa.

Chłopa można zastąpić Murzynem i też będzie zabawnie. Przykład najprostszy: Co robi Murzyn? Nic.

Albo: Co Murzyn ma białego? Słuchać!

***

„I komu to przeszkadzało?" to fraza retoryczna, czyli nie wymaga odpowiedzi. Ale ja państwu powiem, komu to przeszkadzało. Różne dobre lub fajne rzeczy poznikały, bo przeszkadzają władzy. Ogólnie władzy przeszkadza LUZ. Wszystko da się sprowadzić do tego, że im (władzy) przeszkadza, gdy my mamy luz. Gdy robimy coś po swojemu lub gdy się nie przejmujemy tym, czego chce władza. Władza nienawidzi, gdy jest olewana przez naród.

Dlatego oni stale zacieśniają pętlę, stale czegoś zabraniają lub coś regulują. Lampy w moim starym aucie wymieniałem już dwa razy, bo robiły się niezgodne z nowymi przepisami.

Postawię tezę ryzykowną: Władza zajmuje się likwidowaniem rzeczy dobrych. Mieliśmy dobry mocny sektor tytoniowy, byliśmy dostawcą surowców mentolowych do USA – zlikwidowali. Przemysł futerkowy – zlikwidowali. Flotę polskich kutrów i połowy na Bałtyku – zlikwidowali. Tani prąd z węgla – zlikwidowali. Granicę z Niemcami – zlikwidowali. Ja uważam, że była bardzo dobra! I przydałaby się dzisiaj. Była sobie granica i komu to przeszkadzało?

***

Garuda – indonezyjskie linie lotnicze. Kiedyś znane były z tego, że na pokładzie serwowano drinki bez ograniczeń we wszystkich klasach. Polewali, ile kto chciał. Gdy przylatywał Garuda Indonesia, ze środka wytaczała się radosna gromada ludzi. Gdy wcześniej samolot wpadał w turbulencje, ludzie nie panikowali, lecz wiwatowali i unosili ręce jak na kolejce w lunaparku. I komu to przeszkadzało?

Pamiętam też czas, gdy lecąc samolotem piętrowym (są takie na długich trasach), mogłem sobie iść na pięterko i tam był normalny bar z barmanem. Można było rozprostować nogi, stanąć przy szynkwasie, zamówić, pogadać. Duży piętrowy samolot jest bardzo stabilny, a radar podaje z wyprzedzeniem, kiedy ewentualnie będzie trzęsło, i wtedy odpowiednio wcześniej zamykano ten bar. I komu to przeszkadzało?

Gdy zapytałem stewardesę, gdzie się podział bar, odpowiedziała mi tak: Jakiś korporacyjny palant wyliczył, że w miejsce baru można wstawić kilka foteli klasy biznes, i wtedy bar zniknął.

No to już wiem, komu to przeszkadzało.

***

Przed wojną 15 sierpnia obchodzono Święto Żołnierza. Dziś w tym dniu jest Święto Wojska Polskiego. Różnica jest ZASADNICZA. Dziś świętujemy instytucję – przed wojną oddawaliśmy cześć bohaterom.

Dziś mamy ministra obrony narodowej – przed wojną był minister spraw wojskowych. Jeżeli wojsko zajmuje się wyłącznie obroną narodową, to znaczy, że jest z definicji w defensywie. Czeka na atak. To ja tak nie chcę, bo nie czuję się bezpiecznie, gdy armia czeka na atak. A co z uderzeniem prewencyjnym? Co z atakiem na wroga, ZANIM wróg zaatakuje nas?

Ustanowienie Święta Żołnierza sankcjonował rozkaz ministra spraw wojskowych z 4 sierpnia 1923 r. Święto Żołnierza nie zostało nigdy odwołane równorzędnym lub wyższym aktem. Powinno obowiązywać do dziś. Po obaleniu komunizmu powinniśmy byli przywrócić konstytucję, która obowiązywała w 1939 r. – wtedy i tylko wtedy można by mówić o ciągłości państwa polskiego. Ale nie – władza z Magdalenki zdecydowała się na wybudowanie nowego tworu, który jest kontynuacją PRL, a nie przedwojennej RP. Nie przywrócili przedwojennego pieniądza, przedwojennych ustaw, nie odmówili spłaty długów zagranicznych zaciągniętych przez komunistyczne władze okupacyjne. Płacimy to chyba do dziś. Nie przywrócili też przedwojennego kodeksu karnego, w którym była kara śmierci dla urzędników państwowych złapanych na korupcji. Taka ładna kara, dziś by się przydała, dziś by bardzo pasowała.

I komu to przeszkadzało?

Im.

***

15 sierpnia 2026 r. w kaplicy pod obrazem Matki Bożej Częstochowskiej wartę pełniło wojsko. W trakcie Apelu Jasnogórskiego usłyszałem wrzask kobiety wydającej komendę. Niedobre! Kiedyś w armii nie było kobiet.

Przykład: W razie zagrożenia kobiety i dzieci ewakuuje się jako pierwsze. Czemu kobiety? Aby mężczyźni mogli w ciszy zastanowić się nad planem działania. Nawet wyznawcy feminizmu, w sytuacji zagrożenia instynktownie wiedzą, że kobiety i dzieci ewakuujemy, a potem faceci mają ogarnąć resztę. Dlatego kiedyś w wojsku nie było kobiet. I komu to przeszkadzało? ©℗

eprasa.pl 14333fb3fb

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"

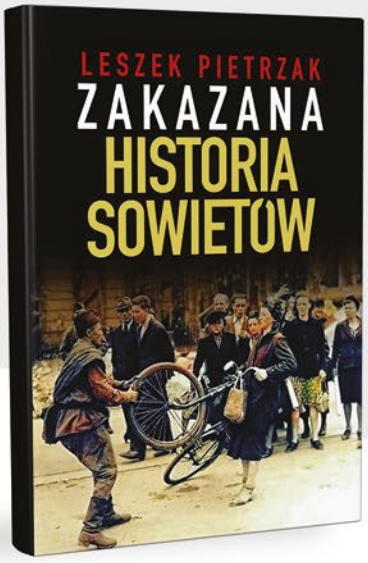

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

LESZEK PIETRZAK
„ZAKAZANA HISTORIA SOWIETÓW"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~1353~~ ZŁ

547,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 806 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

- Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
- Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki czemu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon.-pt. od 10:00 do16:00) INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl 14333fb3fb

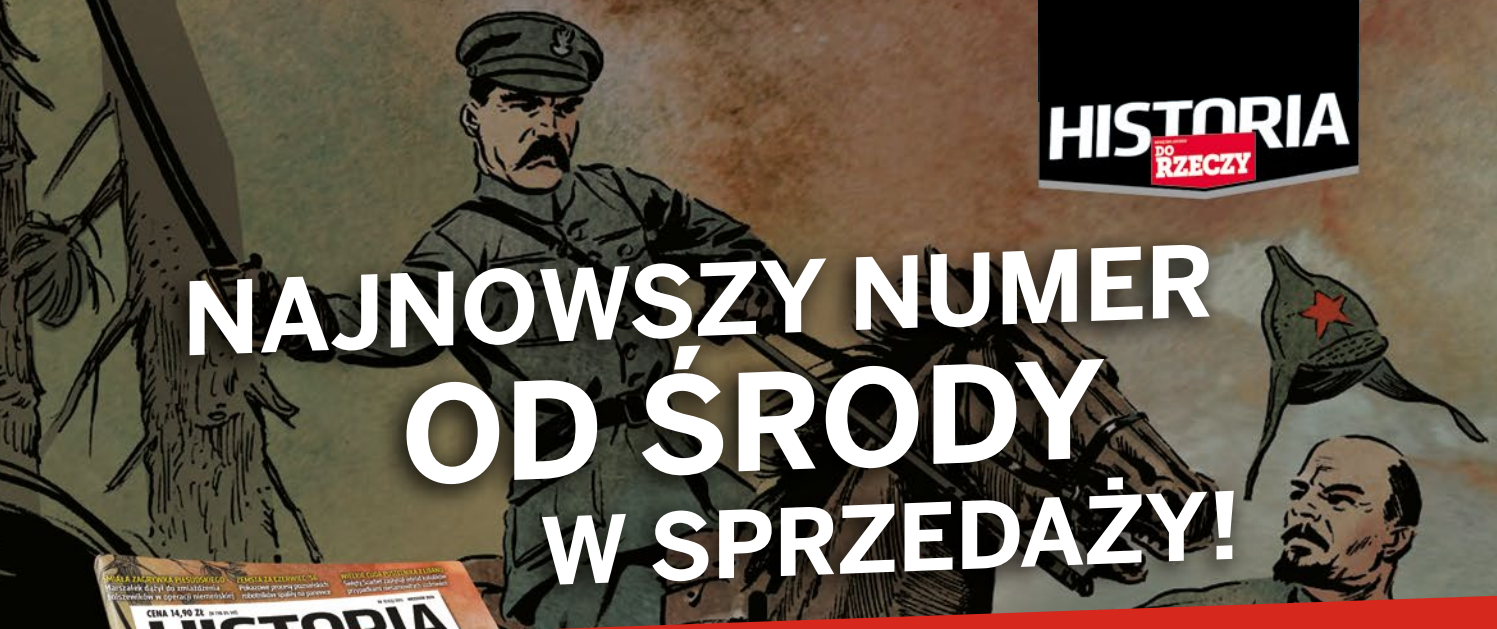

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!



TRIUMF NAD NIEMNEM: JAK POLACY PRZEPĘDZILI BOLSZEWIKÓW

LEWY NIEMEŃSKI „Klęska pod Warszawą nie przesądza jeszcze o wyniku wojny" – pisał w telegramie do Lenina gen. Michaił Tuchaczewski. Dopiero cios wyprowadzony przez Polaków nad Niemnem złamał marzenia Kremla o „eksporcie" rewolucji – podkreśla Grzegorz Janiszewski

KLUCZ DO RYGI – Do przeprowadzania wielkiej operacji nad Niemnem Piłsudski musiał przekonać Sejm i Radę Obrony Państwa, ponieważ Polsce groziło nie bezpieczeństwo stania się państwem kadłubowym – mówi w wywiadzie prof. Andrzej Chwalba

NIEUDOLNA POKAZÓWA SĄDOWA Władze postanowiły surowo ukarać uczestników antykomunistycznych zajść. Procesy pokazowe okazały się jednak kompletną „klapą" i ośmieszyły aparat państwowy – pisze Piotr Semka

CUDA LIBAŃSKIEGO PUSTELNIKA – Dysponujemy listą 45 tys. udokumentowanych cudów, do których doszło za wstawiennictwem tego libańskiego świętego – mówi w wywiadzie ks. Andrzej Sochal, autor książek na temat św. Szarbela

LEGENDA BUŁGAROBÓJCY Bazyli II uważany jest za jednego z największych władców w dziejach Bizancjum. Surowy, zdyscyplinowany cesarz żołnierz, który zasłynął tym, że wszystkie wojenne trudy dzielił ze swoim wojskiem – pisze Anna Szczepańska

OCZAROWANIE IWASZKIEWICZA Dawno temu Adam Pomorski napisał, że „długi cień Iwaszkiewicza wciąż zabiega drogę współczesnej literaturze polskiej". Ze wszystkimi tego następstwami, dobrymi i złymi – ocenia Krzysztof Masłoń

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 14333fb3fb